

HANNA GREŃ

WIOSKA KŁAMCÓW

NIEKTÓRE TAJEMNICE NAJLEPIEJ ZABRAĆ DO GROBU...



WIOSKA KŁAMCÓW

H A N N A
GRĘŃ

**WIOSKA
KŁAMCÓW**

Copyright © Hanna Greń, 2019

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska, Karolina Borowiec-Pieniak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Fotografie na okładce:

ozkankara / Shutterstock

Cindy Creighton / Shutterstock

Fotografia autorki na skrzydełku: Mateusz Sosna / Ogniskova.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

ISBN 978-83-66431-90-4

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Prolog

Dwa lata wcześniej

– Panie Drawicz, jest pan zatrzymany w związku z podejrzeniem zabójstwa Piotra Roszaka – wyrecytował policjant, przerywając pełną zdumienia ciszę, która zapadła po tym, jak oznajmił, że posesja zostanie przeszukana na mocy nakazu prokuratora.

– Nie!!!

Słuchająca w osłupieniu kobieta nagle odzyskała głos i zdolność poruszania się. Przypadła do funkcjonariusza i szarpnęła go za rękę trzymającą kajdanki. Odtrącił ją niecierpliwym ruchem, jak odgania się natrętnego owada. Nie zrezygnowała. Objąwszy męża wpół, usiłowała odciągnąć go od policjanta. Sierżant stracił cierpliwość i odepchnął ją tak mocno, że zatoczyła się na kuchenny stół.

– Zostaw ją, skurwysynu! Nie dotykaj mojej żony!

Mariusz Drawicz wyrwał rękę z uścisku sierżanta, podbiegł do kobiety i zasłonił ją swoim ciałem, broniąc przed ewentualnym atakiem. Ale to nie ona była celem, tylko on.

– Pójdiesz dobrowolnie czy mamy cię obezwładnić?

Drawicz zignorował słowa sierżanta. Pochylił się ku żonie i szeptał jej na ucho coś, czego policjanci nie mogli usłyszeć. Funkcjonariusz nie czekał dłużej, podszedł i zdecydowanie szarpnął go za ramię. Mężczyzna usiłował strącić przytrzymującą go dłoń, wstrząsając ramionami, i za którymś razem trafił sierżanta łokciem w brzuch. To wystarczyło za pretekst do użycia siły.

– Stawiasz opór?

Sierżant uśmiechnął się zwodniczo łagodnie, po czym nagle doskoczył i wyćwiczonym ruchem powalił Drawicza na ziemię. Zanim tamten zrozumiał, co się dzieje, poczuł na nadgarstkach chłód metalu. Policjant dźwignął się z kolan i otarłszy czoło wierzchem dłoni, spojrział z pogardą na leżącego.

– Wstawaj!

Drawicz nie zareagował, nadal leżał bez ruchu z twarzą przyciśniętą do podłogowej płytki. W kuchni słychać było tylko jego spazmatyczny oddech i cichy szloch kobiety wspierającej się całym ciałem o szafkę, jakby zabrakło jej sił. Sierżant czuł na sobie spojrzenie stojącego w drzwiach posterunkowego i nagle ogarnęła go wściekłość, że przez tego gnoja, leżącego bezwładnie niczym trup na marach, straci poważanie w oczach podwładnego. A przecież nie dalej jak wczoraj wbijał mu do głowy, że z patolstwem nie należy się cackać.

Doskoczył do leżącego, wziął zamach nogą i wówczas usłyszał cichy, przerażony głosik dobiegający od strony drzwi, które wcześniej wziął za wejście do spiżarki.

– Tatusiu...?

Wolno opuścił nogę i popatrzył w tamtą stronę. Zobaczył przerażoną dziecięcą twarzyczkę zaglądającą do kuchni przez szparę uchylonych drzwi. Westchnął ciężko i odezwał się cicho, tonem perswazji:

– Panie Drawicz, niech pan nie utrudnia. Dziecko patrzy. Chce pan, żeby widziało, jak pana wynosimy?

Poskutkowało. Drawicz podciągnął się na kolana, powstał i spytał równie cicho:

– Mogę się z nimi pożegnać?

Później wszystko przebiegło już bez przeszkód. Zatrzymany został przewieziony do komisariatu, a ujawnione podczas przeszukania narzędzie zbrodni zabezpieczono i przekazano do badań.

Drugi z podejrzanych nie sprawił funkcjonariuszom żadnych kłopotów. Kompletnie ogłupiały Bogdan Kotlarski nie protestował, gdy zakuwano go w kajdanki i prowadzono do radiowozu. Dopiero gdy policjant otworzył drzwi i dłonią położoną na jego głowie zmusił go do pochylecia się, zatrzymany zwrócił twarz w stronę domu i krzyknął do żony i dzieci, stojących w progu:

– Nie martwcie się, ja niedługo wrócę! To jakaś pomyłka!
Odpowiedział mu śmiech policjantów.

Rozdział 1

Wioska oddana strzygom

Grzegorz Imielski w zamyśleniu spoglądał na dziewczynę, którą przywykł uważać za własną córkę. Miał ochotę pogłodzić błyszczące brązowe włosy, jak często robił, gdy była małą dziewczynką i przychodziła do niego ze swoimi zmartwieniami, w dziecięcym umyśle urastającymi do rangi katastrof. Ale tamte czasy dawno minęły. Teraz siedziała przed nim dorosła kobieta i nie przyszła wypłakać się na jego ramieniu, bo lalce wypadło oko, misiowi urwała się łapka lub przydarzyło się inne tego typu nieszczęście. Obecnie jej problemem była śmierć.

– Nie wierzę, że oni to zrobili. Tatek, przecież to jest jakiś pieprzony przekręt!

Imielski uśmiechnął się, słysząc ten pieszczotliwy zwrot, i jak zwykle poczuł dumę, że Diona właśnie jego tak nazywała, podczas gdy do mężczyzny, który dał jej życie, zwracała się per „ojciec”. Zaraz jednak uświadomił sobie bezsens tych przemyśleń. Nie ma się czym szczycić, skoro do tamtego ona już nigdy nic nie powie.

– Dziecko, zastanów się – przerwał trwające już zbyt długo milczenie. – Przecież przeprowadzono śledztwo, które jasno wykazało, że ci mężczyźni są winni. Nie zapominaj, że wnioski zostały poparte dowodami. Znalezione narzędzie zbrodni, prócz tego są świadkowie. No i mieli motyw.

– Właśnie ten motyw mnie nie przekonuje. Zabili go, bo znał ich przeszłość? Bez sensu. – Dziewczyna prychnęła

lekceważąco.

– Czemu bez sensu? Moim zdaniem właśnie to jest ważne. Diona, ty nie znasz takich małych społeczności, nie masz pojęcia, jaką rolę odgrywa tam opinia publiczna. Gdy wioska raz weźmie kogoś na języki, delikwent ma przeje... – Imielski urwał i zerknął niespokojnie w stronę drzwi, niepewny, czy żona nie słyszy. – Ma przechlapane, a o jego czynie usłyszą nawet następne pokolenia. – Zauważył pełną powątpiewania minę pasierbicy i dorzucił, już lekko zirytowany: – Wierz mi, wiem, co mówię. Zaczynałem w wiejskim komisariacie i poznałem trochę prawa rządzące tym światkiem. W takiej wiosce nic się nie ukryje, wszyscy o wszystkim od razu wiedzą...

– A widzisz, tatek? – przerwała mu, uśmiechając się nieco złośliwie. – Sam to powiedziałeś. Że wszyscy o wszystkim wiedzą. To dlaczego akurat przeszłość tych ludzi miałaby zachować się w tajemnicy?

Imielski westchnął ciężko, przeklinając w duchu upór dziewczyny, choć dobrze wiedział, że może mieć pretensje wyłącznie do siebie. To on ją nauczył, że zawsze należy dociekać prawdy, bez względu na piętrzące się po drodze przeszkody. Teraz zbierał to, co zasiał.

– Nie sędzę, by chwalili się tym, że mają za sobą odsiadkę.

Diona nie zwróciła uwagi na suchy, niezachęcający do dalszej dyskusji ton. Spokojnie podniosła do ust szklankę piwa, pociągnęła spory łyk i na moment pogрузzyła się w myślach. Widocznie rozważała jakiś skomplikowany problem, ściągnęła bowiem brwi tak, że utworzyły poziomą kreskę nad oczami o niedającym się jednoznacznie określić kolorze. Raz wydawały się piwne, raz brązowe.

– Chyba się mylisz. Takie hermetyczne środowiska są na ogół bardzo ostrożne, gdy przychodzi do zaakceptowania kogoś z zewnątrz, a sam mówiłeś, że ta wioska jest dziwna, jakby

odizolowana od świata. Obaj ci faceci byli obcy. Nie wierzę, że nie sprawdzono ich dokładnie, zanim pozwolono im wżenić się w społeczność.

Teraz Imielski się zamyślił. Tego nie wziął pod uwagę, a z pewnością było tak, jak Diona mówiła. Rodzice nie wyraziliby zgody na ślub córki z mężczyzną, o którym nic by nie wiedzieli, a więzienie to nie mandat za zbyt szybką jazdę, tego nie da się zamieść pod dywan. Brak zgody na ślub wprawdzie nic nie znaczył, dziewczyna mogła postawić na swoim, ale wówczas młodzi z pewnością nie mogliby zamieszkać u rodziców. W takim razie policjanci z Jodłowca musieli dotrzeć do jeszcze innych motywów zabójstwa. Jakich, tego niestety nie wiedział i nie widział szans, by się dowiedzieć.

Minął już ponad rok, odkąd odszedł z policji, wykonując odgórne zarządzenie mówiące, że nikt, kto wcześniej służył w milicji i był przyjęty do służby przed rokiem dziewięćdziesiątym, nie może piastować kierowniczego stanowiska. Pozbyto się doświadczonych fachowców, zastępując ich często ludźmi bez doświadczenia w kierowaniu zasobami ludzkimi lub też miernotami, które bez umocowania partyjnego nie miałyby szans na zostanie choćby dowódcami patrolu. *Dziwne czasy nastały*, westchnął w duchu. Kompetencje przestały mieć znaczenie. Teraz liczą się tylko plecy i bezkrytyczna akceptacja płynących z góry poleceń.

Pokiwał głową i oderwał się od niewesołych myśli. Spojrzał na przybraną córkę, tak bardzo podobną do matki, i wiedział już, że nie ma wyjścia. Musi wspomóc ją w dociekaniu prawdy, tym bardziej że w głębi serca on także przeczuwał, iż w śmierci Piotra Roszaka kryło się coś więcej. Oficjalnie ogłoszone motywy były zbyt słabe, by mogły wystarczyć.

– Postaram się pomóc, choć jeszcze nie wiem, w jaki sposób. Muszę pomyśleć. Daj mi kilka dni, szcurku. I nie zrób w tym czasie niczego głupiego – ostrzegł, gdyż dobrze znał popędliwość

Diony.

Skinęła głową bez entuzjazmu.

– Byle nie za długo, bo dość już czasu straciłam. Szkoda, że wcześniej nie wiedziałam o tym wszystkim.

Popatrzyła z wyraźnym wyrzutem, lecz Imielski tylko wzruszył ramionami. Nie jego wina, że wszystko tak długo trwało. Piotr Roszak został zabity 16 października 2016 roku, a dopiero kilka dni temu sąd drugiej instancji utrzymał w mocy zaskarżony przez obrońców wyrok. Bogdan Kotlarski i Mariusz Drawicz zostali uznani winnymi zabójstwa i skazani na dwadzieścia pięć lat więzienia.

Żaden z nich się nie przyznał, obaj natomiast powtarzali z uporem, że są niewinni. Obrońcy utrzymywali, że narzędzie zbrodni najpierw zostało im skradzione, a potem z powrotem podrzucone do warsztatu samochodowego, którego byli współwłaścicielami. Na rękojeści klucza do kół zabezpieczono odciski linii papilarnych obu mężczyzn, natomiast znajdujące się na drugim końcu ślady krwi i tkanki były zgodne z próbkami pobranymi od denata. Również rany na głowie i twarzy denata pasowały kształtem do tego konkretnego narzędzia. W dodatku znalazł się świadek, który słyszał kłótnię między Roszakiem a właścicielami warsztatu, a później widział, jak na głowę ofiary spadają uderzenia.

W tej sytuacji najwyraźniej nikt nie miał żadnych wątpliwości, że to właśnie Kotlarski i Drawicz są winni zabójstwa. Nikt prócz córki Piotra Roszaka.

*

Podinspektor Piotr Roszak w chwili śmierci miał pięćdziesiąt dwa lata, z czego dwadzieścia siedem spędził w służbie,

najpierw jako milicjant, a po transformacji ustrojowej jako policjant. Przez ostatnie siedem lat pełnił funkcję komendanta komisariatu w Jodłowcu i według opinii tak przełożonych, jak podwładnych sprawdzał się w tej roli znakomicie. Dlatego informacja o jego tragicznej śmierci spadła na wszystkich jak grom z jasnego nieba. Roszak ofiarą zabójstwa? To chyba jakiś głupi żart.

Podobnie uważała jego jedyna córka, efekt krótkiego, acz płomiennego romansu ze śliczną pielęgniarką, w której ręce trafił, gdy podczas jednej z interwencji odniósł dosyć poważne obrażenia. Gwałtowne płomienie mają to do siebie, że niepodsycane, szybko wypalają się i gasną, i tak też się stało w tym przypadku. Oprócz niewątpliwego pociągu seksualnego nie łączyło ich zupełnie nic, toteż gdy pożar zmysłów został ugaszony, okazało się, że są dla siebie zupełnie obcymi ludźmi.

Decyzję o rozstaniu podjęli zgodnie, bez żalu i wzajemnych oskarżeń, po czym uczcili ją ostatnimi miłosnymi uściskami. I właśnie te uściski sprawiły, że ich rozstanie mimo wszystko nie było ostateczne, gdyż wkrótce potem Marta Remańska odkryła, że jest w ciąży. Jako pielęgniarka powinna była wiedzieć, że spontaniczny seks bez zabezpieczenia może skutkować poczęciem dziecka, a jednak wzorem innych kobiet wmawiała sobie początkowo, że to niemożliwe. Zawsze wcześniej używali prezerwatyw, tylko przy pożegnaniu ich poniosło. I tak do razu ciąża? Od tego jednego szalonego seksu? Nie i jeszcze raz nie! Ale zaklinanie rzeczywistości na nic się nie zdało i pewnego majowego popołudnia na świat przyszła mała dziewczynka o ciemnych włosach i wielkich piwnych oczach. Na taką niespodziankę Marta nie była przygotowana.

W roku 1990 badanie USG nie było jeszcze powszechne, w dodatku wielu ginekologów uważało je za wręcz szkodliwe dla płodu, więc Marta nie została mu poddana. Wysłuchiwała za to wielu przepowiedni z ust starszych kobiet, które prognozowały

pleć dziecka na podstawie kształtu brzucha, cery przyszłej matki czy wróżenia za pomocą wahadełka skonstruowanego z nitki i obrączki. Wszystkie te prognozy mówiły jasno, że Marta urodzi syna, wymyśliła więc dla niego piękne imię. Jako nastolatka podkochiwała się w nauczycielu imieniem Dionizy i pragnęła, by jej syn był równie przystojny i inteligentny jak tamten mężczyzna.

Skonfrontowała marzenia z rzeczywistością, Marta błyskawicznie zamieniła Dionizego na Dionizę, nawet przez moment nie zastanawiając się, jak będzie się czuć dziewczynka zmuszona do noszenia takiego imienia. Dopiero później odkryła, że nie wybrała najlepiej. Jak można takie słodkie maleństwo nazywać pełnym imieniem? Wymyśliła więc zdrobnienie „Diona” i dopiero wtedy pozbyła się wyrzutów sumienia.

Pech chciał, że wkrótce po ich ostatnim spotkaniu Piotr wyjechał do Szczytna, by podjąć naukę w tamtejszej Wyższej Szkole Oficerskiej. Telefonu w jego mieszkaniu nikt nie odbierał, komórek wówczas jeszcze nie było, a Marta nie zamierzała poszukiwać mężczyzny drogą służbową, wiedząc, że mogłoby to zaszkodzić mu w karierze. Mając psychiczne i finansowe wsparcie w rodzicach, niespecjalnie ubolewała, że dziecko nosi jej nazwisko, a jedynym śladem po Roszaku jest jego imię w metryce córki.

To wszystko Diona знаła z opowieści matki i dziadków, którzy nigdy nie robili tajemnicy z dość powszechnie znanej historii. Dziewczyna nie wiedziała tylko, jak doszło do jej pierwszego spotkania z ojcem, i kiedyś zapytała o to dziadka. Starszy mężczyzna, uznawszy szesnastoletnią panią za dość dużą, by pojąć skomplikowane sprawy dorosłych, nie uchylił się od odpowiedzi.

– Twoi rodzice spotkali się ponownie całkiem przypadkowo. Marta najpierw wahała się, czy w ogóle o tobie wspominać.

Miałaś już osiem lat i traktowałaś Grzegorza jak własnego ojca, więc ten prawdziwy nie był ci do niczego potrzebny.

– Ale był moim ojcem. Pamiętam, że marzyłam, żeby go poznać. Snułam jakieś romantyczne wizje, że został z mamą rozdzielony przez złych ludzi... Takie tam dziecinne fantazje. – Szesnastoletnia Diona parsknęła śmiechem, kiwając z politowaniem głową nad naiwnością tamtego dziecka.

Mężczyzna stłumił rozbawienie, nie chcąc urazić wnuczki, która częścią siebie ciągle jeszcze tkwiła w wykpiwanym dzieciństwie.

– Marta uznała, że powinien znać prawdę, choć trochę obawiała się ją wyznać. Wiesz, dziecinko, mężczyźni nie zawsze dobrze przyjmują takie wiadomości. – Urwał zmieszany, nie bardzo wiedząc, czy kontynuować ten temat.

– Dziadku, nie mam pięciu lat, wiem dobrze, o co chodzi. Bała się, że ojciec będzie twierdzić, że nie jestem jego dzieckiem, prawda?

– Nie bądź taka przemądrzała, smarkulo – upomniał ją dziadek. – Ale masz rację, twoja matka bała się, że Piotr zakwestionuje swoje ojcostwo. Na szczęście on szybko dodał dwa do dwóch. Ucieszył się, że ma dziecko, ale jednocześnie było mu na rękę, że Marta nie żądała żadnych prawnych ustaleń. Dziewczyna, którą dopiero co poślubił, często robiła mu sceny zazdrości, więc wołał nie prowokować losu.

Diona pokiwała głową na znak, że rozumie. Kiedy doszło do jej pierwszego spotkania z biologicznym ojcem, oboje rodzice zawarli już związku małżeńskiego, więc taki układ wszystkim odpowiadał.

Od tamtej rozmowy minęło dwanaście lat, a czas pokazał, że dziadek miał rację. Ojciec regularnie płacił ustaloną kwotę i utrzymywał bliski kontakt z córką, ale oficjalnie nigdy nie stała się jego dzieckiem. Nie bywała też gościem w jego domu.

– Ojciec nigdy mnie do siebie nie zaprosił – powiedziała

pewnego sierpniowego popołudnia do babci, gdy popijały poobiednią kawę. W jej głosie pojawił się nawet cień żalu, chociaż wiedziała dobrze, że Piotr Roszak postępował tak dla jej dobra. – Bał się, że jego żona zrobi mi jakąś przykrość.

– Tak pewnie by się stało – przyznała babcia. – Ludzie mówili, że ta Magda ma trochę nie po kolei w głowie. Piękna dziewczyna, ale potwornie zazdrosna, przy tym jakaś taka niezrównoważona. Dużo młodsza od Piotra, a to znaczy, że była jeszcze młoda, gdy umarła.

– Miała dopiero trzydzieści osiem lat – odparła Diona ze smutkiem. – Z tego, co wywnioskowałam, jej rodzina ukrywała fakt, że jest chora, i ojciec dowiedział się o tym dopiero po ślubie, kiedy zabrakło kogoś, kto by dopilnował, żeby zażywała lekarstwa. – Dziewczyna obracała w dłoniach filiżankę, wspominając te nieliczne sytuacje, gdy ojciec mówił o swojej żonie. – Właśnie za to go podziwiałam. Oszukali go, ale on jej nie zostawił. Dbał o nią, pilnował każdego kroku, kontrolował, czy bierze leki i czy zjada posiłki. Choroba dwubiegunowa to naprawdę paskudna sprawa, ale on kochał żonę.

– Pewnie ciężko przeżył jej śmierć?

– Czuł się winny, że jej nie upilnował. Nie chciał uwierzyć, że popełniła samobójstwo, że go zostawiła. Do końca się z tym nie pogodził. Uważał, że ktoś zmusił ją do połknięcia tych tabletek, i ciągle szukał winnego. A po roku on także odszedł. Jeśli istnieje życie po śmierci, to mam nadzieję, że przebywają gdzieś razem. Że są szczęśliwi.

Diona urwała, gdyż w jej głowie pojawiła się całkiem nowa hipoteza. Na razie jeszcze ledwie zarysowana, przypominająca ulotny cień czekający, by nadać mu konkretne kształty.

– Co tak ucichłaś? – Starsza kobieta zerknęła na wnuczkę. – Takie jest życie, dziecko, na śmierć nie da się nic poradzić. Zamiast grzebać w przeszłości, powinnaś pomyśleć o przyszłości. Za dwa lata skończysz trzydziestkę. Ja w twoim

wieku...

– Wiem – przerwała jej Diona niezbyt grzecznie. – Miałaś już troje nieźle podchowanych dzieci. Ale ty trafiłaś na dziadka, a ja nie miałam takiego szczęścia.

– Bo dziadek już jest zajęty – dopowiedziała babcia z niewinną minką.

– Nie czepiaj się słówek – pouczyła ją wnuczka, lecz nie zdołała zapanować nad rozbawieniem. – Cholerna nauczycielka – mruknęła pod nosem.

– Słyszałam! Stara nie znaczy głucha. Mam nadzieję, że zdążę doczekać się prawnuków i zobaczyć cię przed ołtarzem.

– W takiej kolejności? – upewniała się Diona i żeby zamknąć niewygodny temat, uroczyście uniosła w górę prawą dłoń. – Przyrzekam uroczyście, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby twoje marzenia się spełniły.

– Nie rób ze mnie debilki – oburzyła się babcia. – Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić takie przyrzeczenie? „Zrobię, co w mojej mocy” – przedrzeźniała.

– A co mam powiedzieć? – zirytowała się wnuczka. – Przecież nie mogę ci zagwarantować, że to się uda. O dziecko mogłabym się wprawdzie postarać, do tego wystarczy byle facet, ale ślubu sama ze sobą raczej nie wezmę.

Babcia parsknęła śmiechem, lecz zaraz wróciła do narzekań.

– Bo ty niepotrzebnie wszystko komplikujesz. Związek dwojga ludzi to nieustanne kompromisy i wybaczenie, a ty chciałybyś księcia z bajki, bez wad i słabych stron. Takich mężczyzn po prostu nie ma. Mówiłam to już, kiedy rozstałaś się z Kamilem. – Starsza pani westchnęła. – Dobrze, że nie mieliście kościelnego ślubu, dzięki temu możesz ponownie wyjść za mąż. Tylko nie oczekuj tego, co niemożliwe.

– Nie, babciu – odparła Diona ze smutkiem. – Wcale nie oczekuję niemożliwego. Ja tylko chcę, żeby mój facet traktował mnie jak partnerkę, a nie jak niewolnicę, i żeby był mi wierny.

Pod tym względem żądam wyłączności. To naprawdę tak wiele?

Wstała z fotela i opuściła pokój, nie chcąc pokazać, jak bardzo poczuła się zraniona tym, że babcia w dalszym ciągu uważa jej decyzję o rozwodzie za życiowy błąd. Miała ochotę zaszyć się w kącie i rozpłakać jak małe dziecko. Zamiast tego po powrocie do domu zasiadła przed komputerem i zajęła się przeglądaniem ofert pracy. Niestety oprócz stanowiska telemarketerki nie znalazła nic odpowiadającego jej kwalifikacjom. Operator wózka widłowego i czegoś jeszcze (o nazwie tak dziwnej, że z niczym się nie kojarzyła), kierowca kategorii C, serwisant sprzętu komputerowego, pracownik ochrony.

Dla spokoju sumienia zadzwoniła do firmy, która zamieściła to ostatnie ogłoszenie, i po krótkiej rozmowie ze zniechęceniem odłożyła słuchawkę. Jak zwykle nie pozwolono jej przedstawić pełni umiejętności, przerywając pytaniem o grupę inwalidzką.

– Jasny szlag! – wrzasnęła, w ostatniej chwili powstrzymując się od rzucenia komórką o ścianę. – Ja pieprzę, co za debilizm.

– Co się stało? – W progu stanęła matka, zaalarmowana krzykiem. – Czemu się awanturujesz?

– Bo tego nie rozumiem. Dzwoniłam do firmy ochroniarskiej w sprawie pracy i kolejny raz spuszczone mnie do odpływu. – Diona ze złością odepchnęła się nogami od biurka i przejechała wraz z krzesłem na środek pokoju. – Podejrzewam, że mam lepsze kwalifikacje niż większość tam zatrudnionych, ale ich to w ogóle nie interesuje. Nawet mi dupek nie dał skończyć, tylko spytał, jaki mam stopień niepełnosprawności. Odpowiedziałam, że nie mam żadnego, i to był koniec rozmowy.

Marta Imielska przysiadła na brzegu łóżka i spojrzała na córkę ze zdumieniem.

– Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, po co niepełnosprawni w ochronie. Wydawało mi się, że właśnie tam potrzebni są sprawni. Tak jak w policji czy straży.

– Też tak myślałam, ale jakże się myliłam. – Diona miała ochotę głośno kląć. – Nie jestem ekonomistką, więc nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale w grę wchodzi jakieś dotacje czy zwroty z PFRON-u. Im wyższa grupa, tym większa kasa. – Westchnęła głośno. – A ludzie potem się dziwią, że ochroniarze nie potrafią sobie poradzić z byle menelem.

– To fakt. Gdyby zatrudniano fachowe siły, nie dochodziłoby do aż takich tragedii, jak ta z nożownikiem w markecie.

– Chyba w galerii?

– A to nie wszystko jedno? – zdziwiła się Marta. – Podałam jako przykład, nie robię tu za rzecznika prasowego, żebyście ściśle trzymać się faktów.

– Racja, niepotrzebnie się czepiam. Sorki, mamó, ale wszystko mnie wkurza. Dobiłam do ściany i nie wiem, co dalej. Nie nadaję się na telemarketerkę, a tylko taką pracę mogłabym znaleźć.

Nie dodała, że w życiu osobistym także natrafiła na mur. Nie chciała dodatkowo martwić matki opowiadaniem, jaki był prawdziwy powód rozstania z mężczyzną, z którym planowała się zestarzeć. Nie zniosłaby litości. Z dwojga złego wolała już, by rodzice, nie znając prawdy, podobnie jak babcia uważali, że zbyt pochopnie podjęła decyzję o rozwodzie.

Marta zmierzyła swoją niepokorną córkę pełnym miłości spojrzeniem i uśmiechnęła się dla dodania jej otuchy.

– Bardziej widziałabym cię jako akwizytorkę. Powaliłabyś delikwenta na ziemię i od razu kupiłby wszystko, żebyś tylko darowała mu życie. – Mimo woli westchnęła. – Diona, nie potrafię zrozumieć, dlaczego odeszłaś z policji. Nie chciałabyś wrócić? Przy twoim wykszoleniu...

– Mamó! – Dziewczyna zerwała się z krzesła, zła na matkę, że ta znów wróciła do kilka już razy przerabianego tematu. – Nie zamierzam służyć w formacji, która pozbyła się taty jak śmiecia i gdzie nikt nie stanął w obronie tych, z których po wielu latach

służby nagle zrobiono zbrodniarzy. Nie ma mowy o powrocie, choćbym miała z głodu zjeść korzonki i zagryzać je robakami! – Po wykrzyczeniu tej deklaracji uspokoiła się i nagle jej zasepioną twarz rozjaśnił uśmiech. – Nie mów nikomu, ale ja chyba nie najlepiej reaguję na rozkazy – wyznała, ścisząc głos, jakby zdradzała najgłębszą tajemnicę.

Imielska przez chwilę spoglądała na nią w osłupieniu, wreszcie wybuchnęła śmiechem.

– Coś podobnego! W życiu bym na to nie wpadła. – Naraz spoważniała. – Czy dlatego rozstałaś się z Kamilem, że był od ciebie wyższy stopniem?

– Własna matka uważa mnie za idiotkę. Dzięki bardzo. – Diona zagryzła wargi. – Nie, mamo. Nie dlatego.

Marta odczekała jeszcze chwilę, a widząc, że dalsze wyjaśnienia nie nastąpią, wstała i poszła ku drzwiom.

– Gdybyś chciała się wygadać, to służę uszami. Czasem to pomaga. Nie musisz wszystkiego dusić w sobie. Nie jesteś sama na świecie.

– Wiem. – Diona zamrugnęła, chcąc pozbyć się wilgoci, która nagle przesłoniła jej wzrok. – Może kiedyś? Teraz jeszcze za bardzo boli.

– W porządku. – Marta skinęła głową. – A na te robaki jeszcze nie poluj. Nie jest z nami tak źle, żebyśmy nie mogli zapewnić utrzymania jedynej córce. Los w końcu się odwróci i znajdziesz odpowiednią pracę. Taką, która by cię cieszyła i dawała satysfakcję. No i kasę, bo z satysfakcją jest jak z etosem. – Posłała córce rozbawione spojrzenie. – W sklepie nią nie zapłacisz.

Chociaż Diona nie była już policjantką, nadal odwiedzała policyjne fora, doskonale więc wiedziała, jak funkcjonariusze zareagowali na wypowiedź ministra, który stwierdził, że ważniejszy od zarobków powinien być dla nich etos służby. Prześmiewkom nie było końca. To właśnie wtedy narodziło się

powiedzenie „płacić etosami”. Dziewczyna uśmiechnęła się, lecz nic nie odpowiedziała, nie chcąc wszczynać nowej dyskusji stwierdzeniem, że w wieku dwudziestu ośmiu lat nie ma pojęcia, co chciałyby robić, w dodatku nie posiada żadnych przydatnych w cywilu kwalifikacji. Szkoła aspirantów policji, umiejętności strzeleckie, znajomość sztuk walki i obezwładniania przeciwnika? Komu to potrzebne? Może dziesięć lat temu przydałyby się szemranym firmom do odzyskiwania długów, ale tamte czasy już minęły, daj Boże, bezpowrotnie.

– Diona! Idziesz wreszcie? – rozległ się poirytowany głos Imielskiego i Marta klepnęła się w czoło.

– Na śmierć zapomniałam, po co tu przyszłam. Tata powiedział, że masz do niego zejść. Ma do ciebie jakąś sprawę, ale nie chciał mi...

Nie dokończyła, córka bowiem przebiegła obok niej i niemal sfrunęła po schodach, pędząc do gabinetu, gdzie spodziewała się zastać ojczyma. Rzeczywiście tam był, siedł właśnie w stronę stojącego pod oknem fotela, w którym zwykł zasiadać z książką w ręce. Na dźwięk kroków obejrzał się i zmienił kierunek, wskazując córce szerokie biurko.

– Skoro uparłaś się wtykać palce między drzwi, najlepiej będzie, jeśli pojedziesz do Strzygomia i sprawdzisz wszystko na miejscu. Pomyślałem, że mogłabyś pojawić się tam jako młoda pisarka szukająca natchnienia oraz wyciszenia – oznajmił, wyjmując z szuflady jakąś teczkę.

– Absolutnie się nie zgadzam – oznajmiła bez ogródek, niemile zaskoczona pomysłem. Co ten tata wymyślił? Niecałe dwa lata na emeryturze i już stracił czujność?

– Dlaczego nie? – Nie spodziewał się takiej reakcji. – Co ci się nie podoba? Przecież nikt ci nie każe naprawdę pisać.

– Akurat to pisanie jest najbezpieczniejsze. Za to reszta do dupy.

– To dobry plan – upierał się mężczyzna. – Zawód nie do sprawdzenia, powód prawdopodobny...

– A moim zdaniem zawód do luzu. Wystarczy, że ktoś zapyta, co napisałam, i od razu będzie wtopa. Co to za pisarka, co niczego nie wydała?

Imielski w dalszym ciągu nie dostrzegał problemu.

– Poszukaj w Internecie jakiejś autorki, która przypomina cię z wyglądu, i w razie czego mów, że to twój pseudonim literacki.

– Tatak, chyba ci odwaliło. – Diona popatrzyła na niego ze zdumieniem. – Podszywanie się pod kogoś to przestępstwo i dobrze o tym wiesz. A nawet gdybym na to poszła, to musiałabym szybko przeczytać książki tej pisarki i zapamiętać fabułę, żeby w razie pytań nie zrobić z siebie imbecyla. Bo wybiórczej amnezji raczej nikt by nie kupił. – Widząc, że argumenty zaczynają trafiać do mężczyzny, dołożyła jeszcze jeden, jej zdaniem najważniejszy: – Zapomniałeś o bardzo ważnej sprawie. Prędzej czy później na pewno natrafisz na kogoś z tamtejszego komisariatu albo rozpozna mnie ktoś z mieszkańców. W końcu służyłam w policji blisko osiem lat, a wiadomo, że w tej firmie spotyka się wielu ludzi. Przy moim pechu pewnie się okaże, że byłam z którymś z tamtejszych gliniarzy na zabezpieczeniu albo na jakimś kursie.

– Cholera, o tym nie pomyślałem – przyznał z ponurym grymasem. – Do czego to doszło, że aspirant poucza nadkomisarza? Chyba się starzeję.

Zauważywszy, że naprawdę się tym przejął, Diona poświęciła chwilę na podniesienie go na duchu, po czym przedstawiła własną koncepcję. Miała zamiar wykorzystać prawdziwe wydarzenia.

Imielski zamyślił się, analizując jej propozycję. Dziewczyna miała rację. Mistyfikacja tym jest łatwiejsza, im bardziej styka się z prawdą. Przypomniał sobie nauki pobierane dawno temu od starego milicjanta, gdy sam szykował się do pracy pod

przykrywką: „Nie kłam tam, gdzie możesz powiedzieć prawdę. Im więcej dasz tej postaci z prawdziwego siebie, tym będzie wiarygodniejsza”.

– Myślisz, że to dobry plan? – upewniała się niespokojnie, nie wiedząc, jak tłumaczyć sobie jego milczenie.

– Mądra z ciebie dziewczyna – odezwał się w końcu. – Na miejscu twojego dowódcy, zamiast podpisać zgodę, błagałbym na kolanach, żebyś została.

– Dobrze wiesz, że nie zostałam, nawet gdyby stanął na uszach, a fiutem ładował żarcie do gęby. Nie po tym, co zostało powiedziane.

Ojczym skinął głową, w głębi duszy doskonale ją rozumiejąc.

– Dobra, to przejdźmy do sprawy. Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

– Najpewniejsza w świecie – odparła bez najmniejszego wahania. – Dam sobie głowę uciąć, że ci dwaj faceci siedzą za niewinność, i mam zamiar znaleźć prawdziwego sprawcę. – Zauważywszy minę mężczyzny, dorzuciła z przymilnym uśmiechem: – Tatek, przecież ty sam mnie wszystkiego nauczyłeś. Wiesz, że nie mam zwyczaju głupio ryzykować, poza tym nie przesadzajmy, nikt tam nie będzie za mną latał z pistoletem w garści. Zastanawiałam się nawet, czy ta cała mistyfikacja jest konieczna.

Przerwała, popatrując ciekawie na ojczyma, który aż poczerwieniał na twarzy, usłyszawszy ostatnie zdanie.

– Zwariowałaś?! Chcesz rozpowiadać, że jesteś nieślubną córką komendanta Roszaka i przyjechałaś po to, żeby wykryć, kto naprawdę go zabił?! – Tak się zdenerwował, że bezwiednie podniósł głos do krzyku. – To równie dobrze możesz zaraz wsadzić łeb do piekarnika i odkręcić gaz, ty durna idiotko! – zakończył, posyłając jej wściekłe spojrzenie.

Odpowiedziała uśmiechem, a gdy zaklął, zachichotała, czym rozzłościła go jeszcze bardziej. Nie mogąc dłużej opanować

wesołości, roześmiała się w głos.

– Nic z tego – wydusiła z siebie w przerwach między wybuchami śmiechu. – Od razu pojawiłaby się mama z pytaniem, czy nie powinienesz zadzwonić do gazowni. „Bo wiesz, Grzesiu, w kuchni czuć gaz” – dokończyła, naśladowując przejęty głos matki. – A mówiąc poważnie, taka prowokacja mogłaby wszystko przyspieszyć. Sprawca może się przestraszyć i zrobić fałszywy ruch.

– To prawda – przyznał Imielski już spokojnie, spoglądając na pasierbicę z ironią. – Po czym da ci w łeb w jakimś ciemnym zaułku i pozbędzie się problemu. Nie masz już broni, a oczy dookoła głowy jeszcze ci nie wyrosły. Jeśli masz rację, że za zabójstwem stoi ktoś inny, to oznacza, że jest inteligentny, umie planować i zacierać ślady, więc nie licz na szkolny błąd. Tak szybko zapomniałaś, czego cię nauczono?

Diona nie zamierzała wcale prowokować zabójcy. W zasadzie nie miała żadnego planu, rzuciła więc tym pomysłem bez zastanowienia, ot tak, żeby coś powiedzieć. Dlatego nie zamierzała go bronić, dobrze wiedząc, że ojczym ma rację.

– Dobra, tatku, tematu nie było. Pojadę tam jako ja, czyli zdołowana bezrobotna ekspolicjantka, i spróbuję pogadać z ludźmi.

Imielski przytaknął, aprobując plan.

– Przede wszystkim porozmawiaj z rodzinami osadzonych, bo myślę, że oni najwięcej mogliby pomóc. Znalazłem ci dojście do teściowej Drawicza.

– Poważnie? To rewelacyjnie! – Dziewczyna aż podskoczyła z radości. – Mówiłeś też, że poszukasz mi jakiejś miejscówki w okolicach Strzygomia. Udało ci się czy mam jechać w ciemno?

– Nie martw się, szcurku, nie będziesz musiała spać w aucie. Będziesz mieszkać w samym Strzygomiu, właśnie u teściowej Drawicza. – Uśmiechnął się, ujrawszy zdumienie pasierbicy. –

Sama wiesz, jak to jest. Każdy kogoś zna i w efekcie tak naprawdę wszyscy się znają. W tym przypadku dokładnie tak jest. Mam kumpla, emerytowanego policjanta, a on ma żonę, która jest krewną nieżyjącego już teścia Drawicza. Wprawdzie daleką, ale utrzymywali kontakty i do dziś wysyłają sobie życzenia na święta i na urodziny.

Diona poczuła się lekko ogłupiała. Spojrzała uważnie na ojczyrna i upewniwszy się, że mężczyzna nie żartuje, spytała niepewnie:

– Wysyła życzenia do nieboszczyka?

– Do jakiego nieboszczyka? Słuchaj uważnie – pouczył ją, zirytowany wtrętem. – Do jego żony wysyła, czyli do teściowej Drawicza.

– Jakim cudem to załatwiłeś? Genialny jesteś.

Imielski uśmiechnął się, mile połechtany.

– Zadzwoiłem do niej i umówiłem się na spotkanie. Chciałem ją poznać, zobaczyć na własne oczy, przekonać się, jakim jest człowiekiem.

– I co? Jakie wnioski wyciągnąłeś?

– Pozytywne. Mirosława Belka okazała się bardzo sympatyczną kobietą.

– Kto?! – Diona z wrażenia zakrztusiła się papierosowym dymem.

– Mirosława Belka – powtórzył spokojnie, ale w oczach zapłonęły mu wesołe iskierki. – Tak się nazywa i nic na to nie może poradzić. Powinnaś coś o tym wiedzieć – dodał nieco złośliwie.

– I co powiedziałeś tej Mirabelce, że zgodziła się użyczyć mi kwatery?

Imielski zmieszał się nieco, gdyż tę akurat część relacji wolałby pominąć. Nie popisał się, tworząc historyjkę o szukającej natchnienia pisarce, a próba oszukania kobiety i tak się nie powiodła. Teściowa Mariusza natychmiast

zwiąrzyła podstęp, lecz zupełnie opacznie pojęła motywy. Przekonana, że pisarka będzie chciała wyciągnąć na światło dzienne jakieś rodzinne skandale, by uzupełnić wizerunek mordercy o dodatkowe smaczki, kategorycznie odmówiła jakiegokolwiek pomocy. Ponieważ z jej słów wywnioskował, że absolutnie nie wierzy w winę zięcia i gotowa jest go bronić nawet teraz, gdy sprawa wydawała się przesądzona, postanowił uczynić ją cichym sprzymierzeńcem przybranej córki. Czym prędzej przeprosił kobietę, a następnie zdradził jej kawałek prawdy. To wystarczyło, by zgodziła się przyjąć Dionę pod swój dach i udzielić jej pomocy.

Zbyt jednak przywiązał się do swojego pomysłu, by z niego zrezygnować. Mimo niepowodzenia z Belką zaproponował go pasierbicy, doszedł bowiem do wniosku, że inni mieszkańcy Strzygomia nie będą tacy podejrzliwi jak teściowa Drawicza. Teraz widział, że plan od początku był chybiony.

Na szczęście Diona tym razem nie wykpiła jego skłonności do upierania się przy swoim, gdyż bardziej zainteresował ją wzmiankowany kawałek prawdy. Na tym gruncie emerytowany policjant czuł się pewnie, wyjaśnił więc, co miał na myśli.

– Powiedziałem, że nie wierzysz w winę tych mężczyzn. Że coś ci nie pasuje, a że byłaś policjantką, jesteś wyczulona na fałsz. Nie zdradziłem, że jesteś córką Piotra, mówiłem tylko o pokrewieństwie. Sama zdecyduj, czy możesz jej aż tak zaufać.

– W porządku. Zobaczymy, jak się sprawy potoczą. A sama wioska? Szukałam informacji w necie, ale prawie nic nie znalazłam. Tyle tylko, że to wieś. Są jakieś dane o liczbie mieszkańców i położeniu geograficznym, plus info o tym, jaka to gmina, powiat i województwo. Trochę to dziwne, że tylko tyle.

– Zauważyła minę ojca i coś ją tknęło. – Dowiedziałeś się czegoś ciekawego, prawda? O co chodzi z tym miejscem?

Diona pochyliła się nad biurkiem, podparła pięścią brodę i wpatrzyła się w ojczyrna, usiłując zmusić go wzrokiem do

odpowiedzi. Mężczyzna uśmiechnął się, widząc złociste błyski w przygaszonych ostatnio oczach. Pasierbica wreszcie zaczęła przypominać dawną Dionę, taką, jaką była, zanim najpierw trudny rozwód, a później kłopoty w pracy i decyzja o odejściu z policji złamały w niej ducha.

– Wiesz, czemu wioska nosi nazwę Strzygom?

– Skąd mam wiedzieć? – burknęła niecierpliwie. – Mówiłam, że nie znalazłam żadnych informacji.

– Wiąże się z tym legenda mówiąca, że dawno, dawno temu tamten rejon należał do możnego pana, który miał wszystko prócz jednego. Nie mógł doczekać się męskiego potomka, mimo że dochował się siedemnastu córek.

– O dobry jeżu – jęknęła Diona, wyobraziwszy sobie udręczoną kobietę otoczoną wianuszkami wrzeszczących dzieciaków. – Czy on był królikiem?

– Jak na ówczesne standardy tych dzieci nie było jakoś strasznie dużo, w dodatku miał je z trzema żonami.

– Jednocześnie?!

Imielski zapalił papierosa, posyłając pasierbicy kpiące spojrzenie.

– Masz zwyrodniałą wyobraźnię. Nie, ty wietrząca wszędzie występki istoty. Miał te żony po kolei, bo przejawiały dziwne predylekcje do umierania.

– Niespecjalnie im się dziwię. Jeśli musiały rodzić rok po roku, pewnie chciały wreszcie sobie odpocząć. A ten hrabia, czy kim tam był, powinien był łyknąć trochę wiedzy. Może wtedy by się...

– Nie zapędzaj się – przerwał jej rozweselony ojczym. – Mówię o czasach, gdy uważano, że dziecko rodzi się z rudymi włosami dlatego, że matka zbyt długo spoglądała na ogień. W każdym razie gdy trzecia żona znowu zaszła w ciążę, pan sprowadził do dworu trzy siostry uważane za czarownice, żeby odprawiły swoje hokus-pokus nad ciężarną.

– Pewnie doszedł do wniosku, że modlitwy się nie sprawdziły, więc trzeba wejść na wyższy level – znów wtrąciła Diona. – I co, ciemna strona mocy pomogła? Anakin twierdził, że dzięki niej można wszystko.

Ojczym roześmiał się głośno i poczochnął jej włosy.

– Nie zagaduj mnie Skywalkerem, wariatko. Ponoć czary poskutkowały, więc wiedźmy upomniały się o przyrzeczoną nagrodę, ale ten gość, niech będzie, że hrabia, był cholernie skąpy i wcale nie zamierzał dotrzymać słowa. Zaprosił czarownice do dworu, ale wcale nie chciał im zapłacić. Planował, że je po cichutku otruje i w ten sposób zaoszczędzi pieniądze przeznaczone na honorarium.

– O, to mamy też wątek kryminalny! – zawołała rozbawiona. – W sam raz dla dwojga eksplinarzy.

– Wątek fantastyczny też mamy – odpowiedział równie rozbawiony jak Diona. – Bo siostry były przecież czarownicami, więc natychmiast odkryły jego perfidny plan i postanowiły się zemścić. Za pomocą magii wmówiły hrabiemu i okolicznej ludności, że umarły i po śmierci zamieniły się w strzygi, a te, jak wszystkim wiadomo, zamiast leżeć w grobach spokojnie jak Pan Bóg przykazał, mają zwyczaj z nich powstawać.

– Takie nasze krajowe zombie. – Wyraźnie się ucieszyła. – A mówiąc poważnie, to ta opowieść wcale nie jest tak całkiem nieprawdopodobna. Sądzę, że te trzy siostry były po prostu bardziej inteligentne od pana hrabiego i ciemnej wiejskiej ludności. W tamtych czasach wystarczyło zapewne kilka rzuconych tu i ówdzie słów, by ludziska uwierzyli w powstanie z grobu dzięki czarom. Siostry wykorzystały wiarę w zabobony do wmówienia wszystkim, że teraz są zombie.

– Nie zombie, tylko strzygami – sprostował Imielski z udawaną powagą. – Podobno wkrótce potem odwiedziły hrabiego i przedstawiły swoje życzenie. Otóż zażądały, by darował im na własność kawał gruntu z dala od ludzkich

siedzib, by mogły tam w spokoju żyć. Nie pytaj, dlaczego hrabia nie zastanowił się, jak chciały żyć, skoro już nie żyły, bo nie wiem – uprzedził uwagę pasierbicy. – Widocznie dawniej ludzie nie byli tacy dociekliwi i nikt nie zauważył braku logiki.

– Nieważne. – Machnęła ręką. – Sknerus pewnie odmówił?

– Oczywiście, że odmówił. Jak to sknerus. Wtedy siostry zagroziły, że zaczną zabijać jego dzieci i nie skończą, dopóki się nie ugnie. Co tydzień jedno – spreyczował Imielski z uciechą. Widocznie opowiadanie krwawej legendy cieszyło go tak samo, jak pasierbicę słuchanie.

– Zaraz, zaraz – mruknęła dziewczyna. – Do kupy było ich osiemnaście, prawda? Tych dzieci. Czy strzygi powiedziały, co się stanie, kiedy dzieci się skończą?

Ojczym znów parsknął śmiechem.

– Tego nie wiem, ale też nie musiały się tym przejmować. Dotrzymały słowa i zaczęły od najstarszej córki, potem załatwiły drugą w kolejności. Po trzeciej hrabia się ugiął i oddał im wskazane grunty, a siostry, zwane teraz strzygami, przestały zabijać i odeszły. Od tamtej pory zaczęto nazywać tę okolicę „Oddana strzygom”, aż wreszcie skrócono i zostało samo „Strzygom”.

– Fajna ta legenda. – Diona z aprobatą skinęła głową, lecz zaraz zmarszczyła brwi. – Ale raczej nie tłumaczy, dlaczego tak mało wiadomo o wiosce. Chyba że to strzygi nałożyły embargo na informacje.

– Nawet nie wiesz, jak blisko prawdy jesteś – odparł, kompletnie ją zaskakując. – Oczywiście część z tego to pewnie takie same bajdy jak strzygi, ale coś musi być na rzeczy. Legenda mówi, że hrabia je przeklął. Ponoć klątwa miała sprawić, że żadna panna z ich rodu nie doczeka się męskiego potomka. I że nikt z porządnych, bogobojnych ludzi nie będzie chciał się zadawać ze strzygami i ich przeklętym pomiotem.

– Nie wiedziałam, że strzygi mogły rodzić dzieci.

– Ja też nie wiedziałem. Ale nie mam zamiaru doszukiwać się logiki w legendach.

– Masz rację. – Pasierbica odpowiedziała mu uśmiechem. – To już koniec bajki czy jest coś jeszcze?

Ojczym posłał jej zagadkowe spojrzenie.

– Podobno po jakimś czasie czarownice zaczęły się nudzić...

Nudziły się i zapragnęły męskiego towarzystwa, lecz żaden zdrowo myślący osobnik nie próbował się tam zapędzać, wierząc święcie, że siostry naprawdę są strzygami, toteż zdesperowane niewiasty postanowiły zwabić tych, którzy szukali schronienia. Obiecywały bezpieczny azyl w zamian za świadczenie pewnych usług i wkrótce znaleźli się różni włóczykije niemający swojego miejsca na ziemi oraz wyjęci spod prawa, którzy mając wybór pomiędzy strzygą a katem, wybrali tę pierwszą. Naturalną kolejną rzeczą było, że po odpowiednim czasie na świat przyszły dzieci, potem następne. Legenda milczy, czy odziedziczyły paranormalne zdolności po matkach, mówi natomiast, że dziwnym zrządzeniem losu strzygi rodziły same dziewczynki.

Gdy córki zaczęły dorastać, pojawił się ten sam problem, co uprzednio – potrzebowały partnerów, a tych mogły zdobyć tylko w jeden, sprawdzony już sposób. W stosownym czasie znów przyszły na świat same dziewczynki. I tak dalej, i tak dalej. Później, w czasach już bardziej światłych, gdy w strzygi i upiory nikt prawie nie wierzył, zdobycie partnera wcale nie stało się łatwiejsze. Ludzie niechętnie wiązali się z mieszkańcami odizolowanej wioski, z których każdy był po części potomkiem jakiegoś włóczęgi czy kryminalisty. Zgadzały się na to niemal wyłącznie osoby niemające wielkiego pola manewru, na przykład więźniowie, którzy zostali odrzuceni przez rodzinę i po odbyciu kary nie mieli dokąd wrócić. I ponoć tak dzieje się do dziś.

– Chyba nie mówisz poważnie! – wykrzyknęła Diona,

wysłuchawszy opowiadania. – Wkręcasz mnie, prawda?

Ojczym wytrzymał jej nieufne spojrzenie i zaprzeczył ruchem głowy. Dalej nie wierzyła, więc podsunął jej pomysł.

– Na pewno nadal masz w firmie kogoś, z kim się kumplujesz i komu możesz zaufać. Poproś, żeby sprawdził wyrywkowo kilku mieszkańców Strzygomia w rejestrze skazanych – zaproponował całkiem poważnie. – O dwóch już wiemy. Drawicz i Kotlarski. Obaj mieli za sobą odsiadkę, kiedy trafili do tej wioski. A pani Mira Belka zarzekała się, że wszystko, co mówiła, to święta prawda, dlatego strzygomianie nie chcą rozmawiać z obcymi o przeszłości, a jeśli już nie mają innego wyjścia, po prostu kłamią. To z tego powodu mieszkańcy okolicznych wsi mówią o Strzygomiu „wioska kłamców”.

Rozdział 2

Wśród kłamców

Diona zamierzała pojechać do Strzygomia już w następnym tygodniu po rozmowie z ojczymem, niestety jej plany musiały ulec modyfikacji. Dzień przed wyjazdem zadzwoniła do niej nieznajoma kobieta i przedstawivszy się jako Agata Drawicz, przeprosiła w imieniu matki, że wizyta chwilowo nie może dojść do skutku. Pani Mirosława Belka poważnie zachorowała i właśnie tego dnia wprost z przychodni została przewieziona do szpitala. Więc pani Remańska chyba rozumie, że w tej sytuacji jej przyjazd jest niemożliwy?

Pani Remańska oczywiście rozumiała, jednak to, co poczuła, trudno byłoby nazwać zachwytem. Współczuła, rzecz jasna, chorej kobiecie, ale czy los doprawdy nie mógłby choć raz stanąć po jej stronie? Jeśli już pani Belka koniecznie musiała się rozchorować, nie mogła tego uczynić w innym terminie? Skoro jednak tak się stało, Diona nie miała innego wyjścia jak z rezygnacją pogodzić się ze zmianą planów.

Postanowiła wykorzystać ten czas na poszukiwanie pracy i zabrała się do tego ze zdwojoną energią. Niestety efekty jej starań okazały się, delikatnie mówiąc, nieszczególne. „Proszę złożyć CV i aplikację i czekać. Pani rozumie, sezon urlopowy...” Po pewnym czasie znała już ten tekst na pamięć, a gdy kolejny raz usłyszała sakramentalne „pani rozumie”, miała ochotę krzyknąć. *Niby dlaczego ja mam wszystkich zrozumieć, a w*

drugą stronę w ogóle to nie działa? – rozmyślała z goryczą, wracając z kolejnego nieudanego spotkania z potencjalnym pracodawcą. – *Niedługo bankomat też nie będzie chciał ze mną rozmawiać* – dodała w przyływie czarnego humoru.

Stan jej konta rzeczywiście zbliżał się niebezpiecznie do zera i dziewczyna martwiła się coraz bardziej. Wprawdzie rodzice twierdzili, że niepotrzebnie panikuje, ale nie zamierzała żyć na ich garnuszkach. To już lepiej sprzedać samochód. Na szczęście zdążyła go w całości spłacić i powinna uzyskać za niego niezłą kwotę. Tylko że renault captur był jej pierwszym samochodem i na myśl, że miałyby się go pozbyć, chciało jej się płakać. Ostatecznie postanowiła, że decyzję o ewentualnej sprzedaży podejmie dopiero po powrocie ze Strzygomia. Przecież musiała jakoś się tam dostać, a nie zamierzała pozbawiać rodziców ich jedyne go środka transportu.

W połowie sierpnia wreszcie los się do niej uśmiechnął. Zadzwonił do niej właściciel prywatnej strzelnicy, gdzie nieraz doskonaliła swoje umiejętności, i niemal błagał, by poratowała go i zastąpiła jednego z instruktorów, który z przyczyn rodzinnych musiał niespodziewanie wziąć urlop. Diona miała odpowiednie uprawnienia, więc oczywiście natychmiast się zgodziła. Dwa tygodnie pracy na zastępstwie nie rozwiązywało może jej problemów, ale lepsze to niż nic.

Tydzień później ponownie zadzwoniła Agata Drawicz i w imieniu matki oraz swoim zaprosiła dziewczynę do Strzygomia, dodając, że Diona może przyjechać nawet następnego dnia. To w obecnej sytuacji nie wchodziło w grę, umówiły się więc na początek września, gdy zobowiązania dziewczyny ustaną.

W ostatnim dniu pracy właściciel strzelnicy, Patryk Gartowski, zrobił jej miłą niespodziankę, dokładając do umówionego wynagrodzenia wysoką premię, a po chwili zaskoczył ją jeszcze bardziej, gdy przy pożegnaniu rzucił jakby mimochodem:

– Od nowego roku będę potrzebować instruktora na pełny etat. Ale ty pewnie masz na oku coś lepszego, więc nawet nie proponuję.

Starła się nie okazać, jak bardzo się mylił, i zmuszając się do obojętnego tonu, odparła ze zmarszczeniem brwi mającym znamionować namysł:

– Kurde, Garrett, zaskoczyłeś mnie. Musiałabym się zastanowić... Warunki pracy takie jak teraz? – Mężczyzna, z racji personaliów i zajęcia nazywany przez znajomków Patem Garrettem, przytaknął. – Ile płacisz?

Wymienił kwotę, która wprawdzie nie powalała, ale znacznie przewyższała płacę minimalną. Dziewczyna zastanawiała się, jak powinna odpowiedzieć, żeby nie domyślił się, iż to jej zależy bardziej niż jemu. Mężczyzna prawdopodobnie odebrał ten namysł inaczej, gdyż szybko dorzucił:

– Mówię o pensji netto. Brutto nikogo nie obchodzi, bo każdy chce wiedzieć, ile konkretnie dostanie na rękę.

Teraz już nie miała żadnych wątpliwości, że los postanowił interweniować w jej sprawie. Bez wahania zawróciła do biura, gdzie omówili szczegóły i podpisali umowę, żeby, według słów Patryka, mieć gwarancję.

– Może to racja – przyznała po namyśle. – Znajomość znajomością, a papier zawsze warto mieć.

– Żona mnie tego nauczyła. Jest księgową w biurze rachunkowym i trochę się już napatrzyła na różne sytuacje. Ponoć nawet w rodzinie potrafią dziać się cuda, gdy w grę wchodzi kasa, a umowa jest zawarta na gębę.

– Zapomniałeś, Garrett, gdzie jeszcze niedawno pracowałam? – roześmiała się Diona. – Przedziwne rzeczy nieraz przyszło nam oglądać. – Wstała. – To jesteśmy dogadani. Zgłoszę się w połowie grudnia, żeby dograć resztę formalności, a jakbyś znowu potrzebował zastępstwa, to dzwoń.

– Jasne. – Uścisnął jej rękę. – Dzięki, Dionka. Ratujesz mi

życie. Nie myślałem, że się zgodzisz. Zrobię wszystko, żebyś nie żałowała.

– Ty i ja nadajemy na tych samych częstotliwościach, więc powinno się udać. – Nagle się roześmiała. – Nieraz wbijałam na spontana na imprezę, ale żeby do roboty?

Pokręciła głową z udanym ubolewaniem. Popatrzył na nią, zaskoczony konkluzją, i też się roześmiał.

– A ja jeszcze nigdy na spontana nie przyjmowałem nikogo do pracy. Moim zdaniem to znak, że nam się uda.

Dzięki jednej niepozornie wyglądającej kartce papieru z nagłówkiem „Umowa o pracę” pojechała do Strzygomia z lekkim sercem. W drodze podśpiewywała do wtóru piosenkarzom, a że najczęściej nie знаła tekstu, zamiast słów z jej gardła wydobywało się wesołe „la la la”. Do sąsiadującego ze Strzygomiem Jodłowca dotarła wczesnym popołudniem. Przejechała wolno przez wieś będącą siedzibą władz gminnych, bacznie obserwując mijane obiekty. Nieduży kościół, opodal szkoła, kawałek dalej restauracja... *No tak, tradycji i tutaj musiało stać się zadość, pomyślała nieco zgryźliwie. Kościół, knajpa i szkoła zawsze muszą stać w kupie, żeby potem mieszkańcy mogli sobie ponarzekać na kłopotliwe sąsiedztwo.* Po prawej stronie zobaczyła coś na kształt rynku, więc włączyła kierunkowskaz i skręciła. Zaparkowała na prawie pustym parkingu i wysiadła, przeciągając się po dość długiej jeździe.

Zamknawszy samochód, rozejrzała się ciekawie po budynkach otaczających plac, który nazwała rynkiem, a który z typowym rynkiem niewiele miał wspólnego, kształtem bowiem bardziej przypominał trapez równoramienny. Na jego wierzchołku znajdował się budynek o tak uduchowionej linii architektonicznej, że Dionie od razu przyszło na myśl popularne powiedzenie: „Architekt płakał, jak projektował”.

Z ciekawości podeszła bliżej i ze zdumieniem wpatrzyła się w tablicę informującą, iż mieści się tam komisariat policji. Stała

dość długo, z fascynacją przyglądając się potworkowi, i dopiero po jakimś czasie odkryła, że zachowuje się dokładnie tak samo jak ci, których zawsze wykpiwała, a którzy mimo odczuwanej odrazy z uporem wpatrują się w jakieś obrzydlistwo, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

– Przepraszam bardzo – usłyszała za sobą męski głos. – Może w czymś pomóc? Bo pani chyba do nas? Zapraszam.

Odwróciła się i zobaczyła przed sobą policjanta z gwiazdkami starszego aspiranta na pagonach. Zaskoczona, przez dobrą chwilę nie była w stanie sformułować żadnej odpowiedzi. Pierwszy raz spotkała się z sytuacją, żeby policjant przejawiał tak wielkie zainteresowanie obywatelami, że aż zagadywał ich na ulicy. Może wraz z trzecią gwiazdką dostaje się w pakiecie niespotykaną na co dzień uprzejmość?

– Nie potrzebuję żadnej pomocy – odparła niezbyt grzecznie. Zorientowała się, jak to zabrzmiało, czym prędzej złagodziła więc ton. – Przepraszam pana, na ogół jestem jako tako obyta i nie warczę na ludzi. To z powodu szoku. Jak pan myśli, czy jest szansa, że po jakimś czasie to odzobaczę?

Policjant roześmiał się serdecznie, przeniósł wzrok z jej oblicza na budynek, potem z powrotem na twarz Diony i pokręcił głową z ubolewaniem.

– Obawiam się, że ten obraz na zawsze zostanie pod powiekami. Kto raz go ujrzął, nigdy nie zapomni – orzekł uroczyście. – Pani tu przejazdem...?

– Marcin! Marcin, chodź szybko!

W drzwiach komisariatu stał inny policjant i okrzykami oraz machaniem ręki przyzywał rozmówcę Diony. Ten przerwał w pół zdania, przeprosił i pospieszył w stronę budynku.

– Pierwsze spotkanie z lokalsami zaliczone – zamruczała dziewczyna pod nosem.

Zdołała wreszcie oderwać spojrzenie od jodłowieckiego koszmarka i teraz, idąc wolno w przeciwnym kierunku,

notowała w pamięci usytuowanie innych obiektów. Siedziba władz gminnych, tuż obok ośrodek zdrowia, nieco dalej budynek Ochotniczej Straży Pożarnej z przylegającymi do niego garażami. Przeszła na drugą stronę trapezu i tam dojrzała Gminny Ośrodek Kultury, bibliotekę i pocztę. Na tym najwyraźniej wykaz budynków użyteczności publicznej się wyczerpywał, gdyż z pocztą sąsiadowała pizzeria. Ten widok uprzytomnił Dionie, że od śniadania minęło już wiele godzin.

– Czemu nie? – mruknęła i zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi, na których widniał wydrukowany na atramentówce napis: „Pizzeria u Baby-Jagi”.

Wnętrze tonęło w półmroku. Zsunięte żaluzje przepuszczały tylko wąskie smugi światła, drgające i falujące, gdy lekki podmuch wiatru poruszał długimi pasmami tkaniny. Kompletna cisza zaskoczyła dziewczynę, podobnie jak fakt, że lokal był całkowicie pusty. Żadnego gościa, nikogo z obsługi. *Pewnie pozerają właśnie na zapleczu jakiegoś nieszczęśnika, który zlekceważył wiele mówiącą nazwę i niebacznie się tu zapuścił*, pomyślała i zanuciła pod nosem: „My jesteśmy dzieci drwała, tata jeść nas nie pozwala”.

– Dlatego naszym klientom będziemy serwować pizzę, a nie pieczone dzieci.

Diona podskoczyła ze strachu, wyćwiczonym ruchem sięgając do biodra. Dłoń napotkała tylko materiał dzinsów i dziewczyna miała ochotę głośno zakląć, zła na siebie, że nadal nie pozbyła się nawyków policjantki.

Wolno zwróciła się w stronę rogu sali, skąd dobiegł ją rozbawiony głos. Stał tam stolik z dwoma krzesłami, z których jedno zajmował mężczyzna w kremowej koszuli, zlewającej się idealnie z kolorem ścian. Pewnie dlatego przedtem w ogóle go nie zauważyła. W ręce nie trzymał żadnego groźnego przedmiotu, tylko zwyczajny tani długopis, jeden z tych, jakie można kupić właściwie wszędzie, nawet w sklepie spożywczym.

Rozłożone na stoliku papiery i leżący obok kalkulator świadczyły, że mężczyzna dokonywał jakichś obrachunków. *Jeśli zawsze ma tylu klientów co teraz, to długo sobie nie policzy*, oceniła Diona, na powrót zdolna do logicznego myślenia. Głośno zaś powiedziała:

– Dzień dobry. Czy ten lokal jest czynny?

Mężczyzna zrobił minę, jakby miał zamiar odpowiedzieć: „A wygląda na taki?”. Wykonał nieokreślony gest, coś pomiędzy machnięciem ręką a uniesieniem dłoni na powitanie, uniósł się nieco z krzesła, po czym znów na nie opadł.

– Niestety jeszcze nie. Przykro mi bardzo. Planuję otwarcie dopiero za dwa tygodnie.

Dziewczyna z żalem pożegnała się ze wspaniałym smakiem gorącej pizzy, który wcześniej już niemal czuła w ustach.

– Szkoda. – Odwróciła się, by odejść. – A może jest tu jakaś inna pizzeria? Widziałam jakiś lokal koło kościoła...

Zawiesiła głos, licząc, że mężczyzna odpowie, lecz w tej samej chwili drzwi zostały otwarte tak gwałtownie, że uderzyły w ścianę, a do wnętrza wparowała bardzo ładna, modnie ubrana kobieta ze sztucznie wzburzonymi blond lokami. Przemknęła obok Diony, wionąc intensywnym zapachem perfum, i zatrzymała się przed stolikiem w rogu.

– No jasne, mogłam się tego domyślić – wysyczała z furją. – To ja się staram, załatwiam, umawiam spotkanie, a ty jak zwykle masz wszystko w dupie!

– Justyna, uspokój się. Nigdzie nie pojedę, i ty też nie. Zabraniam ci, słyszysz? Powiedziałem wyraźnie, że nie życzę sobie pomocy twoich znajomych.

Słowo „znajomych” wymówił tonem sugerującym, że ma na myśli więcej niż ogólnie przyjęte znaczenie. Diona przysłuchiwała się wymianie zdań z nieskrywaną ciekawością. Przyzwoitość oraz dobre wychowanie nakazywały oddalić się, by nie zostać świadkiem kłótni, ale z drugiej strony... skoro oni się

nie krępowali obecnością obcej osoby? Dziewczyna porzuciła skrupuły i pozostała na miejscu.

– Pewnie! – wrzasnęła nowo przybyła, wyraźnie tracąc resztki opanowania. – Lepiej być dziadem, ale honorowym, tak? Liczysz, że ci pomogą twoi kumple od mariasza? Żebyś się nie zdziwił! Wiesz co? Mam gdzieś twoje zakazy. Załatwię to sama, a ty wracaj sobie pieszo do tej pierdolonej wioski kryminalistów!

Blondwłose tornado znów przeleciało obok Diony, tak blisko, że ta poczuła na odsłoniętych ramionach pęd powietrza, a w nozdrza ponownie uderzył ją duszący zapach zbyt słodkich perfum. Gwałtownie pociągnięte drzwi zatrzasnęły się z hukiem i w pustym lokalu nastąpiła taka cisza, że westchnienie mężczyzny zabrzmiało wyjątkowo głośno.

– Przepraszam panią za tę atrakcję. Niestety moja żona nie przejmuje się tym, że ma audytorium niekoniecznie życzące sobie wysłuchiwanie jej wrzasków.

– Za to ma niezłe wejścia i jeszcze lepsze wyjścia – mruknęła dziewczyna. – Ja też już sobie pójdę, skoro pizzeria jeszcze nie działa. Do widzenia.

– Do widzenia – odparł mężczyzna, wychodząc z cienia. – Do zobaczenia po otwarciu. Ale pani jest tu pewnie tylko przejazdem, więc nie będzie okazji.

Nie zamierzała tłumaczyć, skąd się tutaj wzięła i jak długo planuje zostać, toteż tylko skinęła głową. Już zamierzała opuścić lokal, gdy naraz w jej głowie zaskoczył jakiś trybik.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam – odezwała się z lekkim wahaniem. – Chce pan dostać się do Strzygomia?

– Skąd pani wie? – Zmarszczył brwi w głębokim namyśle. – A, rozumiem, już do pani dotarło, jaką niesławą okryta jest nasza wioska. Rzeczywiście chcę się tam dostać. Co w związku z tym?

– Tylko to, że właśnie tam zmierzam, więc jeśli pan chce, może pojechać ze mną. – Spojrzał tak nieufnie, że musiała się uśmiechnąć. – Spokojnie, ja naprawdę nie stanowią zagrożenia.

Nie jestem zboczeńcem wabiącym niewinnych mężczyzn do samochodu, żeby ich potem wywieźć do lasu i tam okrutnie zgwałcić. Ale jak pan chce.

Wzruszyła ramionami i już bez oglądania się wyszła z lokalu. Nie to nie. Postanowiła zawrócić do mijanej restauracji, lecz najpierw wstąpiła do sklepu, by uzupełnić zapas papierosów. Tam wdała się z ekspedientką w krótką pogawędkę i po chwili już wiedziała, że restaurację należy omijać szerokim łukiem.

– Drogo tam jak cholera, więc przy stolikach pusto, bo nikogo tu nie stać, żeby płacić za posiłek pięćdziesiąt zeta, jak w sąsiedniej wiosce można kupić smaczniejszy za niecałe dwie dychy. Babka gotuje bosko i wszystko świeżutkie, nie to, co tutaj. W restauracji nie mają zbyt wielu klientów, więc pewnie dlatego wszystko smakuje tak, jakby już z pięć razy wcześniej to odgrzewali.

Diona podziękowała serdecznie, wdzięczna za cenną informację. Gdyby nie ekspedientka, z pewnością pojechałaby tam i wydała pieniądze na niejadalny posiłek. Niestety głośnie burczenie w brzuchu przypomniało, że właściwie nie bardzo ma się z czego cieszyć. Uratowanymi pieniędzmi głodu nie zaspokoi.

– Mówiła pani o sąsiedniej wiosce – przypomniła ekspedientce. – Że tam można smacznie i tanio zjeść. To daleko stąd?

– Przyjechała pani samochodem? – spytała kobieta, a uzyskawszy potwierdzenie, machnęła ręką. – Autem to będzie jakieś dziesięć minut. No, o tej porze może trochę więcej, bo jedni wracają z zakupów, a inni z sobotniego wypadu nad wodę. Tam w Strzygomiu jest piękny duży staw, czyściutki i w dodatku pod samym lasem. Dużo ludzi tam jeździ, dlatego Mirabelka zdecydowała się otworzyć jadłodajnię.

– Kto? – spytała Diona słabym głosem.

Obdarzając przyszłą gospodynię mianem Mirabelki, nie

spodziewała się, że kobieta rzeczywiście nosi takie przezwisko. Wprawdzie skojarzenie było oczywiste, ale i tak uznała to za omen. Nie wiedziała tylko, czy dobry, czy zły.

– Tak ją nazywamy, bo ma na imię Mirosława. Kiedyś wszyscy mówili do niej Mira. Potem wyszła za mąż za faceta nazwiskiem Belka i została Mirabelką.

Diona podziękowała grzecznie i zawróciła do samochodu. Humor znacznie jej się poprawił, cały czas bowiem zastanawiała się, w jaki sposób zorganizować sobie wyżywienie. Gotować nie umiała i nie lubiła, lubiła natomiast dobrze zjeść i zawsze popadała w zły humor, gdy z jakichś względów musiała zrezygnować z gorącego posiłku. Koledzy z komisariatu nie mogli się nadziwić, gdzie ona to mieści, gdy po zjedzeniu powiększonego zestawu hot wings z podwójnymi frytkami zaczynała narzekać, że KFC schodzi na psy, serwując coraz mniejsze porcje, po czym dokupywała jeszcze trzy skrzydełka i porcję frytek, by porządnie „doładować akumulatory”.

Dochodziła już do samochodu, gdy usłyszała za sobą męski głos:

– Proszę pani! Halo, proszę zaczekać!

Nikt jej tutaj nie znał, toteż zlekceważyła wołanie i szła dalej, nie oglądając się. Przy aucie przystanęła, przegrzebując torebkę w poszukiwaniu kluczyków. Zakłęła, stwierdziwszy, że złośliwie wsunęły się pod rozerwaną podszewkę, którą od miesiąca planowała zaszyć, lecz ciągle o tym zapomniała. Wydobyła je w końcu i chwyciła tak niezgrabnie, że już w następnej chwili upuściła je wprost na stopy. Kucnęła, podniosła wykazujący zadziwiającą ruchliwość przedmiot i w tej samej chwili zahaczyła wzrokiem o zbliżającego się szybko mężczyznę, w którym rozpoznała właściciela nieczynnej pizzerii.

– Ależ pani szybko chodzi – wydyszał. – Już myślałem, że pani nie dogonię. Wołałem kilka razy, ale...

– Nie sądziłam, że to było do mnie – odparła, otwierając

samochód. – O co chodzi?

– Jeśli propozycja podwózki jest aktualna, to chętnie bym się z panią zabrał.

– Czemu nie? – Diona wzruszyła ramionami. – Proszę.

Po chwili wyjechała z trapezowatego rynku. Miała tylko dwie możliwości – albo wybrać kierunek, z którego niedawno przyjechała, albo przeciwny. Wracać nie zamierzała, skręciła więc w prawo i dopiero po kilku minutach, dojeżdżając do jakiegoś skrzyżowania, uprzytomniła sobie, że zapomniała ponownie uruchomić nawigację. Mężczyzna domyślił się powodów nagłego zmniejszenia prędkości i rzucił krótko:

– Do Strzygomia prosto. – Po chwili zaś zapytał: – Naprawdę pani tam jedzie?

– A co, znowu się pan boi, że coś panu zrobię? Muszę na moment gdzieś się zatrzymać, żeby włączyć nawigację.

– Nie trzeba, popilotuję panią. Dojazd do Strzygomia to żadna filozofia. Trzeba cały czas trzymać się tej drogi i wjedzie się wprost do wioski.

– Tak mi się wydawało, ale nie byłam pewna, czy dobrze zapamiętałam.

Diona zauważyła, że mężczyzna kilka razy zrobił minę, jakby chciał o coś zapytać, lecz ostatecznie powstrzymał się i tylko popatrywał na nią z nieskrywaną ciekawością. Domyśliła się, że intrygowało go, kogo zamierzała odwiedzić, ale postanowiła nie zdradzać tego, dopóki nie rozmówi się z Mirą Belką. Nie miała pojęcia, jaką legendę gospodyni przygotowała, by wytłumaczyć obecność gościa.

Od dłuższego czasu jechali przez las, gęsty, ciemny i ponury, i gdy wreszcie wydostali się z niego, aż zmrużyła oczy, oślepiona słońcem. Zwolniła, wjeżdżając w ostry zakręt, a po chwili na wprost ujrzała nieliczne zabudowania.

– To już Strzygom – odezwał się mężczyzna.

– Niewielki – oceniła po liczbie widzianych domostw. – Chyba

że nie widać stąd wszystkich zabudowań.

– Nie no, bez przesady, aż tak mały to nie jest. Za tym laskiem znajdują się następne domy. Wioska kończy się dopiero za stawem.

– A ten staw ma jakąś nazwę? – spytała bez większego zainteresowania.

– Po prostu staw w Strzygomiu – odparł, a Diona pokiwała głową.

– Tak myślałam. Ile tu jest mieszkańców?

– W tej chwili stu siedemdziesięciu siedmiu, włącznie z tymi, którzy nie z własnej woli przebywają poza domem.

Zaskoczona Diona oderwała wzrok od drogi, by spojrzeć na rozmówcę. Nie wyglądał na kogoś, kto żartuje.

– Jak to możliwe...? – Urwała, zastanawiając się, czy pytanie nie wyda mu się zbyt wścibskie.

Mężczyzna nie wyglądał na urażonego jej ciekawością, przeciwnie, natychmiast rozjaśnił twarz w uśmiechu.

– Za nami został Jodłowiec, przylegający do Strzygomia od północy i zachodu. Od wschodu wioska graniczy ze Świercznicą, a od południa z Kaletami. Wszystkie te wioski są dużo większe, zwłaszcza Jodłowiec. Co jakiś czas władze powiatowe czy wojewódzkie podnoszą plan przyłączenia Strzygomia do którejś z tych okolicznych wsi, właśnie dlatego, że nasza wioska jest taka mała. Ale jak na razie udało się zachować autonomię.

Diona wprawdzie nie o to zamierzała zapytać, ale słuchała wywodu z przyjemnością, tym bardziej że informacje mogły się kiedyś przydać.

– W takim razie musicie mieć wielką siłę perswazji – zauważyła nie bez podziwu. – Wygrać z urzędnikami to naprawdę sukces.

– Mamy w tym sprzymierzeńców – wyjaśnił. – Po prostu te wsie wcale się nie kwapią do połączenia. Nikt nie życzy sobie

mariażu z wioską kłamaców. Ale ja gadam i gadam, a jesteście już na miejscu – zreflektował się naraz. – Gdyby mogła się pani zatrzymać koło Mirabelki, byłbym bardzo wdzięczny.

– Koło czego?!

Nie musiała udawać zdumienia. Tych przypadków było stanowczo zbyt wiele.

– Zapomniałem, że pani nie jest stąd. Zielony dom za przystankiem autobusowym, niedaleko stawu. Zaraz zobaczymy szyld.

Rzeczywiście już z daleka dostrzegła wiszącą na latarni reklamę. Napis głosił: „Obiady u Mirabelki”, a strzałka kierowała ewentualnych klientów w stronę dużego, otynkowanego na zielono domu z dobudowaną oszkloną werandą. Z boku Diona zauważyła parking i wjechała na jedno z trzech wolnych miejsc. Pozostałe były zajęte, co dobrze świadczyło o talencie kulinarnym Miry Belki.

– Ma pani zamiar zjeść tutaj posiłek? – W ten sposób mężczyzna wytłumaczył sobie powód, dla którego tu zaparkowała, a Diona nie zamierzała wyprowadzać go z błędu. – Pizzy nie mają, za to wszystkie potrawy są naprawdę godne polecenia. Serdecznie dziękuję za transport. Ile się należy?

– Niech pan się nie wygłupia, nie jestem z Ubera. Dobre słowo wystarczy.

– W takim razie jeszcze raz dziękuję. Do widzenia.

Wysiadł i poszedł w swoją stronę, a dziewczyna po chwili także opuściła pojazd i wolno ruszyła na spotkanie z Mirabelką.

*

Mirosława Belka zdecydowanie nie spełniła oczekiwań Diony. W niczym nie przypominała dobrodusznej babuni, dla której

sensem istnienia jest dogadzanie wnukom. Nie miała nieporządnie uczesanych siwych włosów ani bezkształtnych ubrań i nie wyglądała na osobę biegającą do kościoła na każde nabożeństwo. Zresztą z tym ostatnim miałyby problem, gdyż w Strzygomiu chyba taki obiekt w ogóle nie występował. Przynajmniej Diona nigdzie nie zauważyła kościelnej wieży.

Belka ukończyła sześćdziesiąt osiem lat, lecz wyglądała na dużo mniej. Modna fryzura, gustowna odzież pasująca do odrobinę zbyt pulchnej sylwetki i młodzieńczy błysk w oczach stanowczo zaprzeczały stereotypowi. Przywitawszy się z gościem, natychmiast zarządziła podanie posiłku. Najpierw jednak spytała, czy aby Diona nie należy do osób uważających spożywanie mięsa za źródło wszelkiego zła.

– Broń mnie Boże – odparła ubawiona dziewczyna. – Jestem zatwardziałym mięsożercą, a jeśli mam za to pójść po śmierci do piekła, to trudno. W sumie lubię ciepło, więc to nawet dobrze.

Po chwili z zapałem dobrała się do ogromnego kotleta, zagryzając go surówką z marchwi i słuchając z uwagą, jakie uzasadnienie jej obecności w wiosce wymyśliła ta energiczna, sympatyczna kobieta.

– Rozpowiem wszystkim, że jesteś daleką krewną Jaśka – oznajmiła Mirosława, rozsiadając się wygodnie naprzeciwko gościa. Zauważywszy zdziwienie dziewczyny, błędnie odczytała jego powody i wyjaśniła: – Jeśli mam udawać pani ciotkę, muszę mówić do pani po imieniu.

– Ee oo iie iiwiło – wybełkotała Diona pełnymi ustami. Czym prędzej przełknęła, odetchnęła głęboko i powtórzyła już normalnie: – Nie to mnie zdziwiło. Oczywiście, że musi pani po imieniu. Ja będę nazywać panią ciocią. Ale nie wiem, kto to jest Jasiek.

– Był – uściśliła Belka. – To mój mąż, Panie, świeć nad jego duszą. I lepiej świeć porządnie, bo na pewno jej się to przyda.

Nie był porządnym chrześcijaninem za życia ten mój Jasiek, oj nie był.

Ujrawszy jej rozmarzoną minę, Diona z trudem stłumiła śmiech. Przełknęła kolejny kęs kotleta, z żalem spoglądając na prawie opróżniony talerz.

– Do niedawna byłam policjantką i tak sobie myślę, że nie powinniśmy tego ukrywać. To taka firma, że wszyscy wszystkich znają, więc nie ma sensu się podkładać. Chociaż spotkałam w Jodłowcu jednego policjanta i on mnie na pewno nie zna. Ciemny blondyn średniego wzrostu, z oczami jak grafit z ołówka.

– A, to musiał być Marcin Lipski – orzekła Belka. – Przystojny skubaniec. Widziałaś, jaki ma zgrabny tyłek?

Tu już Diona nie wytrzymała i roześmiała się głośno. Pani Mirosława uśmiechnęła się także, po czym wstała, by odnieść do kuchni opróżniony do ostatniej okruszyny talerz.

– Macie może ruskie pierogi? – spytała dziewczyna z nadzieją w głosie.

– Pewnie, że mamy. Osobiście robiłam. – W głosie kobiety zabrzmiała duma. – Przynieść? Małą porcję czy dużą?

– Dużą.

– I to lubię! Nie znoszę, gdy przychodzą takie wypindrzone pannice i tylko grzebią w talerzach, a w oczach świecą im się ekrany kalkulatorów przeliczających kalorie. Po to bozia dała nam żarcie i apetyty, żebyśmy z nich korzystali.

Pierogi rzeczywiście smakowały wyśmienicie. Diona z pełnym przekonaniem orzekła, że lepszych nigdy nie jadła, czym wprowadziła Belkę w zachwyt.

– Poznałam jeszcze jednego przystojniaka – pochwaliła się dziewczyna, zwalniając pod koniec tempo. Wreszcie czuła się najedzona. – Ciemne, prawie czarne włosy, oczy ni to zielone, ni to piwne i taki głos, że można by za nim iść do piekła.

Mirosława zamyśliła się, przywołując w pamięci twarze

młodych mężczyzn, i wreszcie bezradnie rozłożyła ręce.

– To musi być któryś z potomków Diabelskiego Śpiewaka, ale nie mam pojęcia który. Oni wszyscy są do siebie podobni.

– Diabelski Śpiewak? Jaka wspaniała ksywka! – zachwyciła się Diona. – Ale czemu diabelski?

– Bo uwodził swoim śpiewem kobiety, a potem zabierał im pieniądze i znikał. Tak mi mówiono. Mnie jeszcze wtedy nie było na świecie, więc znam to tylko z opowiadań. Pojawił się tutaj tuż przed wojną, rozkochał w sobie trzy dziewczyny, po czym zniknął. Później te dziewczyny urodziły synów, podobnych do niego jak dwie krople wody. – Mira Belka znów się zamyśliła. – Musiałabym się zastanowić. Ci młodzi to są prawnukowie Śpiewaka. Wszyscy podobni do siebie, chociaż pokrewieństwo jest już mocno rozmyte. Powiesz, jak ma na imię ten, którego poznałaś?

– Nie mam pojęcia, nie przedstawił się, ale za to wiem, że planuje otworzyć pizzerię w Jodłowcu.

Kobieta spochmurniała. Wsparła ręce na wydatnym biuście, westchnęła głośno i z ponurą miną potrząsnęła głową.

– To Leszek Hardy. Faktycznie jest przystojny – mruknęła. – Ale żonaty. Jeszcze, bo długo to chyba już nie potrwa. Nie powinien był w ogóle żenić się z tą księżniczką, ale złapała go na dziecko. Tyle dobrego, że mała jest do niego podobna, przynajmniej ma chłopak pewność, że to rzeczywiście jego córka.

Do stolika podeszła młodsza i szczuplejsza wersja Belki, a Diona rozpoznała w niej kobietę, która przedtem zajmowała się wydawaniem posiłków. Teraz sala była już pusta, ostatni klient właśnie opuścił jadłodajnię.

– To ja do pani dzwoniłam – przypomniała się Dionie. – Nazywam się Agata Drawicz. Chodźmy na górę, porozmawiamy w mieszkaniu. Zostaw to, mam – powstrzymała Mirosławę sięgającą po talerz, z którego zniknął już ostatni pieróg. – Ewka

powiedziała, że sama posprząta.

Najpierw pokazały Dionie pokój, lecz nie pozwoliły jej długo w nim pobyć. Ledwo zdążyła otworzyć torbę, a już rozległo się pukanie do drzwi, a zaraz potem dziecięcy, lekko zdyszany głos:

– Mama powiedziała, że mam panią zaprowadzić na dół, na kawę.

Dziewczyna otworzyła drzwi. W korytarzu stała dwunastoletnia może dziewczynka, uderzająco podobna do matki. Takie same brązowe, przetykane złocistymi pasmami włosy, takie same niebieskoszare oczy pod łukami delikatnie zarysowanych brwi.

– W takim razie chodźmy. Jak masz na imię?

Dziewczynka zdążyła już zbiec na półpiętro. Tam się zatrzymała i obejrzała na schodzącą Dionę.

– Aniela.

W jej głosie wyczuwało się głęboką niechęć i Diona stłumiła śmiech. W tym wieku rzadko która dziewczynka jest zadowolona ze swojego imienia, lecz w tym konkretnym przypadku naprawdę nie było czego się wstydić.

– Bardzo ładne imię – stwierdziła z przekonaniem. – Zazdroszcę.

– Naprawdę? – Mała spojrzała uważnie, jakby oceniając, czy może uwierzyć w prawdziwość deklaracji. Znów ruszyła w dół, tym razem wolniej. – Moja siostra ma na imię Emilia. Mówimy na nią Mila.

– Też ładnie.

– E tam. – Dziewczynka wykrzywiła się do Diony. – Inne dziewczyny w szkole mają takie ładne imiona. Dżesika, Vanessa, Ginewra... A my wszystkie z wioski przygłupów mamy same starocie.

– Chyba przesadzasz. Aniela i Emilia to bardzo ładne imiona.

– Nie są najgorsze – przyznała dziewczynka po namyśle. – Ale dzieci cioci Ewy to już straszna siara. Jadwiga, Urszula

i Wanda, wyobraża pani sobie? A wujek Leszek nazwał swoją córkę Janina. Biedne dziecko! – uzalała się tak szczerze, że Diona nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

Wchodziły akurat do pomieszczenia będącego czymś w rodzaju skrzyżowania salonu z gabinetem i siedzące tam kobiety spojrzały zdumione na zaśmiewającą się dziewczynę. Aniela z kolei popatrzyła na nią z wyrzutem.

– Aniela, nie męcz pani – zwróciła jej uwagę matka, lecz dziewczynka to zlekceważyła, znów zwracając się do Diony.

– Dobrze się pani śmiać – stwierdziła z goryczą. – Bo nie musi się pani męczyć z takim głupim imieniem.

– Z takim rzeczywiście nie. A tak w ogóle to nie powinnaś mówić do mnie „pani”. Jesteśmy przecież rodziną. – Posłała starszym kobietom porozumiewawcze spojrzenie. – Wprawdzie rodziną dość daleką, ale zawsze. Mam na imię Diona.

Aniela rozdziawiła usta, oniemiała z zachwytu. Jej matka natomiast wychwyciła ton rezygnacji, z jakim imię zostało wypowiedziane, i uniosła brwi.

– A jak naprawdę?

– Dioniza. – Diona zerknęła na dziewczynkę. – Przy tym imieniu Aniela czy Emilia to szczyt piękności. Chciałabyś się zamienić, gdybyś w dodatku musiała nosić nazwisko Kicek? A tak właśnie się nazywałam, kiedy byłam mężatką. Piękne połączenie, prawda?

– Noo.

Aniela zagryzła wargi, widać było, że walczy ze śmiechem. Jej młodsza siostra, która od jakiegoś czasu stała w progu, nie miała takich oporów i głośno zachichotała. Agata zawtórowała córce, po czym spytała z ciekawością:

– Naprawdę Kicek?

– Naprawdę. Wiesz, ile razy koledzy w pracy mnie pytali, czy Sucha Beskidzka to moje rodzinne miasto?

– Kurczę, tępa jestem... – Agata spojrzała bezradnie. – Nie

rozumiem. Dlaczego Sucha Beskidzka?

– Nie słyszałaś tej opowieści? – zdziwiła się Diona. – Podobno dawno temu ta miejscowość nazywała się Sucha, gdyż mieszkał w niej smok imieniem Kicek, który wypijał wszystką wodę. Wreszcie zdesperowani mieszkańcy zatłukli smoka kłonicami i od tej pory używano nazwy Sucha bez Kicka.

Duże i małe kobietki z rodu Mirabelki roześmiały się serdecznie, a dziewczynki zaczęły wypytywać Dionę o szczegóły. Interesowało ich zwłaszcza, co to jest kłonica, co dało dziewczynie jasny obraz zmian, jakie dokonały się na wsi na przestrzeni ostatniego dwudziestolecia. Stare obyczaje i stare sprzęty powoli odchodziły w niebyt.

– No dobra, pośmiałyśmy się, ale teraz dosyć tego dobrego. Dziewczynki, zmykać do nauki. A my sobie siądziemy przy kawie – zarządziła po chwili Mirabelka.

Aniela otworzyła usta, by zaoponować, lecz spojrzawszy na minę matki, wywróciła tylko oczami i wyszła. Kobieta popatrzyła na drzwi, za którymi zniknęły dzieci, i westchnęła.

– Ciężko im bez ojca. Ale wiedzą, że mnie też nielekkko, dlatego się nie buntują.

Diona dopiero teraz uświadomiła sobie, że obie żony skazanych zostały same z dziećmi i nikogo nie obchodziło, jak żyją i czy w ogóle mają z czego się utrzymać.

– Jak sobie pani radzi? Mam na myśli kwestie finansowe. Pewnie nie jest łatwo?

– Teraz już nie mam problemów. Dzięki mamie. – Drawiczowa posłała Belce spojrzenie pełne czułości. – Ale na początku, jak Mariusza zabrali, było niewesoło. On i Bogdan naprawdę harowali w tym warsztacie, więc mieli spore dochody. Ja nie pracowałam, Ewka też nie. Byłyśmy, jak to się czasem mówi, przy mężach.

– Tak mówią tylko idioci, którzy nigdy nie skalali się w domu żadną pracą – oburzyła się Belka.

– To prawda – poparła ją Diona, nienawidząca typowych domowych czynności. – To ciągle sprzątanie i gotowanie. – Przy ostatnim słowie aż się wzdrygnęła. – I dwoje dzieci do ogarnięcia. A Kotlarska troje, prawda?

– Tak, trzy dziewczynki. W naszej wiosce kłamców zawsze rodziły się głównie dziewczyny. Podobno taka jest natura strzyg, że mogą rodzić tylko córki.

Mirosława powiedziała to poważnie, lecz ton głosu został złagodzony uśmiechem, przez co Diona nie potrafiła jednoznacznie stwierdzić, czy kobieta żartuje, czy może jednak wierzy w legendę, strzygi i kłątwe.

– Nagle z dnia na dzień zostałyśmy bez środków do życia, a o pójściu do pracy nie było co marzyć – kontynuowała Agata. – Wykształceni ludzie nie mogą znaleźć roboty, a co dopiero my. Obie po ogólniaku, bez zawodu, bez stażu... Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie mama.

Diona skinęła głową. Dobrze wiedziała, jak wygląda rynek pracy, sama wszakże dopiero co przeszła tę drogę przez mękę. A przecież mieszkała w mieście, gdzie zakładów nie brakowało. Tu, w wiejskim środowisku, na pewno było jeszcze gorzej.

– Wiem, jak to jest – mruknęła. – Mnie też rodzice pomogli. Ale to nie rozwiązywało problemu, bo ileż można.

– No właśnie. – Agata popatrzyła ze zrozumieniem. – Dlatego wymyśliłam tę jadłodajnię. Gotować umiemy, a sąsiad przerobił moje mieszkanie na lokal. Dzięki temu i Ewka ma zarobek, a z nią było jeszcze gorzej. Jej matka choruje od lat i prawie całą emeryturę wydaje na lekarstwa.

Remańska uświadomiła sobie naraz, że obie kobiety mają przecież potencjalne źródło utrzymania.

– Co się stało z warsztatem? – spytała, chcąc wyjaśnić tę sprawę. – Sprzedały panie?

Agata pokręciła głową tak energicznie, że brązowożłote loki wymknęły się z kucyka i opadły na twarz. Odgarnęła je

niecierpliwie.

– Nie sprzedaliśmy i nie sprzedamy – odparła twardo, zdecydowanie. – To byłoby pogodzenie się z losem. Nie rozumiesz? Nie sprzedamy, bo wierzymy, że nasi mężowie wkrótce wrócą. Nie może tak być, żeby siedzieli w więzieniu za cudze winy!

Głos jej się załamał, w oczach błysnęły łzy. Był to jak na razie jedyny objaw słabości i Diona pomyślała, że ta kobieta musi być wyjątkowo silna psychicznie. Popatrzyła na nią z szacunkiem.

– To co w takim razie z tym warsztatem? Wynajęłyście panie komuś czy zatrudniłyście pracowników?

Drawiczowa znowu pokręciła głową, wycierając jednocześnie mokre policzki.

– Wśród naszych nie ma żadnego fachowca od samochodów. Mam na myśli mieszkańców Strzygomia – sprecyzowała. – A obcy...? – Machnęła tylko ręką, lecz na widok uniesionych brwi Remańskiej wyjaśniła: – Jedyne, co ich interesowało, to zarobek. Wiedzieli, że zostałyśmy same, i postanowili to wykorzystać. Żądali takich pensji, jakby mieli naprawiać krążowniki międzyplanetarne.

– Z wynajmem było podobnie – włączyła się Mirabelka. – Zgłosiło się kilku chętnych, ale nie podobała im się wysokość czynszu. Uważali, że robią dziewczynom łaskę, i proponowali tak śmieszłą kwotę, że to w ogóle nie wchodziło w grę. W końcu znalazł się taki, co zaakceptował warunki, ale zanim doszło do podpisania umowy, policja wsadziła go do paki. Podobno za przemyt papierosów.

– Wtedy zrezygnowaliśmy z wynajmu. – Agata podniosła na Dionę zmęczone oczy. – Nasi mężowie przecież niedługo wrócą – oświadczyła cokolwiek zbyt głośno, podniesionym tonem pokrywając niepewność.

– Oczywiście, że wrócą – potwierdziła Belka i szybko zmieniła

temat. – Jadłodajnia zaczęła przynosić niezłe zyski, więc uznaliśmy, że nie ma co na siłę szukać chętnych, i darowałyśmy sobie pomysł z najmem. Ja mam emeryturę, a dziewczynom wystarczają zyski z lokalu.

– Ale firma chyba jest na panią? – Diona wspomniała szyld przy drodze i spojrzała pytająco na Mirę.

– Na ciebie, nie na panią – poprawiła ją Belka. – Jestem twoją ciocią, nie pamiętasz? Do Agaty też nie możesz zwracać się tak oficjalnie, przecież jesteście kuzynkami. A firma jest na mnie, bo jestem już emerytką i nie muszę płacić składki na ZUS.

– Mogłaby być na mnie, przez dwa lata płaciłabym preferencyjną składkę – przyznała Agata, spoglądając porozumiewawczo na matkę. – Podobnie Ewka. Ale postanowiłyśmy, że nie damy ani złotówki państwu, które pozwala, by jego obywatele siedzieli w więzieniu za coś, czego nie zrobili. – Oczy Drawiczowej łypały gniewnie spod zmarszczonych brwi. – Obie pracujemy tu na czarno i prędzej szlag mnie trafi, niż zapłacę im jakiś podatek.

– A ja opłacam tylko składkę na ubezpieczenie zdrowotne, co i tak jest zwykłym złodziejstwem, bo raz już mi ją strącają z emerytury. Jak idę do lekarza, to przecież nie bada mnie dwa razy!

Oburzona Mira odstawiła trzymany w ręce kubek z kawą gestem tak energicznym, że ciemna ciecz wychlusnęła na śnieżnobiały obrus. Kobieta wymamrotała pod nosem jakieś słowa, intonacją kojarzące się z przekleństwem, i sięgnęła po ścierkę.

– Dobrze, że przez wieś prowadzi trasa przelotowa w stronę granicy ze Słowacją – westchnęła Agata. – Dzięki temu spory tutaj ruch i na brak klientów nie narzekamy. Ewka już dawno spłaciła długi, które zaciągnęła u sąsiadów. Na szczęście ludzie we wsi trzymają ze sobą i jeden drugiemu zawsze pomoże. Życie nas nauczyło, że w razie kłopotów możemy liczyć tylko na

siebie.

– Zawsze tak było: my kontra reszta świata. – Mira pokiwała głową. – Możemy się kłócić między sobą, ale jak przychodzi co do czego, nikt przed obcymi nie powie na sąsiadów nawet jednego złego słowa.

Diona pomyślała, że ta wiejska solidarność nie jest jednak tak doskonała, jak wynikałoby ze słów Mirabelki. Z tego, co udało się ojczymowi dowiedzieć i co ona sama później wyczytała w Internecie, znalazł się świadek, który zeznawał przeciwko Drawiczowi i Koblarskiemu. Wniosek z tego, że wioska kłamców nie zawsze stoi murem przeciw zewnętrznemu światu. Na monolicie pojawiły się pęknięcia. Ciekawe, czy jedyne.

Rozdział 3

Potomek Diabelskiego Śpiewaka

Pierwszą połowę września Diona spędziła na poznawaniu ludzi i terenu. Jedno i drugie było niezbędne dla wyrobienia sobie całościowej opinii, zwłaszcza po tym, gdy odkryła, że warsztat stanowiący źródło utrzymania Drawiczów i Kotlarskich wcale nie znajduje się w obrębie Strzygomia. Gdy jeden ze wspólników odziedziczył podłużny barak mieszczący się na dużej działce, natychmiast wyremontowali ruderę, przerabiając ją na warsztat. Dziewczyna uzmysłowiła sobie, że mijala go po drodze. Budynek położony był na peryferiach Jodłowca, z dala od ścisłego centrum, i za najbliższe sąsiedztwo miał z jednej strony opuszczony, chylący się ku ruinie dom mieszkalny, z drugiej stojące do niego tyłem chlewnie.

Usłyszawszy o tym od Mirabelki, dziewczyna zamyśliła się głęboko. Wyciągnęła notes i zapisała tę informację, dodając na końcu ogromny pytajnik.

Dziesięcioletnia Mila usadowiła się obok na krześle, podciągając nogi na siedzisko tak, że kolanami dotykała brody. Rozejrzała się przy tym czujnie, sprawdzając, czy nie ma gdzieś w pobliżu matki, gdyż ta kategorycznie zabraniała jej siedzieć „tak nieporządnie”.

– Podobno jesteś policjantką – zagaiła, popatrując z ciekawością na ciotkę, o której istnieniu tak długo nie miała pojęcia.

Usłyszawszy pytanie, starsza z sióstr także usiadła przy stole

i teraz obie wpatrzyły się zachłannie w Dionę. Na ich twarzach malowały się szacunek i zachwyt i dziewczyna poczuła zażenowanie tak jawnie okazywaną atencją.

– Byłam – odparła krótko. Zamknęła notes i wstała, lecz rozżalone spojrzenia sióstr nie pozwoliły jej odejść. Usiadła na powrót i podparła brodę pięścią. – Służyłam w policji przez blisko osiem lat. To ciężka i niewdzięczna praca, dlatego odeszłam.

A teraz powinien spaść grom z jasnego nieba i trafić mnie w głowę za to kłamstwo, pomyślała, siląc się na obrócenie całej afery w żart.

– Miałaś pistolet i kajdanki? Umiesz strzelać? Chodziłaś w mundurze? Jaki miałaś stopień? Wsadzałaś ludzi do więzienia? Zastrzeliłaś kogoś?

Uśmiechnęła się, słysząc pytania, niczym nieróżniące się od tych wygłaszanych nieraz przez dorosłych. Siostry Drawiczówny powieliły utarty schemat, z tą jednak różnicą, że w ich ustach pytania nie irytowały, jako zadane z prawdziwej dziecięcej ciekawości, nie dla usłyszenia jakichś sensacji, które potem można by opowiadać dla zaimponowania znajomym na imprezach.

– Miałam kajdanki i broń, bo to jest podstawowe wyposażenie każdego policjanta – odpowiedziała, spoglądając przyjaźnie na dziewczynki. Zdążyła je już polubić. – Wprawdzie nie każdy policjant na co dzień paraduje z bronią, ale ja ją nosiłam. Pracowałam w komisariacie i często wyjeżdżałam w teren. Z tego samego powodu chodziłam w mundurze.

Siostry przez chwilę przetrawiały uzyskane informacje. Wydawały się usatysfakcjonowane i Diona już uznała, że to koniec przesłuchania, gdy od drzwi rozległ się męski, lekko rozbawiony głos:

– Nie odpowiedziała pani na połowę pytań. Na przykład, jaki pani miała stopień. To taka tajemnica?

Aż podskoczyła, usłyszawszy go tak nagle za sobą, i obejrzała się z groźną miną, chcąc powiedzieć intruzowi kilka słów na temat podsłuchiwania i straszenia ludzi. Leszek Hardy nie wyglądał na kogoś, kto przejąłby się reprimendą. Stał w nonszalanckiej pozie, opierając się ramieniem o futrynę, i przyglądał jej się z kpiącym uśmiechem.

– Żadna tajemnica – odparła w końcu, wzruszając ramionami.

– Byłam aspirantem. Coś jeszcze?

– Jak miała się sprawa z tym zabijaniem? Bo wolałbym wiedzieć i w razie czego się przygotować.

Nawet się nie uśmiechnęła.

– Na razie jeszcze nikogo nie zastrzeliłam, ale zawsze można coś w życiu zmienić. Od nowego roku będę pracować jako instruktor na strzelnicy, więc zapraszam.

– Chyba jednak nie skorzystam. – Kpiący uśmiech nagle zniknął. – Rozmawiałem o pani z ciotką Mirą i myślę, że powinniśmy pogadać. Ej, młode – zwrócił się do Drawiczówien – Janinka zaprasza was na lody.

– Kiedy mamy przyjść? – Dziewczynki wyraźnie się ożywiły.

– Teraz. Czeka na was.

Jeszcze nie skończył mówić, a już były przy drzwiach. Odczekał chwilę, po czym podszedł do okna i z uwagą przez chwilę spoglądał na drogę, wreszcie, uspokojony, usiadł na miejscu zwolnionym przez Emilię.

– Wolałem się upewnić, czy na pewno poszły – wyjaśnił. – To młode pokolenie ma jakieś takie potwornie dźwiękochwytne uszyska. Zawsze udaje im się usłyszeć to, czego słyszeć nie powinni.

– O czym chciał pan ze mną rozmawiać? – spytała wprost.

Nie miała zamiaru bawić się w podchody, zresztą nie leżało to w jej naturze. Zawsze zmierzała prosto do celu, otwarcie go precyzując, zbyt niecierpliwa, by ostrożnie i małymi kroczkami dochodzić do sedna. Podobnie rzecz się miała z wygłaszaniem

własnych opinii, co zresztą nie przysparzało jej sympatii w otoczeniu, zwłaszcza wśród przełożonych.

– Wiem, po co pani tu przyjechała – oświadczył. Widocznie także postanowił zagrać w otwarte karty. – Ciotka Mira mi powiedziała.

– Czy ja mam jakieś zwidy, czy faktycznie w tej wiosce wszyscy są ze sobą spokrewnieni? O kimkolwiek by mówiono, zawsze słyszę, że to ciotka albo wujek.

– Kiedyś faktycznie tak było – przyznał Hardy. – Może nie w stu procentach, ale prawie. Nie zapominaj, że wywodzimy się od trzech sióstr. Musimy mieć wspólne geny. Geny trzech strzyg.

Diona wstała, podeszła do szafki i włączywszy stojący na niej czajnik, sięgnęła po kubki. Musiała się czymś zająć, żeby móc spokojnie zebrać myśli. To, co powiedział mężczyzna, jeszcze niedawno uznalaby za bredzenie chorego umysłu, ale teraz nie była już tego pewna. W zasadzie nie była pewna niczego, widocznie i na nią wioska zaczęła wywierać dziwny wpływ.

Spytała Hardego, czy życzy sobie kawy lub herbaty, a uzyskawszy odpowiedź, wyjęła z puszki na herbatę dwie torebki dilmah supreme i wrzuciła do kubków. Woda zdążyła się już zagotować. Dziewczyna napełniła naczynka, postawiła na stole i dopiero wtedy odniosła się do słów mężczyzny:

– Naprawdę w to wierzysz? W tę legendę o strzygach i o klątwie?

– To, w co ja wierzę, nie ma większego znaczenia – odparł z powagą w głosie. – Ważne jest, że inni w to wierzyli. Czy wiesz, że jeszcze w czasach moich pradziadków niemal wszyscy mężczyźni z tej wioski mieli za sobą kryminalną przeszłość? I jeszcze coś. Jeśli któraś z mieszkanek wsi urodziła syna, było to zjawiskiem tak niespotykanym, że wywoływało powszechne zdumienie i sensację.

– Jaja sobie robisz? – zdenerwowała się Diona. – Rodziły się

same dziewczynki? Akurat! To jest po prostu niemożliwe, więc przestań mnie wkręcać, bo i tak nie uwierzę. Rachunek prawdopodobieństwa...

– Wiem, wiem. – Przerwał jej wywód machnięciem ręki. – Rachunek prawdopodobieństwa swoje, a życie swoje. Czasem tak się zdarza.

Oboje nawet nie zauważyli, kiedy zaczęli zwracać się do siebie po imieniu. W ferworze rozmowy jakoś im to umknęło. Dziewczyna zerknęła spod oka na Hardego, chcąc ocenić, czy mężczyzna na pewno z niej nie żartuje. Wyglądało jednak na to, że mówił najzupełniej poważnie, westchnęła więc cicho i zadała następne pytanie, chcąc do końca wyjaśnić dręczącą ją kwestię:

– Powiedziałeś, że do czasów twoich pradziadków. Co takiego szczególnego się wtedy wydarzyło, że wywołało zmiany?

– Do Strzygomia przybył Diabelski Śpiewak – odpowiedział natychmiast, a w jego oczach pojawił się iście diabelski błysk. – Nie wiadomo dlaczego klątwa się go nie miała, więc gdy zapłodnił moją prababkę i jeszcze dwie inne dziewice, w tej wiosce po raz pierwszy niemal równocześnie przyszło na świat trzech chłopców.

– Z tym zapłodnieniem dziewic to chyba przegiąłeś – prychnęła Diona. – Drugą część klątwy też przełamał? Tę o bogobojnych, prawych ludziach?

– To akurat niezbyt mu się udało – przyznał Hardy. – Zła sława Strzygomia za bardzo się ugruntowała. – Nagle spoważniał. – Mamy dwudziesty pierwszy wiek, a ludzie dalej patrzą na nas nieufnie. Niby nie wierzą, niby się śmieją, ale jak przyjdzie co do czego, to zaczynają się problemy. Tak było na przykład z moją siostrą. Związała się z chłopakiem z miasta. Miłość jak z filmu, ale gdy kilka razy tu przyjechał, posłuchał okolicznych plotek, to jakoś mu ta miłość zaczęła przechodzić. Przez pewien czas jeszcze udawał, że nie wierzy w te wszystkie bujdy, ale było widać, że dały mu do myślenia. No i przestał

przyjeżdżać. Podobno mówił, że bał się żenić z Marysią, bo lichy nie śpi.

– Cienias – mruknęła, a mężczyzna się uśmiechnął. – Mam nadzieję, że znalazła sobie lepszego faceta.

– Znalazła – potwierdził już bez uśmiechu. – Ale czy lepszego? Zobaczymy. Na razie znają się krótko i nie mogę się rozeznąć, czy jemu naprawdę na Mańce zależy, czy tylko szuka azylu, bo nie ma się gdzie podziąć.

– Jest po wyroku – domyśliła się, wspomniawszy historię wioski.

– No właśnie. Dlatego mówiłem jej, żeby zachowała ostrożność. Gość twierdzi, że był niewinny, tylko że rodzina mu nie wierzy i chce się go pozbyć z domu. Ale sama wiesz, jak jest.

Pokiwała głową.

– W więzieniach siedzą sami niewinni – prychnęła, myśląc o swoich doświadczeniach z czasów służby w policji. – A na poważnie, to wcale nie jest wykluczone. W końcu Drawicz i Kotlarski też siedzą, prawda?

Skierowanie rozmowy na interesujący ją problem nie zostało poczynione zbyt subtelnie, lecz Diona miała już dość krążenia wokół istoty sprawy. Na razie wszyscy, z którymi rozmawiała, zręcznie omijali ten temat i dziewczyna nie wiedziała, czy robili tak z braku wiedzy, czy raczej nie chcieli źle mówić o sąsiadach. Postanowiła więc skorzystać z okazji i przycisnąć Hardego tak, by nie mógł uchylić się od odpowiedzi.

Przyciskanie okazało się niepotrzebne, mężczyzna bowiem gładko połknął haczyk i natychmiast przeszedł do rozważań nad niesprawiedliwością sądowego wyroku.

– Oni na pewno są niewinni – odparł tonem, w którym irytacja mieszała się z oburzeniem. – Nie mieli żadnego powodu, żeby zabijać Roszaka, zresztą to nie jest ten typ ludzi. Znam dobrze Bogdana Kotlarskiego. Chodziłem z nim do jednej klasy i wiem, że nie byłby zdolny do pozbawienia kogoś życia. Zawsze unikał

konfrontacji, nawet jak ktoś go zaczepiał, wolał odejść niż wdawać się w kłótnie czy bójkę.

– A Drawicz? – spytała szybko.

– Drawicz to cała legenda. – Hardy się uśmiechnął. – Jest piekielnie inteligentny, a przy tym potrafi być złośliwy. Zabiłby ironią, wykorzystując bezwzględnie wszystkie słabe strony przeciwnika, ale to wszystko. Nigdy nie słyszałem, żeby się z kimś bił. I jak mówiłem, żaden z nich nie miał powodu, żeby zabijać Roszaka. Jak już, to odwrotnie.

Zaskoczona ostatnim stwierdzeniem Diona omal nie zachłysnęła się popijaną właśnie herbatą. Myśl o ojcu jako zabójcy niezbyt jej się spodobała, nawet jeśli była to wyłącznie czcza spekulacja.

– Co masz na myśli? – spytała odrobinę zbyt ostro. – Czemu Roszak miałby pragnąć ich śmierci?

– Źle się wyraziłem. – Hardy spojrzał przeproszająco. – Chodziło mi o to, że oni nie mieli powodu, by kogokolwiek zabijać, ale jest osoba, która pewnie nie płakałaby, gdyby to Kotlarskiemu i Drawiczowi coś się przytrafiło. Zapytaj Mirabelkę i Agę, kto z uporem robił chłopakom koło pióra. One wyjaśnią ci to dokładniej.

Skinęła głową, nie próbując drażnić tematu. Informacja, w kim dwaj mechanicy samochodowi mieli wroga, nie mogła jej pomóc w znalezieniu winnego śmierci ojca, nie zamierzała więc zaprzętać nią sobie głowy. Co innego, gdyby mężczyzna wskazał kogoś, kto był wrogiem Piotra Roszaka.

– Leszek, czemu właściwie do mnie przyszedłeś? – spytała, kierując rozmowę na właściwe tory. – Wiesz coś, co mogłoby mi pomóc?

Przez chwilę milczał, marszcząc brwi, jakby rozważał jakiś skomplikowany problem. Wreszcie podjął decyzję.

– Moja żona... widziałaś ją w pizzerii...

– Widziałam – przyznała, gdy urwał i spojrzał pytająco. – Co

z nią?

– Rozwodzimy się, bo... bo...

Nieskładne dukanie Hardego zaczęło wyprowadzać Dionę z równowagi, zwłaszcza że nie widziała związku pomiędzy jego małżeńskimi problemami a zabójstwem.

– Słuchaj, nie obraż się, ale to są wasze prywatne sprawy i ja nie zamierzam się w to mieszać. Nie znam twojej żony, ciebie też nie.

– Wcale nie chcę się wypłakiwać na twojej piersi. – Leszek zerknął na wzmiankowaną część ciała. – Chodzi o to, że Justyna ma kochanka. – Zauważył minę dziewczyny i zamachał rękami. – Daj mi dokończyć. Wydaje mi się, że to ważne.

Było ważne, nawet bardzo. W trakcie kłótni z mężem podejrzewającym, iż miała schadzkę z kochankiem, Justyna Sojka-Hardy wyznała, że wcale nie była na randce, tylko na spotkaniu biznesowym w pobliskim miasteczku. Mężczyzna zdziwił się, gdyż żona nie pracowała, więc o żadnym spotkaniu biznesowym nie mogło być mowy. Wówczas wyjaśniła, że nie ma zamiaru dalej klepać biedy, jak to ujęła. Ma informacje, które są wiele warte dla kogoś chcącego zachować dobre imię i wolność, i dzięki nim Leszek będzie mógł spłacić jednorazowo cały kredyt zaciągnięty na zakup wyposażenia pizzerii. Jeśli ten człowiek nie zapłaci, szybko będzie musiał zamienić się miejscami z dwoma frajerami odsiadującymi karę za nie swoje grzechy.

– Naprawdę tak powiedziała?

Podeksycytowana Diona poderwała się z krzesła i zaczęła chodzić tam i z powrotem po kuchni tak szybko, że Hardy poczuł na rękach powiew powietrza.

– Krążysz jak wilk wokół ofiary – poskarżył się niby żartem, ale jakiś ton w jego głosie sprawił, że zaprzestała bezcelowej wędrówki i przystanęła, opierając się udem o blat stołu. – Naprawdę. Może nie słowo w słowo tak samo, ale sens był

właśnie taki: że ktoś inny zabił komendanta.

Dziewczyna omal nie podskoczyła z radości. To było to, czego szukała – potwierdzenie, że nie Drawicz i Kotlarski zabili jej ojca. Chwilę później dotarło do niej, co implikowały słowa Leszka, i nie zdołała powstrzymać okrzyku zgrozy.

– Ma zamiar szantażować prawdziwego sprawcę?!

Ponury grymas na twarzy mężczyzny w zasadzie wystarczyłby za odpowiedź, zaraz jednak Leszek uzupełnił go słowami.

– Powiedziałem jej, że jest pazerną idiotką. Że powinna natychmiast zgłosić się na policję zamiast grozić komuś, kto już raz zabił. Ale jak zwykle nie dała się przekonać. Nazwała mnie naiwniakiem i nieudacznikiem, który nigdy do niczego nie dojdzie, i pomachała mi przed nosem banknotami. Zapłacił jej dziesięć tysięcy za milczenie.

– Tak mało? – wyrwało się Dionie.

Hardy posłał jej nieprzyjazne spojrzenie i wstał.

– Myślałem, że jesteś inna, ale jak zwykle wyszedłem na debila. Naprawdę liczy się dla was tylko kasa?

– Faktycznie wyszedłeś na debila – odparła całkiem spokojnie.

– Siadaj i daj mi dokończyć. Siadaj – powtórzyła już ostrzej.

Jakaś nuta w jej głosie kazała mężczyźnie usłuchać. Usiadł na krześle i ciężko wsparł się rękami o blat.

– Chyba powiedziałaś już wszystko, co chciałem wiedzieć.

– Za to ty nie powiedziałaś jeszcze wszystkiego – skontrowała natychmiast. – Zbyt chaotycznie to wszystko przedstawiłeś. Jak w końcu jest? Twoja żona ma kochankę czy nie ma?

Zacisnął szczęki tak mocno, że usta zamieniły się w wąską kreskę, a na policzku zadrgał nerwowo jakiś mięsień. Milczał. Już myślała, że niczego więcej się nie dowie, gdy nagle przemówił cichym, wypranym z emocji głosem:

– Ma kochanka i nawet wiem, kto nim jest. Szczerze mówiąc, jest mi to obojętne. Od dawna łączy nas tylko dziecko, a teraz okazało się, że córka też się dla Justyny nie liczy. W zamian za

szybki rozwód zgodziła się, by Janka została ze mną.

– Rozumiem – powiedziała Diona wolno, z namysłem. Coś w jego głosie kazało jej przypuszczać, że mężczyzna udaje obojętność wobec żony. – To znaczy nie rozumiem. Jeśli tak bardzo pragnie się od ciebie uwolnić, to co miała znaczyć ta scena w pizzerii? Twoja żona zachowała się tak, jakby jej zależało...

– Zależy jej tylko na pieniądzach – przerwał Leszek. – Gdyby pizzeria przynosiła dochód, Justyna miałaby prawo do połowy tych pieniędzy.

Diona skinęła głową, uznając wyjaśnienie za logiczne. Sięgnęła po swój oprawny w czarną tkaninę notes i dopisała punkt na liście czynności, które powinna w najbliższym czasie wykonać, po czym podkreśliła notatkę dwiema kreskami. W świetle uzyskanych informacji rozmowa z Justyną Sojką-Hardy wysunęła się na czoło.

– W porządku – mruknęła, odkładając długopis. Czyli sprawa przedstawia się tak: myślałeś, że żona idzie na schadzkę z kochankiem, lecz ona poszła na spotkanie z zabójcą, który dał jej pieniądze. Tak było?

– Dokładnie tak.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, usiłując rozwikłać ten skomplikowany problem, wreszcie, zniechęcona, musiała się poddać.

– Czy ona wie, że ty wiesz? O tym kochanku? Że cię zdradza?

– Oczywiście, że wie. Sama mi to kiedyś wywrzeszczała prosto w oczy przy okazji jakiejś kłótni, jeszcze zanim wystąpiłem o rozwód. – Hardy skrzywił się, jakby smakował coś obrzydliwego.

Za oknem rozległ się przeraźliwy klakson i oczy Diony bezwiednie skierowały się w tamtą stronę. Siedziała zbyt daleko, by cokolwiek zobaczyć, i skarciwszy się w myślach za ten bezsensowny odruch, wróciła do swoich rozważań.

– No to sorry, ale dalej nie rozumiem. Skoro zamierza od ciebie odejść, nie miała żadnego powodu, żeby opowiadać ci o spotkaniu z tym człowiekiem, ani tym bardziej przechwalać się pieniędzmi. Przecież w ten sposób dała ci broń do ręki.

Leszek drgnął, spojrział na nią, po czym zaklął wyjątkowo paskudnie. Zerwawszy się z krzesła, zaczął spacerować szybkim krokiem po kuchni, mamrocząc słowa, których nie była w stanie zrozumieć, tak niewyraźnie je wypowiadał. Kilkakrotnie unosił pięść, jakby zamierzał uderzyć nią w ścianę, jednak za każdym razem opuszczał rękę, wzdychając głośno. W końcu przystanął i popatrzył przytomnie.

– Przepraszam za ten cyrk – bąknął z zażenowaniem. – Wkurzyłem się na siebie, bo cały czas miałem się za dużo mądrzejszego od Justy, a ty uświadomiłaś mi, że wcale taki nie jestem. Jasna cholera!

Umilkł. Diona odczekała chwilę, następnie ponagliła go ruchem ręki, a gdy nie poskutkowało, rzuciła zniecierpliwiona:

– No?! Co z tą Justyną?

– Mojej żony naprawdę nie sposób zaliczyć do intelektualistów, za to złośliwości ma w sobie w nadmiarze. Jestem pewien, że dlatego nie trzymała szantażu w tajemnicy, bo chciała mi wbić szpilę, pokazać, jaka potrafi być operatywna. W przeciwieństwie do mnie. A że logiczne myślenie nie jest jej najmocniejszą stroną, nie przyszło jej do głowy, że mogę wykorzystać to przeciwko niej.

Rzeczywiście mogło tak być. Lata pracy w policji nauczyły Dionę, że nie powinna doszukiwać się logiki w działaniach przestępców, gdyż ci zazwyczaj kierowali się impulsem, nie zastanawiając się zbyt wiele nad skutkami. Niewykluczone, że żona Hardego zaliczała się do takich właśnie osób. Leszek o jej intelektualnych niedostatkach mówił spokojnie, bez złośliwości. Po prostu stwierdzał fakt. Zatem jest wielce prawdopodobne, że oceniał ją prawidłowo.

– No dobrze, przyjmijmy, że masz rację. Ale co ma do tego twój rozum? Chodzi ci o to, że jej nie powstrzymałeś?

Parsknął gorzkim, urywanym śmiechem.

– Jej nic nie powstrzyma, jak się na coś uprze. Miałem na myśli, że ja też nie wpadłem na to, że podała mi jak na tacy argument do walki o dziecko. – Westchnął ciężko. – Teraz ty mi odpowiedz na jedno pytanie. Powiedziałaś, że powinna była zażądać więcej. Nie uważasz, że to nieetycznie: szantażować kogoś zamiast zgłosić sprawę policji? Przecież byłaś policjantką – zakończył głosem pełnym oburzenia.

Przez długi czas wpatrywała się w Hardego tępym wzrokiem, nie mogąc pojąć, skąd powziął przeświadczenie, że ona aprobuje postępowanie Justyny. Dlaczego twierdził, że powiedziała...? Nagły przebłysk i już pojęła przyczynę nieporozumienia. Omal nie roześmiała się w głos.

– Źle mnie zrozumiałeś. Nie stwierdziłam, że powinna była zażądać więcej – odparła, walcząc z rozbawieniem. – Wyraziłam tylko zdziwienie, że wzięła tak mało. Rozumiesz różnicę?

– Nie bardzo – mruknął, patrząc z wyraźną niechęcią. – Na jedno wychodzi. Tak czy owak, uważasz, że powinien zapłacić więcej.

– Gdybym to ja zamierzała go szantażować, to owszem, zażądałabym dużo więcej – warknęła, poirytowana przelewaniem pustego w próżne. – To są teoretyczne rozważania, kumasz wreszcie? Myślże logicznie, bo zaczynasz mnie wkurzać!

Teraz ona zerwała się z krzesła, by spacerem po kuchni uspokoić nerwy. Nigdy nie miała cierpliwości do tłumaczenia spraw oczywistych, a za taką właśnie uważała omawianą kwestię. Nawet gdyby Hardy cierpiał permanentną biedę, kwota dziesięciu tysięcy złotych nie mogła wydawać mu się oszałamiająco wielką. A on z pewnością do biednych się nie zaliczał. Nie miała pojęcia, gdzie pracował wcześniej, ale

człowiek zamierzający otworzyć własną pizzerię musiał dysponować jakimś kapitałem, nawet jeśli posiłkował się kredytem. Diona pamiętała elegancką, modną odzież Justyny, ubrania mężczyzny też nie sprawiały wrażenia, jakby wygrzebał je w boksie z używaną odzieżą.

– Nie wściekaj się. – Żałosny głos Leszka przywrócił ją do rzeczywistości. – Nie znam się na szantażach. Wiem tylko, że to ohydny proceder.

– Zgadza się. – Przystanęła obok niego, skubiąc w zamyśleniu koniuszek warkocza. – Ale porzuć na chwilę kwestie moralne. Jeśli wiesz, że ktoś jest zabójcą, a jesteś człowiekiem bez zasad, to żądasz tylko dziesięciu tysięcy za milczenie? Przecież to bez sensu, bo dobrze wiesz, że zapłacisz dużo więcej.

– Ona też na to wpadła – odpowiedział cicho. – Przepraszam. Nie załapałem, o co ci chodzi, i pomyślałem, że jesteś taką samą hieną jak Justyna.

Diona uniosła brwi, lecz nie skomentowała wypowiedzi. Usiadła na swoim krześle, chwyciła za długopis i nakreśliła w notatniku kilka słów.

– Opowiedz o tym – poprosiła po chwili.

Hardy przegarnął dłonią bujną czuprynę.

– Dzisiaj rano nagle ją olśniło, że dziesięć tysięcy to żadne pieniądze. Wściekła się. Po prostu wpadła w szał. Biegała po domu i wrzeszczała, że gość ją wydymał, bo twierdził, że ta kwota to wszystko, czym dysponuje. Że błagał o dyskrecję i o litość, a ona uwierzyła. Po czym złapała za telefon i gdzieś zadzwoniła, a gdy ten ktoś odebrał, powiedziała, że musi dostać jeszcze dziesięć razy tyle, bo inaczej pójdzie na policję.

– I co, zgodził się?

Po krótkim namyśle Leszek dość niepewnie potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia – odparł z przeproszającym uśmiechem. – Zorientowała się nagle, że ja słucham, i wyszła z telefonem do ogrodu. Ale chyba nie wszystko poszło po jej myśli, bo wróciła

do domu zła jak osa i oświadczyła, że muszę po południu zawieźć Jankę na próbę teatrzyku i potem ją odebrać, gdyż ona musi pojechać i porozmawiać z tym debilem, żeby postawić go do pionu. To wszystko, co wiem.

Diona znowu popadła w zamyślenie, analizując skomplikowaną sytuację mężczyzny. Rozumiała doskonale, że nie było mu łatwo. Jeśli poniecha jakiegokolwiek działania, a sprawa szantażu wyjdzie na jaw, Leszek będzie miał poważne kłopoty. Nikt nie uwierzy, że nie brał w tym udziału, a jeśli nawet, to pozostając we wspólnocie majątkowej z żoną, będzie narażony na podejrzenie czerpania korzyści z przestępstwa. Z drugiej strony oskarżenie Justyny o szantaż może zostać uznane za nieczystą zagrywkę przed rozwodem lub za zemstę na niewiernej kobiecie.

Ale był jeszcze jeden aspekt sprawy wymagający rozważenia. Justyna Sojka-Hardy twierdziła, że zabójcą komendanta Roszaka jest szantażowany mężczyzna. A on zapłacił żadaną za pierwszym razem kwotę bez targów, co dowodziło, że słowa kobiety nie są bezpodstawne. Nie przekazując tej informacji policjantom, Justyna nie tylko narażała się na poważne niebezpieczeństwo, ale również popełniała przestępstwo.

Co powinien zrobić Leszek Hardy? Jako policjantka, a za taką Diona ciągle w głębi duszy się uważała, widziała właściwie tylko jedno wyjście. Chcąc zachować się jak praworządny obywatel, powinien wyjawić to wszystko policjantom. Niekoniecznie tym, którzy prowadzili sprawę zabójstwa Roszaka, ta bowiem została już zamknięta. Wystarczy, jeśli zgłosi fakt szantażu funkcjonariuszom z komisariatu w Jodłowcu. Oni sprawdzą wiarygodność zeznania, przesłuchując Justynę, a jeśli żona Hardego jest rzeczywiście taka, jak mąż ją przedstawił, z pewnością powie im wszystko, włącznie z nazwiskiem szantażowanej przez siebie osoby.

Diona wzięła głęboki oddech i przedstawiła swoje

przemyslenia Leszkowi. Mężczyzna zareagował zgodnie z jej przewidywaniami. Najpierw gwałtownie zamachał rękami i usiłował jej przerwać. Nie zamierzała słuchać jego kontrargumentów, dobrze wiedząc, na czym będą oparte. Sama przecież dopiero co je analizowała. Kontynuowała więc przemowę, nie zważając na pełne oburzenia okrzyki i miny wyrażające sprzeciw, a w miarę jak mówiła, Hardy się uspokajał. Pod koniec nawet kilka razy kiwnął głową.

– W ten sposób oddalisz od siebie podejrzenia o współudział w szantażu i jednocześnie zapewnisz Justynie bezpieczeństwo. Chyba lepiej, żeby poniosła karę za szantaż, niż dała się zabić? – spytała retorycznie. – Sam dobrze wiesz, że ten facet nie będzie płacić w nieskończoność. To nie jakieś bezwolne ciele, tylko człowiek, który już raz zabił. Jeśli kolejnym zabójstwem miałby oddalić od siebie możliwość wpadki, zrobi to bez wahania. I ty doskonale o tym wiesz, bo sam zwróciłeś na to uwagę – powiedziała na zakończenie.

– Masz rację – stwierdził, wstając. – Pojadę tam od razu, bo jak zacznę rozbijać gówno na atomy, to jeszcze się rozmyślę. Dzięki za pomoc.

Wyszedł, a Diona zabrała się do sprzątnięcia kuchni. Co jakiś czas przerywała swoje zajęcie, by przycupnąć na brzegu krzesła i zapisać w notatniku uwagę, która właśnie jej się nasunęła. Skończywszy sprzątnięcie, zabrała bluzę i poszła do ogrodu leżącego na tyłach domu, by wystawiając twarz do wrześniego słońca, poukładać sobie w głowie to, czego zdołała do tej pory się dowiedzieć. Nie było tego dużo.

Śledztwo w sprawie zabójstwa Piotra Roszaka prowadziła Komenda Powiatowa w Żywcu. Ze względu na wagę sprawy oddelegowanego do tych czynności policjanta nie wspomagali funkcjonariusze z komisariatu w Jodłowcu. Przywiózł ze sobą ekipę z Żywca. Diona wiedziała, że nadzór prokuratorski sprawował niejaki Michał Bilecki. To nazwisko nic jej nie

mówiło, ale podkreśliła je, zdecydowana domagać się rozmowy z Bileckim, choć miała niemal całkowitą pewność, że mężczyzna zasłoni się kilkoma banałami i tajemnicą służbową. Nie tędy droga. Musiała znaleźć inny sposób na zapoznanie się z aktami.

Komendant Roszak pochodził ze Strzygomia. Jego rodzice już nie żyli, co bardzo zmartwiło Dionę, przez chwilę bowiem miała nadzieję, że wreszcie pozna dziadków, o których ojciec nigdy nie mówił. Zapytała o nich jeden jedyny raz, lecz ojciec zbył jej dociekania milczeniem, co nastoletnia wówczas dziewczyna odebrała jak policzek. Doszedłszy do wniosku, że ojciec jej się wstydzi, przestała dążyć do zadzierzgnięcia bliższych kontaktów i zaczęła unikać spotkań. To dlatego ich więź nigdy nie stała się prawdziwie mocna.

Piotr Roszak nie miał rodzeństwa, jedynie jakichś dalekich kuzynów spokrewnionych z nim niewiele bliżej niż mieszkańcy Strzygomia. O rodzinie jego żony Diona nie wiedziała kompletnie nic, a i Mirabelka nie potrafiła nic o niej powiedzieć, choć była istną skarbnicą wiedzy o ludziach z bliższego i dalszego otoczenia. Magdalena Roszak pochodziła z jakiegoś miasta na Śląsku, ale jakiego, tego nie wiedział nikt. Dziewczyna nie zamierzała zaprzętać sobie tym głowy, nieżyjąca od kilku lat żona ojca nie stanowiła przedmiotu jej zainteresowania.

Dużo ważniejszy wydał jej się fakt, że jak dotąd nikt nie wspomniał o konflikcie między Roszakiem a mężczyznami prowadzącymi warsztat samochodowy na obrzeżach Jodłowca. A jednak znalazł się świadek jakiejś burzliwej sceny. To, a także fakt, że w warsztacie znaleziono klucz do kół, na którym widniały odciski palców obu mężczyzn oraz krew zamordowanego, a oni sami nie przedstawili wiarygodnego alibi na czas zabójstwa, zdecydowało o postawieniu ich w stan oskarżenia.

Niby wszystko jasne, a jednak dziewczyna miała wątpliwości,

które po usłyszeniu zwierzeń Hardego przerodziły się w pewność. Kotlarski i Drawicz nie zabili Roszaka. Zrobił to ktoś inny. Tylko jak to udowodnić? Jedynym sposobem było chyba tylko znalezienie prawdziwego zabójcy.

– Ciociu, tak mi nagle przyszło do głowy – odezwała się nazajutrz przy śniadaniu, gdy Mirabelka usiadła naprzeciwko niej z kubkiem kawy w ręce. – Jak się nazywa właściciel budynku sąsiadującego z warsztatem twojego zięcia?

– Zależy którego. Ta ruina, którą dobry Pan Bóg powinien już dawno zmieść z powierzchni ziemi, należała kiedyś do Józefa Jędryska. Mieszkał tam sam, bo żona mu zmarła, a obaj synowie tuż przed stanem wojennym uciekli na Zachód. Jeden mieszka w Nowym Jorku, a drugi w Australii, bodajże w Melbourne. Budynek teraz należy do nich, ale od lat są skłóceni i nie mogą dogadać się w kwestii sprzedaży.

– Nie bardzo jest co sprzedawać – mruknęła Diona, ładując do ust chrupiącą bułkę. Odgryzła spory kęs i z trudem powstrzymała chęć pogłaskania się po brzuchu.

– Chałupa rzeczywiście jest nie do uratowania, ale prawdziwą wartość stanowi grunt. Jodłowiec się rozrasta i przez te wszystkie lata było wielu chętnych na kupno. Szkoda, że nie potrafią się porozumieć. To był kiedyś bardzo ładny, zadbane dom, jak jeszcze żyła Krysia Jędrysek. A teraz można by kręcić tam horrory.

Mira Belka z dezaprobatą pokręciła głową i pociągnęła spory łyk kawy, a Diona odnotowała tę informację z dopiskiem, że sprawdzanie właścicieli rudery może sobie darować. Zresztą zapytała o to tylko dla porządku, bardziej bowiem interesowała ją osoba hodująca nierogaciznę.

– Ciociu, a do kogo należą budynki gospodarcze i dom na działce obok warsztatu? Znasz właścicieli?

Kobieta z gniewną miną odstawiła kubek i zaklęła, a Diona gotowa była przysiąc, że nieprzyzwoite słowo adresowane było

nie do kawy, lecz do człowieka związanego w jakiś sposób z hodowlą świń. Słowa Belki potwierdziły to przypuszczenie.

– Czemu o nich pytasz? To są wyjątkowo podli ludzie, lepiej trzymaj się od nich z daleka – wysyczała, zaciskając dłonie w pięści.

Dziewczyna z trudem zapanowała nad wyrazem twarzy. Nie chciała uzewnętrznieniem radości z faktu, że się nie omyliła, dawać tej sympatycznej kobiecie nadziei, która mogła ostatecznie okazać się złudna. Uśmiechnąwszy się niezobowiązująco, także sięgnęła po kubek z kawą, upiła kilka łyków i dopiero wtedy się odezwała, symulując jedynie grzecznościowe zainteresowanie.

– Co zrobili, że tak ich nie lubisz?

– Bo nie znoszę pazerności i chamstwa – warknęła Mirosława.

– Od początku było jasne, że ta działka jest za mała na tego typu działalność, ale nie dali sobie nic powiedzieć. Połaszczyli się na tanioczę, a teraz mają pretensje do całego świata. Zachowują się tak, jakby Bogdan ich oszukał.

Diona z uwagą słuchała słów rozsierdzonej kobiety. Właścicielem gospodarstwa był mężczyzna nazwiskiem Jacek Nowosielski, nazywany z racji hodowania nierogacizny Świniarzem. Przed dziesięcioma laty poślubił Elwirę Dudziak, dziewczynę pochodzącą ze Strzygomia. Przez pierwsze cztery lata małżonkowie mieszkali z teściami i w tym czasie Nowosielski zdołał zrazić do siebie niemal wszystkich mieszkańców wioski, solidaryzujących się z Dudziakami, którzy ciągle skarżyli się na zachowanie zięcia. Ślepo zapatrzona w męża Elwira dzielnie dotrzymywała mu kroku, obrażając swoim aroganckim zachowaniem nie tylko dawnych znajomych, ale i rodzinę. Miarka się przebrała, gdy w konflikcie rodziców z Nowosielskim wzięła stronę tego ostatniego.

– Najczęściej w takich rodzinnych sporach wina leży po obu stronach – zauważyła ostrożnie Diona. – Jeśli wszyscy

mieszkańcy wioski w ciemno przyjęli, że to on jest winny konfliktom z teściami i jeśli mu to na każdym kroku okazywali, trudno się dziwić, że odpłaca im taką samą niechęcią.

Mirabelka prychnęła pogardliwie, lecz odpowiedziała spokojnie i rzeczowo:

– Nie w tym przypadku. Tu nie może być mowy o winie obu stron. Przecież mieszkali w domu rodziców Elwiry. Wcale się nie dziwię, że w końcu nie wytrzymali. Tym młodym gnojkom wечно coś się nie podobało. A to jedzenie niesmaczne, a to w kuchni nieposprzątane... Wyobrażasz to sobie?! Teściowie dali im całe piętro, nie brali nawet złotówki na utrzymanie, gotowali obiady, robili zakupy i jeszcze dziecka dopilnowali. A w zamian nic tylko pretensje. Ale w końcu Świniarz przegiął. Wymyślił sobie, że im na górze ciasno i że teściowie mogliby się przenieść do kurnika.

– Gdzie?!!!

Kompletnie oszołomiona dziewczyna wpatrzyła się w Belkę z takim zdumieniem, że kobieta roześmiała się serdecznie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak jej słowa musiały zabrzmieć w uszach kogoś, kto dopiero co pojawił się w okolicy i nie znał ani jego mieszkańców, ani związanych z nimi anegdot.

Pokonawszy rozbawienie, kobieta wyjaśniła, co miała na myśli. Otóż dorastająca Elwira zamęczała ojca, by zbudował obok domu letni domek, do którego mogłaby zapraszać swoje liczne koleżanki. Matka ją poparła, gdyż wówczas jeszcze piętro budynku, który zajmowali, nie nadawało się do zamieszkania. Było tylko zwyczajnym strychem, więc gdy w domu pojawiali się goście, wszystkich krępowało nadmierne zagęszczenie.

Atakowany z dwóch stron mężczyzna zbudował domek i w żartach nazwał go kurnikiem. Z biegiem lat domek ulegał metamorfozie, okazał się bowiem bardzo przydatny, gdy rodzinie przyszło gościć kogoś trochę dłużej niż zaledwie kilka

dni. Mieszkając w nim, goście czuli się bardziej swobodnie.

– Teraz to już jest całoroczny dom, tyle że niezbyt duży – zakończyła Mirabelka. – Ale nawet gdyby gabarytami przypominał pałac, to propozycja Świniarza była wyjątkowo bezczelna. Doszło do kłótni, po której młodzi ostentacyjnie się wyprowadzili. Jeśli myśleli, że rodzice będą ich błagać, żeby wrócili, to musieli niezłe się zdziwić – oświadczyła z niekłamaną satysfakcją.

Diona uśmiechnęła się blado. Przy zamiłowaniu Belki do dygresji, wyciąganie z niej informacji wymagało niezmiernych pokładów cierpliwości. I czasu, którego dziewczyna nie miała w nadmiarze.

– O co chodziło z tą działką? – przypomniała, chcąc naprowadzić rozmówczynię na właściwe tory.

Kobieta popatrzyła ze zdumieniem, jakby nie rozumiała pytania. Po chwili klepnęła się w czoło z takim rozmachem, że dziewczyna aż się wzdrygnęła.

– Ach, działka! Całkiem zapomniałam, że miałam ci o niej opowiedzieć. Przedtem należała do dziadka... Poczekaj... Do pradziadka Bogdana Kotlarskiego, który był... – Mira urwała, a Diona poczuła przerażenie na myśl, że kobieta zaraz zacznie nową opowieść, sięgając przy tym co najmniej pięć pokoleń wstecz. Na szczęście tym razem Mirabelkę zawiodła pamięć. – Zapomniałam, jak to z nim było – wyznała z zawstydzeniem, a dziewczyna odetchnęła z ulgą.

– Nie szkodzi. Wystarczy, jak pani opowie o obecnym właścicielu.

– Nie bardzo jest co opowiadać – odparła Belka z niechęcią. – Gdy tylko Bogdan odziedziczył ten grunt i chałupę, podzielił działkę na dwie części. Na jednej stał barak, który przebudował wspólnie z Mariuszem na warsztat, a drugą połowę postanowił sprzedać. Nie żądał dużo, bo stojący na niej budynek mieszkalny wymagał kapitalnego remontu, a właściwie najlepiej

byłoby go wyburzyć. Gdy tylko Nowosielski usłyszał, ile Bogdan chce za tę działkę, strasznie się napalił. Nawet się nie targował, co w jego przypadku było tak dziwne, jak grzyby w lutym.

– Są takie grzyby, które rosną w lutym – wyrwało się Dionie. Belka spojrzała na nią z oburzeniem.

– Nigdy ich nie zbierałam – oświadczyła z pogardliwą miną. – Grzyb rosnący pod śniegiem to wybryk natury. A wracając do Jacka Nowosielskiego... Kupił działkę od Bogdana, wyburzył starą chałupę i wybudował te chlewnie, choć wszyscy mu odradzali, bo to nieduża parcela. Ale się uparł, bo on jest z tych, co wszystko wiedzą lepiej. Oczywiście po kilku latach, kiedy rozwinął gospodarstwo, przekonał się, że nie miał racji. Wtedy zaczął nachodzić Mariusza i Bogdana, żeby sprzedali mu swoją.

– Tę z warsztatem? – szybko spytała dziewczyna, a dreszcz podniecenia przebiegł jej ciało.

Mirabelka przytaknęła ruchem głowy i odebrała dzwoniącą od dobrych kilku chwil komórkę. Diona wykorzystała tę przerwę na wyciągnięcie wniosków z uzyskanych informacji. Mieszkańcy wsi jak jeden mąż twierdzili, że właściciele warsztatu są niewinni, to samo zresztą utrzymywali sami oskarżeni. Mimo nacisków nie przyznali się do zabójstwa i do końca powtarzali, że ktoś ich wrobił. Sam motyw wydał się dziewczynie mocno naciągany. O co Drawicz i Koblarski mieliby się kłócić z komendantem policji? I dlaczego o tej kłótni nie słyszał nikt oprócz tajemniczego świadka? Nic dziwnego, że wreszcie zaczęła się zastanawiać, czy ten świadek nie miał aby interesu w tym, by posłać ich za kratki.

Belka skończyła rozmawiać. Odłożyła komórkę na blat, ciężko westchnęła i wróciła do przerwane go tematu.

– Nie masz pojęcia, jak on się chłopakom naprzykrzał. Kiedy dotarło do niego, że nie namówi ich na sprzedaż, zaczęło się utrudnianie. A to ktoś w nocy przeciął kabel doprowadzający

prąd do warsztatu, a to ciężarówka dowożąca paszę zepsuła się akurat przed ich bramą i stała tak pół dnia, a klienci dostawali szału, nie mogąc wjechać czy wyjechać. Na policję wpłynął donos, że to nie żaden warsztat, tylko zwyczajna „dziupła”, a urzędowi skarbowemu zameldowano, że Drawicz i Kotlarski oszukują fiskusa.

– Powinni byli zgłosić to na policji i podać, kogo podejrzewają – wtrąciła Diona i pokręciła z niezadowoleniem głową, usłyszawszy odpowiedź.

– Zgłaszali za każdym razem, ale żeby mieli donosić na Jacka, to nie. – Mirabelka uśmiechnęła się na widok miny Diony. – Nie mieli żadnych dowodów, więc co mieli powiedzieć? Że sąsiad zakradł się w nocy i nasypał na dachy stojących tam samochodów ziarno, żeby okoliczne ptactwo nie cierpiało w zimie głodu? Albo że wpuścił na teren warsztatu trzy bezpańskie kundle, a przedtem podał im środek na rozwolnienie?

Dziewczyna z trudem tłumiła śmiech, słuchając o wybrykach przypisywanych Nowosielskiemu. Jedno było pewne – facet wykazywał się sporą inwencją.

– Może i racja – mruknęła bez przekonania. W jej ocenie wystarczyłoby dyskretnie umieścić w kilku miejscach kamery, a problem od razu by się rozwiązał. Ale teraz był to już keczup po obiedzie, jak mawiała młodsza Drawiczówna. – W takim razie pewnie się ucieszył, kiedy właściciele warsztatu aresztowano?

Niebieskoszare oczy Mirabelki rozjarzyły się gniewem.

– Gdy Mariusz i Bogdan poszli siedzieć, zaraz następnego dnia przyleciał tu z wyrazami współczucia. Mówił, jak to mu bardzo przykro, jakie to nieszczęście, po czym od razu przeszedł do sprawy. Kanalia jedna, usiłował wmówić dziewczynom, że mężowie zgodzili się na sprzedaż. Wyśmiały go, ale on nie dawał im spokoju. Ciągle przychodził i namawiał, żeby sprzedały mu

warsztat wraz z gruntem. Niby się nad nimi litował, bo nie miały z czego żyć, a tu warsztat niszczeje, pozostawiony odłogiem. Była nawet próba podpalenia, niby przez jakieś dzieciaki. Ale to jeszcze nic. – Kipiąca ze złości Belka zacisnęła dłonie w pięści. – To właśnie on naopowiadał policjantom o tej rzekomej kłótni z komendantem, żeby narobić chłopakom problemów. I to on jest tym świadkiem, który zeznał, że widział, jak biją Roszaka. Zawsze był szują, a żądza bogactwa całkiem odebrała mu rozum. Bezczelnie kłamał, żeby zdobyć tę działkę.

Diona przytaknęła, nie skomentowała jednak odpowiedzi starszej kobiety. Nie przyznała, że sama żywiła podobne podejrzenia. Doświadczenie nauczyło ją, że oskarżenia łatwo jest rzucić, dużo trudniej natomiast wymazać te słowa z ludzkiej pamięci. A najczęściej jest to całkiem niemożliwe.

Postanowiła za to spróbować wyjaśnić jeszcze jedną dręczącą ją kwestię.

– Wiesz może, jak to było z ich alibi? Słyszałam, że zostało zakwestionowane. Dlaczego?

Mirosława Belka przeciągnęła dłonią po twarzy gestem bardzo zmęczonego, zniechęconego do życia człowieka.

– Dlatego, że nie postarali się o świadków, którzy mogliby to alibi potwierdzić. Pracowali do późna w warsztacie, potem wrócili do domów. Policjanci i prokurator zgodnie stwierdzili, że to kłamstwo, a nie ma nikogo, kto pomógłby udowodnić, że chłopaki mówią prawdę.

Diona ujrzała w myślach warsztat. Od strony drogi można było dostrzec niski, podłużny budynek, kształtem przypominający barak, z dwójgiem szerokich drzwi garażowych na froncie i gładkimi ścianami po bokach. Jeśli w ogóle miał okna, musiały znajdować się na tyłach. Nic więc dziwnego, że nikt nie mógł potwierdzić, czy mechanicy wówczas rzeczywiście pracowali. Chyba że znajdzie się ktoś, kto akurat wtedy skorzystał z ich usług.

Rozdział 4

Zabójstwo przy Chacie Strachów

Tego dnia Diona nie dowiedziała się niczego więcej. Najchętniej pojechałaby natychmiast do Jodłowca, by porozmawiać z cieszącym się fatalną opinią Jackiem Nowosielskim, lecz poprzedniego dnia obiecała dziewczynkom rozgrywkę w scrabble, a nie miała zwyczaju nie dotrzymywać danego słowa niezależnie od tego, komu to słowo dała. Doszedłszy do słusznego wniosku, że właściciel hodowli świń jej nie ucieknie, z zapalem oddała się grze.

Wieczór spędziła z Agatą Drawicz i Ewką Kotlarską, łącząc przyjemne z pożytecznym. Siedziały przy ogromnym stole w wielkiej kuchni przylegającej do sali jadalnianej i oddawały się miłej pogawędce, przygotowując półfabrykaty na następny dzień. Półfabrykatami kobiety nazywały wszystko, co można było przyszykować dzień wcześniej, by nazajutrz móc sprawnie i szybko przyrządzić zamówione dania. Ewka lepiła pierogi, Agata kroїła mięso na gulasz, Dionie natomiast powierzono wielce odpowiedzialne zadanie obierania i krojenia jarzyn na zupę.

Dziewczyna przysłuchiwała się paplaninie kobiet, jednocześnie obserwując je ukradkiem. Odniosła wrażenie, że są bardzo zaprzyjaźnione i że łącząca je więź nie wynika wyłącznie z nieszczęścia, które równocześnie je dotknęło.

– Wy pewnie znacie się od lat – zagaiła.

Niemal w tej samej chwili zdała sobie sprawę z idiotyczności

tej uwagi. Obie pochodziły z tej samej niewielkiej wsi, gdzie wszyscy byli z sobą w mniejszym lub większym stopniu spokrewnieni. Jakże więc mogłyby się nie znać?

Kobiety na szczęście nie zwróciły na to uwagi. Nóż w ręce Agaty zawisł nad kawałem mięsa leżącym na desce do krojenia, tak wielkiej, że zajmowała prawie ćwierć stołu, a szaroniebieskie oczy zwróciły się ku dziewczynie.

– Od lat? – powtórzyła z uśmiechem. – Dokładnie to od urodzenia. Przyszliśmy na świat w tym samym szpitalu, w tym samym dniu i w tej samej godzinie. Tylko że Ewka w porównaniu ze mną to stara baba, bo urodziła się piętnaście minut wcześniej.

– Dlatego ta gówniara musi mi latać po fajki – odezwała się Kotlarska.

Diona polubiła tę szczupłą, energiczną kobietę o w gruncie rzeczy nieładnej twarzy. Jednak w piwnych oczach Ewy było tyle ciepła, że już po kilku chwilach spędzonych w jej towarzystwie przestawało się zważać na mankamenty urody.

– Powiedźcie, jaka właściwie jest Justyna? Żona Hardego.

Zadała to pytanie znienacka, jednocześnie pilnie obserwując kobiety, ciekawa ich reakcji. Zauważyła na twarzy Drawiczowej wyraz niechęci, Kotlarska natomiast wyglądała na zasmuconą, a gdy się odezwała, w jej głosie słychać było wyraźny ton współczucia.

– Biedna, nieszczęśliwa kobieta.

– Biedna?! – wykrzyknęła Agata gniewnie. – Chciałaś chyba powiedzieć „głupia”!

– To też – przyznała Ewka ze spokojem. – Ale czy to jej wina?

Agata nie odpowiedziała; z pasją krajała mięso na wąskie paski. Diona obserwowała ją, usiłując odkryć, jakie myśli kłębią się w tej kształtnej głowie przyozdobionej złocistymi lokami. Musiały być niezbyt przyjemne, gdyż kobieta co jakiś czas przerywała krojenie i wręcz wbijała nóż w pośc mięsa,

czyniąc to tak gwałtownie, że w byłej policjantce ruch ten wywoływał niezbyt przyjemne skojarzenia.

Diona przeniosła wzrok na Ewę, lecz ta jakby nie widziała w zachowaniu koleżanki nic szczególnego. Ani na moment nie przerwała monotonnego zajęcia. Spokojnym, wyważonym ruchem sięgała do stolnicy, zabierała pierogowy krążek, nakładała farsz i po złożeniu ciasta wpół, sklejała brzegi, lekko je zaginając. Następnie odkładała pieroga na drugą stolnicę i sięgała po kolejny krążek.

– Musiałam to przemyśleć – odezwała się nagle Agata. – Miałaś rację, Ewuś. To nie wina Justy, że jest, jaka jest. Wielka uroda i brak rozumu to nie jest dobre połączenie.

– Właśnie o to mi chodziło – odparła Ewka z łagodnym uśmiechem. – Jak dodasz do tego wpływ rodziny... – Urwała w pół słowa i przeniosła wzrok na Dionę. – Rodzice Justyny widzieli w niej ósmy cud świata, bo podobno już jako dziecko była wyjątkowo śliczna. Kupowali jej drogie ciuchy, a tygodniówkę dostawała większą, niż inne dziewczyny miały kieszonkowego przez cały miesiąc.

Agata kiwała głową do wtóru słów koleżanki, a gdy ta skończyła mówić, uzupełniła jej wypowiedź o nowe szczegóły:

– Zapomniałaś o zwierzętach. Justyna mówiła, że zawsze miała jakieś zwierzątko, tylko że po jakimś czasie jej się nudziły, więc oddawała komuś i prosiła rodziców, żeby kupili jej inne. Miała kota, świnkę morską, chomika, miniaturowego królika, a nawet przez pewien czas żółwia. Najdłużej hodowała myszosczki. Pamiętasz, Ewka, jak opowiadała o tym, że kiedyś przyniosła jednego do szkoły? Podobno nauczycielka narobiła takiego wrzasku, że słyhać ją było na drugim końcu budynku.

Obie kobiety zachichotały, lecz Remańska tylko się uśmiechnęła. Coś jej w tej historii nie pasowało.

– Nie rozumiem – przyznała wreszcie. – Wiecie to wszystko od

niej? Naprawdę opowiadała o zdarzeniach, które nie najlepiej o niej świadczą?

Agata tylko wzruszyła ramionami.

– To właśnie cała Justyna – wyjaśniła Ewa. – Powie coś, zanim pomyśli, że może się to obrócić przeciwko niej. Moim zdaniem wszystkiemu winni są jej rodzice. Pozwalali jej na wszystko, wmawiali wyjątkowość, nie zdając sobie sprawy z tego, że robią jej krzywdę. Bo ona niestety w to uwierzyła.

– Takie coś może skrzywić nawet silny charakter – wtrąciła się Agata. – A Justa jest po prostu ślicznym, ale bardzo niemądrym stworzeniem. Gdy poznała Leszka, postanowiła go usidlić, a dzięki pieniądzom rodziców do tamtej pory zawsze dostawała to, czego chciała. I teraz też dostała. Złapała go w stary, sprawdzony sposób. Na dziecko.

– I dlatego twierdzę, że to nie jest tylko jej wina – znów odezwała się Kotlarska. – Leszek zawsze uważał się za bardzo inteligentnego. Powinien był w takim razie myśleć za nich oboje, a nie pozwalać, by dowodzenie przejął jego kutas.

Diona parsknęła śmiechem; tak bardzo wulgarne słowo nie pasowało do tej ciepłej, pełnej empatii kobiety, z której ust dotąd nie usłyszała nawet „cholery”. Nie miała jednak czasu na dalsze analizowanie słownictwa Kotlarskiej, gdyż teraz narrację przejęła Drawiczowa, spoglądająca z aprobatą na przyjaciółkę.

– Nigdy nie pomyślałam o całej aferze w ten sposób, ale masz rację. Złapała go na dziecko? A on co, nieprzytomny był przy tym? Taki niby inteligentny, a nie zauważył, że ta śliczna panna jest tylko trochę mądrzejsza od perliczki?

– Właśnie to miałam na myśli. Skoro już koniecznie musiał wciągnąć ją do łóżka, to powinien był sam zadbać o antykoncepcję, a nie zawierzać zapewnieniom Justyny, że ma wszystko pod kontrolą. Pewnie żyła w przeświadczeniu, że w czasie pełni nie może dojść do poczęcia.

Diona wzięła to stwierdzenie za złośliwy docinek i zdziwiła się,

wcześniej bowiem uznała Kotlarską za osobę całkowicie pozbawioną złości. Zaraz jednak odezwała się Drawiczowa, wyprowadzając ją z błędu.

– Taka właśnie jest Justyna. Święcie wierzy we wszystko, co wyczyta w jakichś piśmiągach albo na Facebooku. Ewka, pamiętasz, jak wykupiła w okolicy cały zapas płynu do higieny intymnej, bo koleżanki powiedziały, że od tego zgęstnieją jej włosy?

– Pamiętam. – Ewa roześmiała się serdecznie. – Biedna Justa. Nie potrafiła pojąć, dlaczego włosów ani trochę nie przybyło, mimo że stosowała ten płyn przez pół roku.

– A tam na dole jej przybyło? – spytała Diona z nieskrywaną ciekawością i wszystkie trzy znów wybuchnęły śmiechem.

Po skończonej pracy Diona poszła do swojego pokoju, gdzie mogła w spokoju zastanowić się nad planem działania. Leszek Hardy wprawdzie obiecał powiadomić policję, lecz nie wiedziała, czy rzeczywiście to zrobił, gdyż od tamtej rozmowy nie pojawił się u Mirabelki. Postanowiła porozmawiać z Justyną niezależnie od tego, czy jej mąż rzeczywiście poszedł na komisariat i opowiedział o szantażu, czy jednak nie. Informacje, którymi dysponowała Justyna, były zbyt ważne, by mogła je zlekceważyć. Musiała za wszelką cenę poznać nazwisko szantażowanego mężczyzny.

Ostatecznie zdecydowała, że zaraz przy śniadaniu spyta Mirabelkę, gdzie dokładnie znajduje się dom Hardy'ch, i natychmiast się tam uda. W następnej chwili uśmiechnęła się krzywo. A więc jednak nie wyzbyła się jeszcze policyjnych nawyków. Zwyczajni ludzie „idą” do określonego miejsca. Policjant „się udaje”.

Zaplanowała też odwiedziny w komisariacie, by spotkać się z Marcinem Lipskim. Podczas ich krótkiego spotkania odniosła wrażenie, że aspirant jest sympatycznym i, co ważne, inteligentnym mężczyzną. Opinię tę potwierdziły słowa Belki,

wypytywanej kilka dni temu o załogę jodłowieckiego komisariatu. Jeśli jeszcze Lipski zapamiętał rozmowę z Dioną, może da się namówić na wspólne wypicie kawy w jakimś lokalu? Wówczas mogłaby poddać go dyskretnemu przesłuchaniu i dowiedzieć się, co lokalni policjanci sądzą o Kotlarskim i Drawiczu. Czy także uważają ich za winnych?

Naraz przyszło jej na myśl, że powinna dowiedzieć się jeszcze jednej ważnej rzeczy. Nigdy nie została zaproszona przez ojca do jego domu. Piotr Roszak unikał tematów związanych z jego życiem osobistym, przez co pozostawało ono dla niej czystą kartą. Uświadomiła sobie, że nie wie nawet tego, gdzie mieszkał, i teraz postanowiła to zmienić. Mógł pozostawić po sobie jakieś notatki czy inne wskazówki. Wiedziała, iż prawdopodobieństwo, że policjanci prowadzący śledztwo w sprawie jego śmierci nie znaleźli tych hipotetycznych wskazówek, było bardzo nikłe, ale i tak musiała przynajmniej spróbować.

Nazajutrz zeszła na śniadanie pełna energii, gotowa natychmiast przystąpić do realizacji zamierzeń. Pchnęła wahadłowe drzwi sali jadalnianej i zamarła w progu, zaskoczona rozgrywającą się tam sceną. Wszystkie stoliki były puste, natomiast na środku stała grupa złożona z mniej więcej piętnastu osób, zawzięcie dyskutujących i przekrzykujących się nawzajem. Diona dostrzegła łzy spływające po twarzy Mirabelki i jeszcze kilku kobiet, szok i niedowierzanie na obliczach mężczyzn i pojęła, że stało się coś złego.

Podeszła bliżej, chcąc dowiedzieć się powodów, gdy dojrzała ją Agata Drawicz. Natychmiast przepchnęła się przez ludzką ciżbę i stanęła przed Dioną.

– Justyna została zamordowana – oznajmiła łamiącym się głosem.

– Jaka Justyna? – spytała niemądrze Diona. Znała przecież tylko jedną kobietę noszącą to imię. Gdyby chodziło o kogoś

innego, Aga użyłaby również nazwiska. Mimo to dziewczyna wolała się upewnić. – Justyna Sojka-Hardy?

Agata wydobyła z siebie nieartykułowany dźwięk, jej oczy znów wypełniły się łzami. Głośno pociągnęła nosem i ten dźwięk wyrwał Dionę z otępienia. Wyjęła z kieszeni bluzy paczkę chusteczek higienicznych i wcisnęła w bezwładną rękę kobiety.

– Trzymaj – mruknęła, a nie zauważywszy żadnej reakcji, dorzuciła szorstko: – Wytrzyj nos, bo śpiki kapią ci na bluzkę. Weźże się, kobieto, ogarnij! Beczenie nic nie pomoże, ona od tego nie ożyje.

Najwyraźniej Agata potrzebowała tej reprimendy, by szok wywołany tragiczną wiadomością wreszcie ustąpił. Wyjęła chusteczkę z paczki, energicznie wytarła nos i mokre policzki i spojrzała przytomniej.

– Wczoraj ją obgadywałyśmy. Tak mi teraz wstyd.

Pociągnęła żałośnie nosem i Diona przeraziła się, że zaraz nastąpi nowy wybuch płaczu. Na szczęście podeszła do nich Ewa, w przeciwieństwie do przyjaciółki całkiem opanowana, i przemówiła spokojnie, lecz stanowczo:

– Diona ma rację. Płacz niczego nie zmieni. Poza tym nie rozumiem, dlaczego właściwie płaczesz. Przecież nawet jej nie lubiłaś.

– No wiesz co?! – oburzyła się Agata. – Ktoś ją zabił...

– Ty zabiłaś? – przerwała jej Kotlarska. – Nie? To przestań histeryzować. Pewnie, że to straszne, ale nie przesadzaj. Przecież to nie twoja wina. Moja też nie. Tu zawinił tylko ten, kto ją zabił, i nasze obgadywanie nie ma z tym nic wspólnego. Zresztą wcale nie mówiłyśmy nieprawdy, tylko...

Wypowiedź o winie, a raczej jej braku, odblokowała jakąś zapadkę w mózgu Diony. Dziewczyna przerwała Ewie w pół słowa, pociągając ją za rękaw.

– Ewka, gdzie mieszka Leszek?

Kotlarska popatrzyła na nią ze zdziwieniem, jakby nie do końca pojmowała sens pytania, po czym skrzywiła się z dezaprobatą.

– Chcesz tam iść i zadawać mu pytania? Godzinę temu dowiedział się, że jego żona nie żyje. Myślisz, że ma teraz głowę do jakiegoś tam śledztwa?

Diona posłała jej nieodgadnione spojrzenie. Nie mogła powiedzieć prawdy. Wczoraj wypytywała te dwie kobiety o Justynę, a teraz żona Leszka nie żyje. Przypadek? Prawdopodobnie tak, ale pewności nie miała.

– Nie wiedziałam, że szukanie dowodów niewinności twojego męża to dla ciebie „jakieś tam śledztwo” – odparła lodowatym tonem. – W takim razie bardzo przepraszam. Nie mam więcej pytań.

Odwróciła się i poszła w stronę drzwi.

– Diona, zaczekaj! To wcale nie tak. Diona!

Nie zatrzymała się. Nawet nie zwolniła kroku. Chwilowo miała serdecznie dość tej wioski i jej mieszkańców. Teraz chciała jak najszybciej dotrzeć do Hardego, zanim ktoś dojdzie do wniosku, że on także może stwarzać zagrożenie.

Odnalezienie właściwego budynku nie nastęrczyło żadnych trudności. Wystarczyło zapytać pierwszego lepszego przechodnia, a potem z trzech stojących obok siebie budynków wybrać ten, przed którym stała grupka ludzi spoglądających zachłannie w zasłonięte żaluzjami okna. Wyminąwszy gapiów, pchnęła furtkę i weszła na wybrukowaną ścieżkę prowadzącą do drzwi wejściowych, lekceważąc ostrzeżenia, że Leszek nie chce nikogo widzieć i obiecał wyrzucić na zbity pysk każdego, kto naruszy jego spokój.

Zadzwoiła i czekała z niepokojem, nie mając pewności, czy Hardy w ogóle pofatyguje się do drzwi. Te po chwili otworzyły się gwałtownie i w progu stanął gospodarz, toczący wokół dzikim wzrokiem.

– Mówiłem, że nie chcę z nikim gadać. Wypierdalaj stąd albo...

Przerwała mu bezpardonowo, uznając, że nie ma czasu na wysłuchiwanie pogrózek. Wściekać się będzie mógł, kiedy już porozmawiają.

– Musimy pogadać.

Leszek dopiero teraz spojrzał na intruza. Przez chwilę bez zrozumienia, potem w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania. Chwyciwszy dziewczynę za ramię, wciągnął ją do środka, kopnięciem zatrzaskał drzwi i zaczął mówić bezładnie:

– Nie zdążyłem. Kurwa mać, to moja wina. Zamiast się uprzeć, dałem się zbyć, a teraz ona nie żyje. Jak mam to powiedzieć Jance? – Złapał Dionę za rękę i ścisnął tak mocno, że krzyknęła z bólu, on jednak tego nie zauważył i mówił dalej:

– Jak mam powiedzieć naszej córce, że zabiłem jej matkę?

Jeszcze mocniej wbił palce w jej dłoń i Diona nie wytrzymała. Wyszarpnęła się energicznie z miążdżącego uścisku i na wszelki wypadek postąpiła krok w tył.

– Przestań pieprzyć – rzuciła ostro.

Czuła się przy tym wyjątkowo podle, ale nie miała wyboru. Musiała wyrwać go z fazy uzalania się nad sobą, by uzyskać w miarę rozsądne odpowiedzi, a za najlepszy sposób osiągnięcia celu uznała terapię szokową.

Plan wypalił, Hardy bowiem spojrzał przytomniej.

– Nie obroniłem jej. – Przeciągnął bezradnym gestem po nieogolonej twarzy. – Co ze mnie za mężczyzna? Już od dawna jej nie kochałem – dodał niepewnie, jakby usiłując przekonać samego siebie. – Nie wiem, czy w ogóle kiedyś ją kochałem. Ale była moją żoną i miałem obowiązek ją chronić.

– Przed nią samą też?

Pociągnęła go w głąb domu, nie mając ochoty prowadzić tej rozmowy w przedpokoju. Od chwili, gdy wyszła ze swojej sypialni, nie usiadła nawet na moment i stopy uwięzione

w nowych botkach na wysokich obcasach zaczynały ją piec. *Kolejny zakupowy niewypał*, pomyślała, skręcając w lewo. Chwilę wcześniej dostrzegła kuchnię ze stojącym na środku dużym stołem i ustawionymi obok niego krzesłami.

Pchnęła Leszka tak mocno, że chcąc nie chcąc musiał usiąść, inaczej pewnie by upadł, sama zaś włączyła czajnik. Doszła do wniosku, że przyda mu się kilka łyków gorącej, mocnej herbaty. To powinno postawić go na nogi.

Rzeczywiście wystarczyło kilka łyków, by twarz mężczyzny wróciła do normalnego koloru, zatracając szarawy odcień. Diona obserwowała go znad przytkniętego do ust kubka z kawą i gdy zauważyła, że ciemne oczy nabrały ostrości, uznała, że najgorszy szok minął i teraz będą mogli rozsądnie porozmawiać.

– Znalazł ją Kuba od Leśniaków. – Mężczyzna odezwał się pierwszy. – Szedł skrótem przez Strachy, żeby zdążyć na autobus, a ona leżała tam na ścieżce.

– Jak...?

Diona zająknęła się, niepewna, czy mężczyzna na tyle doszedł do siebie, by móc odpowiedzieć na obcesowe pytania. Niestety w sprawach tej natury nie było miejsca na delikatność. Musiała poznać odpowiedzi, nawet jeśli Hardy miałby uznać ją za bezwzględną, pozbawioną empatii sukę. Nie on pierwszy i pewnie nie ostatni.

Leszek spoglądał na nią niepewnie, lecz zanim zdążyła spytać ponownie, już pełnym zdaniem, odpowiedział obojętnym, wypranym z uczuć głosem:

– Jak umarła? To chcesz wiedzieć? – Odetchnął głęboko. – Udusił ją. Tak zwyczajnie, gołymi rękami. Tak powiedział lekarz, którego wezwali.

Skinieniem głowy podziękowała za odpowiedź, pociągnęła łyk kawy i znów spojrzała na gospodarza, zapatrzonego pustym wzrokiem w kuchenne szafki.

– Powiedziałeś przedtem, że nie zdążyłeś i że dałeś się zbyć.

Co miałeś na myśli?

Mężczyzna wzdrygnął się i zamrugał powiekami jak człowiek wyrwany z głębokiego snu. Powtórzyła pytanie. Zwarł szczęki tak mocno, że widziała skurcze mięśni na policzkach i wargi zaciśnięte w wąską kreskę. Naraz rozluźnił się, na jego twarz wypłynął wyraz rezygnacji połączonej z poczuciem winy.

– Nie byłem na komisariacie. Nie zdążyłem. Przedwczoraj doglądałem montażu pieca i użerałem się z bankiem, a na koniec pojechałem po córkę. A wczoraj było podobnie. Najpierw miałem komisję z sanepidu, później odbiór ppoż i wyjazd do skarbowki, a potem musiałem pójść do szkoły. Zrozum! – Spojrzał błagalnie. – Obiecałem Janeczce, że przyjdę na przedstawienie. Nie mogłem jej zawieść.

– Przecież nie robię ci wyrzutów – uspokoiła go Diona. – Skąd mogłeś wiedzieć, co się stanie?

– Mogłem przewidzieć – burknął. – Przecież o tym rozmawialiśmy. Ale ja oczywiście byłem mądrzejszy – rzucił z ponurą autoironią. – Uznałem, że na początek wystarczy, jak zadzwonię.

– I zadzwoniłeś?

Aż pochyliła się do przodu, by nie uronić słowa z odpowiedzi. Hardy znów zacisnął szczęki i wbił wzrok w blat stołu.

– Zadzwoniłem – przyznał po chwili. – Ale niedługo sobie pogadałem. Facet, z którym rozmawiałem, przerwał mi, mówiąc, że nie ma czasu i że najlepiej będzie, jak dzisiaj do niego przyjadę. A ja zgodziłem się jak idiota. To moja wina.

– Bredzisz jak potłuczony – warknęła, nie na żarty rozzłoszczona tym umartwianiem się. – Nie mogłeś tego przewidzieć. Ja też nie przewidziałam, że niebezpieczeństwo jest aż tak wielkie. Inaczej sama zadzwoniłabym na komisariat.

Leszek mruknął coś, czego nie zrozumiała, lecz chyba jej słowa trafiły mu do przekonania, gdyż rozluźnił dłonie, dotychczas zaciśnięte w pięści, i sięgnął po kubek z herbatą.

Upił kilka łyków i popatrzył na dziewczynę już bez tej pustki w oczach.

– Byłaś policjantką, to pewnie się orientujesz. Kiedy mi ją wydadzą, żebym mógł zrobić pogrzeb?

Diona nie odpowiedziała, tylko bezradnie rozłożyła ręce.

– Dowiedziałeś się, o której zginęła? – spytała, zmieniając temat.

– Powiedzieli, że pomiędzy dziewiętnastą a dwudziestą drugą – odparł, wyraźnie poirytowany. – Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Naprawdę nie da się tego określić dokładniej?

Miała ochotę nim potrząsnąć, a jednak zdobyła się na tyle spokoju, by wytłumaczyć cierpliwie jak dziecku:

– Przecież to nie policjanci stwierdzają zgon, tylko lekarz. A on też nie jest cudotwórcą, żeby rzucić okiem i od razu wiedzieć co i jak. Musi odbyć się sekcja, żeby ustalić wszystko dokładnie. Wtedy pewnie ten czas zostanie zawężony do jakiejś godziny lub odrobinę więcej.

Zastanawiała się, jak to możliwe, że mężczyzna nie orientuje się w sprawach oczywistych już dla dzieci z podstawówki, z racji powszechności Internetu czy popularności filmów kryminalnych emitowanych w telewizji. Nawet w takiej zamkniętej społeczności jak Strzygom nie żyło się w całkowitej izolacji od świata zewnętrznego, o czym świadczyły chociażby liczne anteny satelitarne na dachach.

– Nie znam się na tym – odezwał się nagle Hardy, odpowiadając na niezadane pytanie. – Brzydzą się przemocą, dlatego nie oglądam kryminałów ani sensacji.

– Powiedziałeś, że znaleziono ją na ścieżce w jakimś miejscu. – Potarła łyżeczką czubek nosa, zostawiając lepki ślad. – Nazwałeś je tak dziwnie...

Hardy wszedł jej w słowo, a Diona zauważyła w ciemnych oczach błysk rozbawienia. *To dobrze*, pomyślała. Może mężczyzna chociaż na chwilę oderwie się od złych myśli

i przestanie się oskarżać? Zmiana nastroju dawała większe szanse na uzyskanie jakichś konkretnych informacji.

– Strachy – powtórzył tamtą nazwę. – Tak mówimy na brzozowy zagajnik na początku wsi, w pobliżu wylotu drogi na Jodłowiec. Właściwie powinno się mówić Chata Strachów, ale tak jest krócej.

– Dlaczego Chata Strachów?

Naprawdę zainteresowała ją nazwa dająca ogromne pole dla wyobraźni, prócz tego wyraźnie widziała, że mówienie o tym pomaga Leszkowi odzyskać opanowanie.

– Podobno stała tam kiedyś chata, w której mieszkali strzygi – wyjaśnił, znowu z tym błyskiem w oku, nadającym jego twarzy łobuzerski wygląd. – Te pradawne, będące założycielkami wioski – sprecyzował. – Tak twierdzili starzy, między innymi moja prababka. Faktem jest, że jeszcze teraz można tam zobaczyć ślady dawnych fundamentów, jeśli się dobrze poszuka. Wieść głosiła, że chata długo stała opuszczona, lecz strzygi jej pilnowały i nie chciały, żeby ktoś w niej zamieszkał. Ponoć śmiałka, który się na to ważył, budził w nocy dziwne szmery, odgłosy kroków, szepty i skrzypienie desek pod stopami kogoś niewidzialnego, więc nikt tam długo nie wytrzymał i koniec końców chata popadła w ruinę.

Diona popatrzyła na mężczyznę i naraz oboje roześmiali się serdecznie.

– Nikomu nie przyszło do głowy tak prozaiczne wytłumaczenie jak kuny czy inne zwierzęta? – spytała, ocierając kąciki oczu.

– Najwyraźniej woleli doszukiwać się zjawisk nadprzyrodzonych zamiast znaleźć odpowiedź wśród tego, co zwyczajne. A tyle się mówi o tym, że kiedyś ludzie żyli bliżej natury – sarknął z niezadowoleniem.

Ten pełen pretensji ton znów rozśmieszył Dionę, która z trudem powściągnęła niewczesną chęć do śmiechu. Teraz nadszedł czas na zadanie trudnego pytania.

– Masz jakiś pomysł, co Justyna mogła tam robić?

Tak jak podejrzewała, na twarzy Hardego natychmiast pojawił się grymas rozpaczy, ale prócz niej dziewczyna dostrzegła tam także nienawiść.

– Pewnie szła do tego sukinsyna – warknął, zaciskając dłonie w pięści. – Kiedyś widziałem, że tam po nią przyjechał, więc pewnie umawiali się w tym miejscu, żeby się nie wydało. Niby nikt już nie wierzy w dawne strachy, ale nadal mało kto tamtędy chodzi.

Mimo wyteżania umysłu Diona nie potrafiła rozgryźć wypowiedzi rozzalonego Leszka i musiała poprosić o wyjaśnienie, lecz zamiast tego usłyszała jedynie kilka przekleństw. To wyprowadziło ją z równowagi.

– Mógłbyś mówić jaśniej? – Mimo woli podniosła głos. – Bo na razie wiem, że spotykała się tam z sukinsynem, skurwysynem, kutasem i bucem. To ten sam człowiek czy czterech różnych?

– Ten sam – odburknął, po czym dodał ciszej: – Jacek Nowosielski, ten od chlewni. Prymityw z nalaną mordą i wyglądem neandertala.

– Po co się z nim spotykała? – spytała szybko, czując, jak ogarnia ją podekscytowanie.

– Jak to po co? Przecież to jej kochanek. – Niespodziewanie uderzył pięścią w stół. – Rozumiałbym, gdyby facet był przystojny albo chociaż sympatyczny. Ale on? Co on ma takiego, czego ja nie mam?

Diona też tego nie rozumiała, pojęła natomiast coś innego – wbrew wszystkiemu Leszek nadal kochał niezbyt mądrą i w dodatku niewierną żonę. Świadczyły o tym rozpacz po jej śmierci i zimna nienawiść do mężczyzny chcącego mu ją odebrać. Dlatego nie miała już żadnych wątpliwości, że nie on jest sprawcą zabójstwa, chociaż w pewnej chwili taka myśl zaświtała jej w głowie. Gdyby Hardy był zdolny do przemocy (a była pewna, że nie jest), jego ofiarą nie stałaby się żona, lecz

rywal.

A może Justyny wcale nie zabił szantażowany człowiek, tylko kochanek, od którego zaczęła wymagać zbyt wiele? Dziewczyna poczuła, iż gubi się w domysłach. Na dobrą sprawę nie wiedziała nawet, jakiej płci jest szantażowany osobnik. A może jedynie nie zwróciła na to uwagi? Czy jest możliwe, że była to kobieta? Na przykład Ewa Kotlewska, tak bardzo podenerwowana słowami Diony o konieczności rozmowy z Leszkiem.

– Ta szantażowana osoba to mężczyzna? – spytała teraz, chcąc zyskać pewność.

– Głowy nie dam, bo to nie ja go szantażowałem – odparł Hardy, krzywiąc usta przy słowie „szantażować”. – Ale Justa mówiła o osobniku płci męskiej. „Ten gość”, „ten człowiek”, „ten facet”. To chyba załatwia sprawę?

– No tak – mruknęła, żegnając się z hipotezą, z którą na szczęście jeszcze nie zdążyła się zżyć. – Takie określenia nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Wiesz, jak nazywał się policjant, z którym wczoraj rozmawiałeś? – Zmienacka zmieniła temat.

– Starszy aspirant Lipski – mruknął. – Nawet sympatyczny. Wydawał się zainteresowany, dlatego zdziwiłem się, kiedy przerwał rozmowę.

Ciekawy zbieg okoliczności, pomyślała Diona. Wszak nie tak dawno temu powzięła zamiar porozmawiania właśnie z tym policjantem, jedynym z jodłowieckiego komisariatu, o którym mogła powiedzieć, że go zna. Jeśli można było przez to rozumieć, że rozpoznałaby aspiranta podczas okazania.

– Co dokładnie mu powiedziałaś? – drażyła, tworząc jednocześnie w głowie kolejną hipotezę śledczą.

Hardy zastanawiał się przez chwilę.

– W sumie niewiele – przyznał w końcu. – Tylko tyle, że moja żona wie, kto naprawdę zabił komendanta Roszaka, i ma

zamiar tego kogoś szantażować. – Spojrzał na dziewczynę ze skruchą. – Jakoś nie mogło mi przejść przez gardło, że już to zrobiła.

Diona machnęła ręką na tę nieściskość, interesowało ją zupełnie co innego.

– Jak na to zareagował?

– Bardzo dziwnie – przyznał mężczyzna po dłuższym czasie. – Najpierw bardzo się tym przejął. Jeszcze raz spytał mnie o nazwisko, potem dopytywał, czy jestem pewny, że Justyna ma zamiar żądać pieniędzy za milczenie o zabójstwie komendanta. Z tonu głosu wyczułem, że był bardzo podekscytowany. Potwierdziłem to wszystko, ale on pod koniec mi przerwał, mówiąc, że mam chwilę poczekać. A potem powiedział, że teraz nie może rozmawiać i żebym dzisiaj przyjechał na komisariat. Rozumiesz coś z tego?

Leszek popatrzył na dziewczynę, jakby oczekiwał, że z racji dawnego zawodu potrafi wytłumaczyć dziwaczne zachowanie każdego funkcjonariusza.

– Nic a nic – odparła zgodnie z prawdą. O wysnutej naprędce hipotezie wolała na razie nie wspominać. – Mam zamiar porozmawiać z tym Lipskim, więc może coś z niego wyciągnę. Leszku, czy policjanci zabrali jakieś rzeczy należące do Justyny?

Posłał jej spojrzenie świadczące, że zastanawia się, czy rozmówczyni na pewno jest zdrowa psychicznie.

– Po co mieliby zabierać rzeczy Justy? W ogóle nie rozumiem, o co ci chodzi. Jakie rzeczy? Ubrania?

– O Boże, czasem zachowujesz się, jakbyś był nie z tego świata. – Diona pomału traciła do niego cierpliwość. Czy naprawdę Justyna była w tym stadle słabszym ogniwem? Zaczynała mieć wątpliwości. – Mam na myśli laptop czy tablet. Coś, gdzie mogła zapisać jakieś uwagi, spostrzeżenia lub coś w tym rodzaju.

– Jakie uwagi? – dopytywał i dziewczyna zagryzła wargi, by nie wrzasnąć.

– Na przykład nazwisko osoby, którą szantażowała.

Po minie Hardego poznała, że wreszcie zrozumiał, lecz przeczący gest głową pozbawił ją nadziei na sukces śledczy.

– Pytali o laptopa – przyznał. – Ale Justa nigdy czegoś takiego nie miała. Pamiętnika też nie pisała. Ale nie wyglądali na bardzo zmartwionych tą informacją. Rozejrzeli się tylko po jej sypialni i sobie poszli.

– Mielście osobne sypialnie?

– A co w tym złego? – spytał zamiast odpowiedzieć. – Ja potwornie chrapię i gdy kiedyś powiedziała, że nie może przez to spać, wyszykowałem jej sypialnię w innym pokoju. – Na moment pograżył się w zadumie. – Potem i tak przestało to mieć znaczenie, bo znalazła sobie tego pieprzonego kochasia. Miałem nadzieję, że... nieważne. Teraz to już wszystko jest nieważne.

Ugryzła się w język, nie chcąc dobijać nieszczęśliwego mężczyzny. Nie musiał wiedzieć, jaka prawda zaczęła się wyłaniać spod tych pełnych rozpacz słów.

– Pokażesz mi jej pokój? – Zauważyła na twarzy Hardego niechęć, więc szybko dodała: – Chciałabym ją poznać bliżej. Może dzięki temu dowiem się, kto ją zabił?

Mężczyzna kilka chwil milczał, spoglądając na nią nieodgadzionym wzrokiem. Była pewna, że zaraz usłyszy odmowę, lecz nagle podniósł się z westchnieniem, czyniąc zapraszający gest. Poszła za nim po wąskich schodach na piętro, do niedużego pokoju z ukośnym sufitem i oknem z widokiem na ogród, w lecie pewnie ukwiecony, a teraz pełny rudości, brązu i czerwieni.

Wzrok Diony obojętnie przesunął się po falbaniastej pościeli oraz stercie kolorowych czasopism leżących na nocnym stoliku i zatrzymał się na wpiętej w gniazdko ładowarce, której koniec ginał gdzieś pomiędzy stolikiem a ścianą. W tej samej chwili

Leszek wydobył z za nocnej szafki płaski, prostokątny przedmiot. Rozpoznała tablet.

– Policjanci nie pytali o niego, a mnie nie przyszło do głowy, że mógłby im się przydać – wyjaśnił zdumionej dziewczynie. – Z tego, co wiem, Justa używała go tylko do tego, żeby grać w jakieś głupie gry na Facebooku.

– Mogę go sobie pożyczyć? Oddam jutro, najdalej pojutrze. Nic nie skasuję, mogę ci to przysiąc.

Skinął głową, podając jej tablet, lecz już w następnej chwili wyraził wątpliwość.

– Co będzie, jak policja sobie o nim przypomni?

– W jaki sposób mieliby przypomnieć sobie o czymś, o czym nie wiedzą? – odpowiedziała pytaniem, gotowa za wszelką cenę zatrzymać urządzenie. Hardy nadal miał wątpliwości, więc dodała ze wzruszeniem ramion: – Gdyby pytali, powiedz po prostu, że mi go pożyczyłeś do czytania książek. Nie zabrali go od razu, więc nie będą mogli mieć do ciebie pretensji, że mi go dałeś.

Przemawiając do mężczyzny, ani na chwilę nie przestała lustrować pomieszczenia uważnym wzrokiem. Na toalecie zauważyła liczne kosmetyki, długopis i leżącą obok niego książkę, oprawioną w szary papier, z wypisanym na grzbiecie tytułem. „Zawsze tylko ty”. *Romansidło*, pomyślała i uśmiechnęła się, wspominając własne zafascynowanie tym gatunkiem. Jak to było dawno! Leszek podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i także się uśmiechnął, lecz w jego uśmiechu zauważyła cień smutku.

– Nigdy nie widziałem, by czytała coś ponad te bzdury. – Machnięciem ręki wskazał plik czasopism na nocnym stoliku. – Dopiero ta książka... Nie wiem, czemu z uporem ją czytała. Chyba niezbyt jej się podobała, bo ma ją w domu już jakieś pół roku. Będę musiał pójść do biblioteki i oddać.

Westchnął ciężko, przeciągając dłonią po gładko ogolonej

twarży. Zrobił krok w stronę toaletki, lecz Diona go powstrzymała.

– Jeśli Justyna przetrzymywała tę książkę od pół roku, to nic się nie stanie, jak załatwisz to później. Teraz masz inne rzeczy na głowie.

Popatrzyła na Leszka ze współczuciem, a on pokiwał głową na znak zgody i cofnął się ku drzwiom. Na razie jeszcze do niego nie docierało, ile spraw będzie musiał załatwić w najbliższym czasie, a z nich wszystkich najtrudniejszą będzie poinformowanie córki, że już nigdy nie zobaczy matki.

– Dam ci jakieś etui na ten tablet – odezwał się, przerywając potok myśli. – Lepiej, żeby nikt nie widział, że go wynosisz, a w torebce może się porysować. Janka ma pełno takich rzeczy, zaraz poszukam.

Wyszła za nim, nie chcąc pozostawać sama w pokoju kobiety, która już nigdy nie powiesi w oknie fikuśnej firanki i nie omiecie bibelotów z kurzu. Diona nie uważała się za nadmiernie wrażliwą osobę, a jednak uznała dalsze przebywanie tutaj za niestosowne. Czuła się tak, jakby naruszała czyjąś prywatność.

Czekała na korytarzu. Niedługo to trwało. Już po chwili mężczyzna wyszedł z pomieszczenia sąsiadującego z pokojem żony, trzymając w ręce eleganckie etui. Włożywszy do niego tablet, schowała całość do torebki i zeszła na parter, gdzie skierowała się do wyjścia. Naraz przypomniała sobie o ważnej sprawie i przystanąła.

– Mówiłeś, że za drugim razem Justyna zażądała stu tysięcy. Jesteś tego pewien?

– Jestem pewien na sto procent – odparł bez wahania. – Przedtem zapłacił jej dziesięć tysięcy, a potem, gdy do niego dzwoniła, powiedziała, że chce jeszcze dziesięć razy tyle. Poza tym właśnie tyle przyniosła do domu.

– Co?! – Diona nie zdołała zachować spokoju. Słowa Leszka rozbiły całkowicie jej roboczą koncepcję. – Myślałam, że była

w tym lasku, żeby odebrać pieniądze.

– To załatwiła wcześniej – odparł Hardy zmęczonym głosem. – Wręczyła mi tę kasę przedwczoraj po południu, a ja włożyłem ją do sejfu. Leży tam razem z tamtą dychą. – Spojrzał z rozpaczą na dziewczynę. – Nie mam i nie miałem zamiaru tknąć tych pieniędzy. Chciałem o nich powiedzieć temu policjantowi, który tu rano przyjechał, ale... Zapomniałem z tego wszystkiego o skrytce i pieniądzach, rozumiesz? Kiedy powiedział, że Justa...

Zasłonił twarz rękami, jego ciałem wstrząsnął szloch, a Diona poczuła się jak podglądacz. Niezgrabnie pogładziła go po ramieniu.

– Muszę już iść. Trzymaj się...

Gospodarz oderwał ręce od twarzy, obtarł ją wierzchem dłoni i popatrzył na nią niemal błagalnie. Gdy się odezwał, w jego głosie wychwytiła rozczarowanie i prośbę.

– Nie mogłabyś zostać jeszcze trochę? Byłoby mi raźniej.

– Muszę pojechać do Jodłowca – odparła wykrętnie, odczuwając lekkie wyrzuty sumienia z powodu tej rejterady.

Wcale nie musiała jechać już teraz, ale posłużyła się tym pretekstem, by móc zająć się analizą zebranych faktów. Nigdy nie była dobra w roli pocieszycielki. Wiedziała, że wiele osób postrzega ją jako kobietę pozbawioną empatii, z czym już dawno się pogodziła. Nie widziała sensu w tłumaczeniu, że za ważniejsze od łez czy słów współczucia uważa czyny. Teraz także sądziła, iż daleko bardziej przysłuży się Justynie, jeśli pomoże policji w ujęciu zabójcy, niż uzalaniem się nad nieszczęściem, które spotkało Leszka i jego córkę.

Na szczęście Hardy jej nie zatrzymywał, mogła więc cmoknąć go w policzek na pożegnanie i opuścić dom żałoby. Wyszła na główną ulicę i natychmiast ujrzała nadjeżdżający radiowóz. Samochód skręcił w przecznicę, z której właśnie wyszła, domyśliła się więc, że funkcjonariusze mają zamiar ponownie

odwiedzić Leszka.

– W samą porę go łapnęłam – mruknęła, musnąwszy palcami torebkę, w której spoczywał tablet, zabrany niemal sprzed nosa policjantów. – Oby było warto.

Wkrótce po powrocie do użyczonego jej przez Mirabelkę pokoju przekonała się, że jednak nie było warto. Przejrzała dokładnie managera urządzenia, lecz nie znalazła żadnego pliku mogącego naprowadzić ją na trop osoby szantażowanej przez Justynę. Wobec tego zaczęła uruchamiać je po kolei, łudząc się, że Sojka-Hardy zakamuflowała go pod inną nazwą. Miała niemal pewność, że marnuje tylko czas, gdyż nie sądziła, by kobieta dysponowała takimi umiejętnościami... Ale nigdy nic nie wiadomo. Sprawdziła więc wszystkie pliki, później rzuciła okiem na przeglądarkę internetową, lecz nie znalazła tam nic ciekawego. Zniechęcona, już miała wyłączyć tablet, gdy w oko wpadła jej ikona Facebooka. Bez namysłu musnęła ją palcem, a potem wzniosła w duchu modły do wszystkich dobrych i złych mocy, by system nie zażądał hasła. Modlitwy zostały wysłuchane i chwilę później wirtualny dom Justyny Sojki-Hardy stanął przed nią otworem.

Na tablicy nie znajdowało się zbyt wiele postów. Justyna dołączyła do społeczności Facebooka dopiero niespełna rok temu i przez ten czas niewiele zdążyła opublikować. Zdjęcia swojej sypialni, ogrodu w pełnym rozkwicie, kilka fotografii rodzinnych, na których jedynie początkowo występowali we troje. Na późniejszych za towarzystwo miała tylko siedmio-, może ośmioletnią dziewczynkę, zapewne córkę, sądząc z podobieństwa dziecka do Leszka. Należała do kilku grup związanych z ogrodnictwem i kulinariami, ale prawie wcale się nie udzielała. Podobnie rzecz się miała ze znajomymi. Zaledwie czternaście osób, skonstatowała Diona, a po chwili sprawdzania wiedziała już, że Justyna rzadko lajkowała i komentowała cudze posty. Wszystko wskazywało na to, że

Facebook faktycznie służył jej bardziej do grania niż do kontaktów.

Po krótkim wahaniu Diona uruchomiła Messengera i stwierdziła, że w zasadzie powtarzał się tam kontakt z jedną tylko osobą, Kariną Pohańską. Diona zapamiętała to nietypowe nazwisko z nielicznych komentarzy pod postami Justyny, uznała więc, że zapewne była to znajomość czysto wirtualna. Jedynym sposobem, by zyskać pewność, było otworzenie którejs z wiadomości, a na to nie miała specjalnej ochoty. Jaką korzyść mogłoby to przynieść? Policjanci zatrzymali telefon denatki, więc z pewnością odczytali je wszystkie. Nie miało sensu powielać ich działania, toteż Diona z westchnieniem zawodu wyłączyła tablet i odłożyła go na parapet, gdzie urządziła sobie składowisko rzeczy podręcznych.

Po zerknięciu na ekran telefonu przekonała się, że do obiadu zostało jeszcze ponad trzy godziny, postanowiła więc pojechać do Jodłowca, by zapolować na starszego aspiranta Lipskiego. Zanim jednak wyszła, sięgnęła po notatnik, który traktowała jak zewnętrzną partycję rozumu. Wkładając go do mocno sfatygowanej torebki, zahaczyła rogiem o nadprutą podszewkę, którą ciągle zapominała zaszyć, a ta rozdarła się z trzaskiem, nadrywając przy okazji cienką ekoskórę na samym środku wierzchniego pokrycia torebki.

– Kurwa mać!

Przekleństwo nie sprawiło, że torebka się zrosła. Diona przez kilka minut oglądała ją ze wszystkich stron, szukając sposobu na ukrycie uszkodzenia, wkrótce jednak się poddała. Rozdarcie było zbyt duże, by mogła je czymś zamaskować. Chcąc nie chcąc włożyła niezbędne przedmioty do kieszeni kurtki, lecz dla notesu nie było tam miejsca. Wyrwała więc kilka czystych kartek i odłożywszy notatnik na tablet, upchnęła luźne kartki w etui i wyszła z domu.

W samochodzie rzuciła pokrowiec na tylne siedzenie i włożyła

kluczyk w stacyjkę. Zanim uruchomiła silnik, podniosła jeszcze walające się pod nogami czasopismo, usiłując ustalić, skąd się tam wzięło. Widocznie wypadło ze schowka na drzwiach, przypomniała sobie bowiem, że tam właśnie je wetknęła.

Rzuciwszy kolorowy magazyn na etui, zdecydowanym ruchem przekręciła kluczyk i odjechała w kierunku Jodłowca.

Rozdział 5

Świadek i podejrzany

Zaparkowała na trapezowatym rynku niemal w tym samym miejscu co poprzednio i niespiesznie ruszyła w stronę komisariatu. Drzwi stawiały silny opór, co od razu ją zirytowało. Gdyby na jej miejscu stał jakiś staruszek lub ktoś osłabiony chorobą, nie miałyby szans dostać się do środka.

Diona zaklęła pod nosem, zaparła się i z całych sił pchnęła odporne skrzydło, a drzwi uchyliły się niechętnie. Zlustrowała szybko niewielką poczekalnię, gdzie jedyne umeblowanie stanowiły ustawione w równym rzędzie krzesła w liczbie sześciu, i podeszła do okienka, za którym siedziała młoda kobieta z dystynkcjami młodszej aspirant na pagonach. Na dźwięk otwierających się drzwi uniosła głowę i teraz patrzyła na nadchodzącą z nieskrywanym zaciekawieniem.

– Dzień dobry – przywitała się Diona z miłym uśmiechem. A przynajmniej miała nadzieję, że jest miły, wiedziała bowiem, że nie zawsze na taki wygląda. – Czy zastałam aspiranta Lipskiego?

Siedząca przy biurku policjantka odgarnęła z lewego oka pasmo blond włosów, które właśnie wymsknęło się z nieporządnego koka i opadło na twarz, zwijając się w sprężynkę. Na ten widok Diona stłumiła pełne zazdrości westchnienie. Zawsze marzyła o kręconych włosach.

– Którego?

Tym pytaniem dziewczyna zaskoczyła Dionę, nikt bowiem

dotychczas nie wspomniał, że aspirant Lipski istnieje w kilku osobach.

– Starszego aspiranta Lipskiego – odparła, zakładając, że to uściślenie wystarczy do identyfikacji.

Nie wystarczyło. Policjantka ponowiła pytanie z poważną miną, lecz w kącikach jej ust czał się uśmiech sprawiający, że wyglądała jak niesforne dziecko cieszące się z udanego psikusa.

– Którego?

Diona wydała z siebie głośne westchnienie, nie próbując tym razem go tłumić.

– Chodzi mi o Marcina Lipskiego. Mam nadzieję, że jest tylko jeden.

Dziewczyna z okienka roześmiała się serdecznie.

– Bez obaw, klonowania jeszcze nie opanowaliśmy. Była pani wzywana?

– Nie, jestem tu całkowicie prywatnie. Mam po prostu pewną sprawę do pana Lipskiego. Bardzo ważną – dorzuciła pod wpływem uważnego spojrzenia policjantki.

– Niestety Marcin jest w tej chwili zajęty i trudno mi powiedzieć, kiedy skończy. Może coś przekazać?

Pokręciła głową. Nie mogła przecież powiedzieć tej obcej dziewczynie prawdy, a kłamać nie zamierzała. Wprowadzony w błąd Lipski mógłby nastawić się niezbyt przychylnie do współpracy.

– Na numer telefonu pewnie nie mam co liczyć, prawda? – stwierdziła ze smętnym uśmiechem i nie czekając na odpowiedź, zaproponowała: – Może zostawię swój? Gdyby puścił mi sygnał, mogłabym oddzwonić.

– Proszę zostawić, ale nie obiecuję, że zadzwoni. To już zależy od niego.

Nie zabrzmiało to optymistycznie, mimo to Diona postanowiła spróbować. A nuż Lipski zadzwoni z czystej ciekawości? Poprosiła o kartkę papieru i pogmerała w kieszeni, by wydobyć

długopis. Była pewna, że go tam włożyła, teraz jednak okazało się, że była w błędzie, poprosiła więc ładną aspirant o użyczenie długopisu. W tej samej chwili drzwi do dyżurki szczęknęły i otworzyły się na całą szerokość. Do pomieszczenia wszedł poszukiwany przez nią aspirant Lipski, lecz prawie nie zwróciła na niego uwagi, chłonąc scenę rozgrywającą się za otwartymi drzwiami. Przystanęło tam trzech mężczyzn. Dwóch policjantów zignorowała, jej uwagę natomiast przykuł trzeci osobnik, przytrzymywany przez jednego z funkcjonariuszy za ramię. Ta pozycja oraz ręce założone w tył nie pozostawiały żadnych złudzeń – Leszek Hardy został zatrzymany.

Dionę tak to zaszokowało, że całkowicie umknął jej fakt, iż ktoś do niej coś mówi. Dopiero głośne: „Halo! Proszę pani!” sprawiło, że ocknęła się z zapatrzenia. Spojrzała nieco bezmyślnie, wolno wracając do rzeczywistości.

– Słucham? – Ze wszystkich sił starała się, by jej głos brzmiał normalnie. – Przepraszam, zamyśliłam się.

– Zauważyłem. – Lipski wyglądał na rozweselonego. – Mam wrażenie, że znajdowała się pani bardzo daleko stąd. Podobno chciała pani ze mną rozmawiać.

– Nie wiem, czy pan mnie pamięta – zagaiła.

Żywiła nadzieję, że zaintrygowany policjant zachowa się tak, jak zachowałyby się większość osób w podobnej sytuacji. Zada kilka pytań, dzięki czemu odrobinę zredukuje dzielący ich dystans, a wówczas ona będzie mogła wykorzystać tę cieniutką nić porozumienia i namówić go na rozmowę w cztery oczy.

W następnej chwili aspirant zniwelował tę nadzieję niemal do zera.

– Pamiętam.

Lakoniczna odpowiedź wybiła Dionę z rytmu. Przez chwilę wgapiła się tępo w twarz mężczyzny, oczekując, że usłyszy coś więcej, lecz on milczał, spoglądając z krzywym uśmiechem, w którym mogła się doszukać tak rozbawienia, jak ironii.

Milczenie zaczęło już być krępujące. Nie mogła dłużej tak stać i czekać, aż niebiosy się nad nią zlitują.

– Ja też pana zapamiętałam – odezwała się w końcu. – Nie znam tu nikogo, a potrzebuję swego rodzaju konsultacji, dlatego przyszedłam do pana.

– Konsultacji – powtórzył przeciągle. Odniosła wrażenie, że uczynił to rozmyślnie, chcąc nadać temu słowu jakieś szczególne znaczenie. – Dobrze. Możemy porozmawiać – zgodził się niespodziewanie. – W końcu jesteśmy od tego, by służyć społeczeństwu. Ale o tym pani doskonale wie. Prawda, pani Dionizo?

Znów ją zaskoczył. Owszem, spodziewała się, że zbyt długo nie zachowa swojego incognito. Nie w tak małej społeczności jak Strzygom, podlegający pod komisariat w Jodłowcu. Nie sądziła jednak, że jej osobą może zainteresować się policja. Choć z drugiej strony nie było to wcale takie dziwne, przecież wszyscy w wiosce kłamaców od dawna wiedzieli, po co przyjechała. Z pewnością znalazł się ktoś, kto doniósł o tym policji lub niechcący się wygadał w rozmowie z jakimś funkcjonariuszem, a od tego już prosta droga do wyszukania informacji na jej temat. Udowodnienie, że Drawicz i Kotlarski nie są odpowiedzialni za śmierć Roszaka, wiązało się ściśle z wykazaniem niekompetencji organów ścigania, było zatem oczywiste, że policjanci chcieli wiedzieć, z kim mają do czynienia.

– Nie wiedziałam, że jestem na tyle ważna, by moje odwiedziny u krewnych stały się przedmiotem zainteresowania policji. Czuję się uhonorowana – rzuciła lekko i zaraz przeszła do meritum, nie dając Lipskiemu czasu na odpowiedź. – Kiedy i gdzie moglibyśmy się spotkać? Nie mam żadnych obowiązków, więc mogę się dostosować.

Nie odezwał się, pokiwał tylko głową, spoglądając na nią z zastanowieniem. Cokolwiek miałyby to znaczyć, nie

zamierzała wyjść, dopóki nie usłyszy konkretnej odpowiedzi. Jakakolwiek by ona była.

Usłyszawszy ją kilka sekund później, pomyślała, że na drugi raz musi jakoś ostrożniej formułować swoje życzenia.

– Właściwie możemy porozmawiać już teraz. Akurat miałem zamiar wysłać kogoś do Mirabelki, żeby panią tu przywiózł.

– Po co?

Wzruszył ramionami i zwolnił przycisk na drzwiach dzielących poczekalnię od reszty pomieszczeń.

– Zapraszam.

Teraz Diona wzruszyła ramionami. Jeśli tutejsza policja chce tracić czas, czepiając się jej prywatnego śledztwa, to proszę bardzo. Jak na razie w Polsce nie ma zakazu robienia z siebie głupka.

Przeszła przez drzwi ze zwolnioną blokadą i znalazła się w czymś w rodzaju holu, gdzie zauważyła trzech policjantów, dyskutujących zawzięcie. Lipskiego wśród nich nie było, choć powinien znaleźć się tam wcześniej niż ona. Zdezorientowana, rozejrzała się niepewnie i postąpiła kilka kroków w stronę dyskutantów, gdy tuż obok otworzyły się inne drzwi i wyszedł z nich aspirant. Uczynił zapraszający gest, lecz zamiast pójść za nim, Diona spojrzała w tył, przypomniawszy sobie o Hardym. Nigdzie go nie dostrzegła, więc pewnie został już odprowadzony lub odwieziony do pomieszczenia dla osób zatrzymanych.

– Widziałam, że wsadziliście Hardego w dyby – odezwała się do Lipskiego, który przystanął i spoglądał na nią z lekkim zniecierpliwieniem. – Co zrobił?

Nie oczekiwała odpowiedzi. Właściwie była nawet pewna, że policjant zignoruje pytanie lub zasłoni się tajemnicą śledztwa, tym bardziej więc zaskoczyło ją, gdy odparł bez najmniejszego zawahania:

– Udusił żonę.

Z wrażenia aż się potknęła o nierówno przyklejoną płytkę

i byłąby upadła, gdyby jej nie podtrzymał. Nawet nie podziękowała, tylko popatrzyła na funkcjonariusza z niedowierzaniem.

– Leszek zabójcą? Niemożliwe. Rozmawiałam z nim rano i widziałam, w jakim był stanie. Nigdy nie uwierzę, że mógłby być sprawcą.

Coś błysnęło w oczach Lipskiego. Sympatia? Uznanie? Nie potrafiła tego zdefiniować, a gdy zerknęła ponownie, twarz policjanta przybrała znów obojętny wyraz. Nie odniósł się w żaden sposób do jej wypowiedzi, tylko skierował swoje kroki w stronę kolejnych drzwi, nie wypuszczając przy tym jej ramienia. Pozwoliła, by ją prowadził, choć czuła się trochę niepewnie – gest zbyt przypominał to, co widziała przez okienko i co znała doskonale z czasów, gdy była policjantką. Sama też nieraz w ten sposób przytrzymywała rozmówców – niby przyjaźnie, ale w gruncie rzeczy po to, by zapobiec ewentualnej ucieczce.

W pokoju wskazał jej krzesło przy biurku; sam także usiadł i przysunął sobie klawiaturę, zaczął coś zapisywać. Diona czekała cierpliwie, ciekawa rozwoju sytuacji. Po chwili aspirant oderwał wzrok od klawiszy.

– Powiedziała pani przed chwilą, że odwiedziła rano Leszka Hardego, a ja właśnie w tej sprawie miałem zamiar panią wezwać. Najlepiej będzie, jeśli załatwimy to od razu. Mogę prosić o dokument tożsamości?

Znowu zaskoczenie! Od wizyty u Hardego minęło... Z trudem powstrzymała się od zerknięcia na zegarek i policzyła w myślach. *Jakieś trzy godziny*, doszła do wniosku, podając Lipskiemu dowód. *Pieprzony sygnalista*, wyrzekła w duchu. *Trzy godziny mu wystarczyły, żeby donieść na komisariat*. Potem przypomniała sobie radiowóz skręcający w ulicę, przy której mieszkał Leszek, i zrozumiała, że czas nie grał tu roli. Prawdopodobnie ten ktoś poinformował policjantów o jej

odwiedzinach od razu, gdy tylko przekroczyła próg Hardego. To tyle, jeśli chodzi o lojalność mieszkańców wioski. Choć z drugiej strony ona nie była stałym mieszkańcem, więc być może jej ta lojalność nie obejmowała.

– Jaki był cel pani porannej wizyty u Leszka Hardego?

Na dźwięk głosu aspiranta uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Chciałam się upewnić, że poinformowałam was o szantażu. – Teraz on wyglądał na zaskoczonego, więc wyjaśniła obszerniej: – Dwa dni temu Leszek wyznał mi, że jego żona kogoś szantażuje. Pytał o radę, bo nie wiedział, co powinien w tej sytuacji zrobić. Powiedziałam, że musi bezwzględnie powiadomić o sprawie policję, głównie ze względu na bezpieczeństwo żony. Nie widzę w tym nic śmiesznego – warknęła, ujrawszy uniesioną kpiąco brew i uśmiezek czający się w kącikach ust policjanta. – Według tego, co mówił Hardy, żona szantażowała prawdziwego zabójcę komendanta Roszaka. Bałam się, że jeśli miała rację, a chyba miała, skoro jej zapłacił, ten ktoś nie będzie miał oporów przed dokonaniem kolejnego zabójstwa. I niestety wszystko wskazuje na to, że się nie pomyliłam.

W miarę jak mówiła, kpiący uśmiech zniknął z twarzy aspiranta, aż w końcu spełzył całkowicie.

– Chce pani powiedzieć, że Hardy był wczoraj u nas i zgłosił tę sprawę?

Na jego twarzy malowało się takie zdumienie, że Diona pozbyła się wszystkich wątpliwości. To nie on był tym aspirantem, z którym Leszek wczoraj rozmawiał. Nikt nie potrafiłby zagrać zaskoczenia tak doskonale. Zatem rozmówcą Hardego musiał być ten drugi Lipski.

Niespodziewanie dla samej siebie Diona poczuła ulgę i obdarzywszy policjanta przyjaznym spojrzeniem, odparła:

– Niestety tego nie zrobił. Nie miał czasu, żeby przyjechać,

więc postanowił załatwić sprawę przez telefon.

Opowiedziała Lipskiemu wszystko, czego rano dowiedziała się od Leszka. Mężczyzna słuchał uważnie, a gdy skończyła, zadał następne pytanie.

– Czy znała pani wcześniej Leszka Hardego?

– To zależy, co pan rozumie przez słowo „wcześniej”. Przed moją dzisiejszą wizytą u niego czy przed przyjazdem do Strzygomia?

– Przed przyjazdem do Strzygomia – odparł, nie podnosząc wzroku znad klawiatury. Mimo to odniosła wrażenie, że z jakiegoś powodu jej żądanie doprecyzowania pytania go rozbawiło.

– Nie, nie znałam. Zresztą nie tylko Hardego wcześniej nie znałam. Nigdy przedtem nie byłam w Strzygomiu, więc nie miałam okazji poznać nikogo z mieszkańców tej miejscowości.

– Mieszka pani u Mirosławy Belki. Trochę to dziwne, przyjeżdżać do kogoś, kogo się nigdy nie widziało – rzucił aspirant, tym razem obdarzając Dionę uważnym spojrzeniem. Odwzajemniła je, odpowiadając ze spokojem:

– Przyjechałam do cioci Miry. Mirosławy Belki. I wcale nie powiedziałam, że nigdy jej nie widziałam. Powiedziałam tylko, że nigdy dotąd nie byłam w Strzygomiu. Ale to, że ja nie przyjeżdżałam do Strzygomia, wcale nie oznacza, że ciotka Mira, jej mąż czy córka nie przyjeżdżali do nas.

– To prawda – przyznał Lipski i znów coś zanotował. – Teraz jednak pani przyjechała. W jakim celu?

Diona wydeła usta, udając, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Miałam ochotę poznać wreszcie tę wioskę kłamców, o której tyle słyszałam. A że aktualnie nie pracuję, skorzystałam z zaproszenia i przyjechałam. Przedtem jakoś ciągle się nie składało.

– Dobrze, zostawmy to na razie – zdecydował policjant. –

Proszę mi teraz opowiedzieć o Hardym.

– Co mam opowiedzieć? O tym, że go polubiłam, że piłam z nim herbatę albo że podwoziłam go do Strzygomia?

– Podobno była pani policjantką, więc dobrze pani wie, że w takich sytuacjach wszystko może być ważne – burknął z irytacją.

Zadowolona, że wreszcie zdołała go chociaż odrobinę wytrącić z równowagi, Diona uśmiechnęła się zniewalająco.

– Dziękuję. To bardzo miło z pana strony.

Po minie mężczyzny poznała, że poczuł się zaskoczony. Wyglądał na nieco ogłupiałego. Przez chwilę milczał, wreszcie nie wytrzymał, by nie zapytać:

– Za co pani dziękuje?

– Za zainteresowanie moją skromną osobą – odparła, znowu z tym słodkim uśmiechem, od którego zaczynały już ją boleć mięśnie twarzy. – Musiało być niemałe, skoro nie tylko sprawdził pan, jak się nazywam i u kogo mieszkam, ale i dowiadywał się o moją przeszłość. Zastanawia mnie tylko, po co to wszystko.

– Prewencyjnie – mruknął wymijająco, lecz wyglądał na zmieszanego. – Słucham więc. Jak to było z Hardym?

– Jeśli uważacie, że to on zabił Justynę, i nie zamierzacie szukać innego podejrzanego, to popełniacie błąd – odparła, nie mogąc się powstrzymać. Już miała dodać: „Jak przy zabójstwie mojego ojca”, na szczęście tym razem zdążyła ugryźć się w język. – Hardy nie jest człowiekiem zdolnym do takich radykalnych działań. Poza tym moim zdaniem on nadal kocha żonę. Był całkowicie załamany, kiedy tam przyszedł.

– Też uważam, że kochał żonę. Dlatego ją zabił. Z zazdrości.

Diona popatrzyła na policjanta z niedowierzaniem.

– Naprawdę pan myśli, że mając w domu taki egzemplarz męskiej urody jak Hardy, jakakolwiek kobieta rzuciłaby go dla ordynarnego grubasa? Pomijam już kwestie materialne

i prestiżowe.

– Czyli jakie? – zażądał uściślenia wypowiedzi.

Dziewczyna miała ochotę wznieść oczy do nieba w reakcji na taką nieznajomość kobiecej psychiki. Zresztą nie tylko psychiki. Zwykła logika wskazywała na bezsens założenia, że Justynę łączyło coś z Nowosielskim.

– Jako żona Hardego miała określoną pozycję w wiosce. Była żoną, nie kochanką, a to ważne w małych, zamkniętych społecznościach. Co mógłby jej zaoferować żonaty facet? Szybki seks w obskurnym wynajętym pokoju?

– Dlaczego obskurnym? – dopytywał aspirant, jakby ta kwestia najbardziej go intrygowała.

– Bo słyszałam, że tym kochankiem był Jacek Nowosielski, a on ma opinię niemożebnej kutwy. Jaka przyszłość czekałaby ją u boku takiego faceta, gdyby odeszła od męża? Wymienić własny dom na jakiś zapyziały pokój do wynajęcia, za który pewnie musiałaby sama płacić? Skąd wzięłaby pieniądze na życie? Pomyślał pan o tym?

Aspirant spoglądał na nią przez chwilę, ważąc coś w myślach, wreszcie wzruszył ramionami i wymamrotał cicho:

– Pewnie liczyła, że kochanek będzie ją sponsorował. Pani jej nie znała, więc nie wie pani, że Justyna Sojka-Hardy nie zaliczała się do osób o wielkim intelekcie. Była typowym przykładem blondynki z kawałów.

– Tak słyszałam, ale nie mogę się do końca zgodzić z tą opinią – sprzeciwiła się Diona. – Potrafiła dodać dwa do dwóch w sprawie zabójstwa komendanta Roszaka i znaleźć w tym powód do szantażu, a tego byle idiotka nie zdołałaby zrobić.

– Uważamy, że nie było żadnego szantażu – mruknął Lipski, po czym się zreflektował. – Nie powinienem był tego mówić. Proszę zachować tę informację dla siebie.

– Już lecę ją rozgłaszać – warknęła, zła, że przerwał tok jej myśli. Usiłowała właśnie zrozumieć, co oznacza pierwsza część

wypowiedzi. Naraz omal nie klepnęła się w czoło. – Jasne! – zawołała, nieświadomie podnosząc głos. – Uważacie, że Hardy wymyślił sprawę szantażu, żeby móc zwalić winę na nieistniejącą ofiarę, od której jego żona wymuszała pieniądze. Dobrze kombinuję?

Aspirant znów długo milczał, zanim potwierdził zwięźle:

– Dobrze.

Nie dodał nic więcej. Diona wahała się, czy powinna podzielić się swoimi podejrzeniami, nie dysponowała bowiem żadnym dowodem na ich poparcie. Ale z każdą chwilą utwierdzała się w przeświadczeniu, że się nie myli. Najpierw jednak musiała wyjaśnić jeszcze jedną kwestię, bardzo istotną dla sprawy.

– Leszek Hardy kilka razy w rozmowie ze mną powtórzył, że Justyna rozmawiała przez telefon z osobą, od której chciała wymusić pieniądze. W takim razie w spisie połączeń jej komórki w ostatnich dniach powinien powtarzać się ten sam numer. Sprawdziliście to? Dlaczego nie?! – wykrzyknęła, gdy policjant zaprzeczył ruchem głowy.

– Z tej prostej przyczyny, że przy denatce nie znaleźliśmy telefonu – odparł spokojnie. – W domu także nie. Wniosek z tego, że zabrał go zabójca.

– No widzi pan? – rzuciła z satysfakcją. – Bał się, że zidentyfikujecie go po numerze, dlatego zabrał komórkę. To dowód na to, że Hardy jest niewinny, bo on nie miał powodu zabierać telefonu.

– Miał – stwierdził aspirant z tym samym irytującym spokojem. – Musiał go zabrać i ukryć, żeby się nie wydało, że nie ma w nim żadnych połączeń z szantażystą. Nie wszyscy wiedzą, że tego samego możemy dowiedzieć się z bilingów. Już wystąpiliśmy do operatora o udostępnienie i prędzej czy później je otrzymamy.

Diona sapnęła z irytacją, lecz musiała uznać swoją porażkę. Lipski miał rację. *Ale tylko w tej sprawie*, stwierdziła w myślach

i postanowiła zaryzykować. Najwyżej zostanie wyśmiana. Spotkały ją już w życiu gorsze rzeczy, więc z tym także jakoś się pogodzi.

– Moim zdaniem Justyna Sojka-Hardy nie miała żadnego kochanka, więc Leszek Hardy nie miał powodu jej zabijać – wypaliła i umilkła, czekając na reakcję.

Policjant obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Twarz pozostała obojętna, lecz jakiś dziwny błysk, który na moment rozjarzył się w szarych oczach, powiedział jej, że przynajmniej zostanie wysłuchana. Na więcej i tak nie śmiała liczyć.

– Słucham – ponaglił ją. – Chciałbym poznać pani argumenty.

– Myślę, że Justyna musiała czuć się w tej wiosce bardzo obco i samotnie. Na pewno wiedziała, że społeczność jej nie lubi. Żyła wśród mieszkańców Strzygomia z etykietą niezbyt inteligentnej, za to rozpuszczonej do granic możliwości dziewczyny, która złapała męża na dziecko.

Urwała i zerknęła na Lipskiego, ciekawa reakcji. Mężczyzna wolno skinął głową.

– Jak na razie wszystko pasuje, chociaż nie widzę związku ze sprawą. Poza tym jest to dość oczywiste, w sumie żadna rewelacja.

– To tak w formie wstępu – wyjaśniła z uśmiechem. – I dla nakreślenia ogólnej sytuacji przed przejściem do meritum.

– Wolałbym meritum bez wstępu – mruknął. – Mam jeszcze inną robotę.

– W takim razie będę się streszczać – przyrzekła. – Dzisiaj rano Leszek powiedział mi istotną rzecz. Że pół roku temu wyprowadził żonę ze wspólnej sypialni.

– Co w tym dziwnego? Przecież miała kochanka. Też bym nie chciał...

– Wtedy jeszcze nie było mowy o żadnym kochanku – przerwała mu ze zniecierpliwieniem. – Podobno Justyna narzekała na jego głośne chrapanie, więc on postanowił sprawić

ukochanej żonie przyjemność i stworzył dla niej oddzielne gniazdko.

Ostatnie zdanie wymówiła ironicznym tonem, na co policjant od razu zwrócił uwagę. Na twarzy pojawił mu się wyraz zdumienia.

– To źle?!

– Nawet bardzo źle – odparła Diona. – Nietrudno sobie wyobrazić, jak się poczuła, gdy ni z tego, ni z owego mąż wyekspediował ją ze wspólnej sypialni. Przecież niczego z nią nie uzgadniał, niczego nie tłumaczył, tylko szast-prast i wypad z baru. Głowę dam sobie uciąć, że poczuła się odtrącona.

Lipski nie wyglądał na przekonanego.

– Może... – mruknął niepewnie.

– Jestem przekonana, że tak właśnie było. Z pewnością uznała, że mąż przestał ją kochać, skoro nie chce z nią sypiać, a jak pan sam powiedział, nie była tytanem intelektu. Nie pomyślała, że najrozsądniej byłoby porozmawiać i wyjaśnić wątpliwości. Zamiast tego wykombinowała, że da mężowi powód do zazdrości, i przy pierwszej okazji wykrzyczała mu prosto w twarz, że ma kochanka. A ten idiota uwierzył, tylko zamiast zgodnie z jej planem prosić, by zaczęli wszystko jeszcze raz, oznajmił, że powinni wziąć rozwód.

– Więc twierdzi pani, że nie było żadnego kochanka?

Przejęty jej opowiadaniem aspirant pochylił się do przodu, jakby w trosce, żeby nie uronić ani słowa z odpowiedzi. Uśmiechnęła się i oznajmiła dobitnie:

– Nie było kochanka. Przeglądałam jej tablet, który dostałam od Leszka, i nigdzie nie znalazłam nawet śladu kontaktu noszącego znamiona miłosnej rozmowy. Dlatego twierdę z pełnym przekonaniem, że kochanka nie było, była za to ofiara szantażu.

Pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Naprawdę pani wierzy w ten szantaż?

– Wierzę, bo on pasuje do całości. Myślę, że Justyna wpadła w panikę, gdy Leszek wspomniał o rozwodzie, i desperacko szukała sposobu, by zatrzymać go przy sobie. Uważam, że stało się coś, co spowodowało, że zrozumiała, jak ważne są informacje, które miała. Gdy to odkryła, postanowiła pomóc mężowi. Widziałam ją raz. – Diona przywołała w pamięci scenę w pizzerii. – Była wściekła i rozżalona, że Leszek nie chce skorzystać z okazji do zdobycia pieniędzy. Nie wyglądała na obojętną. Przeciwnie. Według mnie bardzo jej na nim zależało i zabolowało ją, że odrzucił jej plan.

Lipski nie miał już takiej powątpiewającej miny jak przed chwilą. Teraz wyglądał na przejętego. Odjechał z krzesłem od biurka, założył ręce na płaskim brzuchu i wbił w dziewczynę wzrok, jakby miał zamiar przejrzeć ją na wylot.

– Coś w tym jest – mruknął. – Ale to by znaczyło...

– Że zabiła ją osoba, którą Justyna szantażowała. – Diona gładko weszła mu w słowo. – To jedyne logiczne wytłumaczenie.

Policjant energicznie przysunął się do biurka i sięgnął po długopis oraz kartkę z zasobnika na papier. Zanotował kilka słów, po czym znów się zamyślił.

– Ma pani jakieś podejrzenia co do tożsamości tej osoby?

– Mam – przyznała otwarcie. – Ale jest jeszcze jeden problem. Ona nie wykluła się dopiero teraz z tym szantażem. Już wcześniej stawiała żądania. Jeśli gość nie chciał płacić, powinien był zabić ją od razu.

– Może wtedy zapłacił, bo kwota nie wydała mu się zbyt wielka, a myślał, że na tym się skończy? – Aspirant podrapał się długopisem po policzku. – Ale się nie skończyło i facet skumał, że to może trwać w nieskończoność. Dlatego ją zabił.

Diona nie zamierzała zgadzać się z tą opinią. Przeszkadzał jej w tym pewien fakt.

– Gdyby było tak, jak pan mówi, nie dawałby jej pieniędzy, tylko zabiłby od razu. Nawet nie przyniósłby kasy na spotkanie,

bo i po co? Jaki sens byłoby płacić, a zabić dopiero później, jeśli chodziłoby tylko o pieniądze?

– Wątpię, żeby zapłacił – zaproponował Lipski. – Jeśli pani teoria ma sens, to zabił właśnie po to, żeby nie płacić.

– Przeszukaliście dom Hardego? – spytała obojętnie, jakby od niechcenia.

Aspirant nawet nie zauważył, że przesłuchiwana dziewczyna już jakiś czas temu wypadła z roli świadka, przeobraziwszy się w śledczą, analizującą wraz z nim prawdziwość kolejnych hipotez.

– Nawet dwukrotnie. Rano, zaraz po powiadomieniu Hardego o śmierci żony, a drugi raz, gdy go zawijaliśmy. Nic ciekawego tam nie było.

– W sejfie też nie?

Pytanie sprawiło, że Lipski oniemiał. Kilka chwil wgapiął się w Dionę bezmyślnie, zanim zdołał wyartykułować pytanie:

– Hardy ma w domu sejf?

Wzruszyła ramionami.

– Ja go nie widziałam, ale Leszek powiedział, że włożył pieniądze do sejfu. Nie wiem, czy to sejf w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo nazywał go skrytką. Ale wniosek jest taki, że jakieś schowanko posiada. Nie powiedział wam o nim?

– W ogóle niczego nam nie powiedział – burknął policjant. – Od chwili, gdy dowiedział się, że jest podejrzewany o zabicie żony, nie odezwał się ani słowem. Dlatego tak szybko skończyłem przesłuchanie. Czułem się, jakbym gadał do klamki.

Diona uśmiechnęła się, wspominając bohaterkę czytanej ostatnio książki. Z powieściową Klamką wcale nie poszłoby Lipskiemu lepiej.

– Hardy powiedział mi, że włożył do skrytki sto tysięcy, które żona wręczyła mu przedwczoraj po południu. Miał zamiar przekazać je wam razem z tamtą dychą, którą dała mu

wcześniej. Ale Justyna zginęła i kwestia pieniędzy poszła chwilowo w zapomnienie. – Wzięła głęboki wdech. – Rozumie pan, co to oznacza?

– Komplikacje – odparł natychmiast. – Jeśli pieniądze naprawdę tam są.

Ta uwaga sprawiła, że po plecach Diony przebiegły ciarki. Poderwała się z miejsca.

– Jedźmy tam! – wykrzyknęła. – Zaufaj mi. Proszę. – Złożyła dłonie jak do modlitwy. – Jeśli się mylę, będzie pan mógł rozgłosić na całe województwo, że jestem kretynką, ale teraz jedźmy do Hardego, póki nie jest za późno.

Podeksytowanie dziewczyny udzieliło się także policjantowi. Poderwał się zza biurka, ruszył ku drzwiom, lecz zaraz przystanął.

– Mój samochód stoi u mechanika, a radiowozy są w terenie. Musimy poczekać.

– Nie musimy – zaproponowała, ciągnąc go za rękaw munduru. – Pojedziemy moim. Pospiesz się! – wrzasnęła, znów porzucając grzecznościową formę.

Posłusznie poszedł za nią, krztusząc się ze śmiechu, lecz Diona była zbyt podenerwowana, by dociekać przyczyn tej nagłej wesołości. Niecierpliwie przytupywała, gdy zatrzymał się, by poinformować dyżurną o swoim wyjściu, a później nadała takie tempo, że ich chód niewiele różnił się od biegu. Ledwie zdążył wsiąść i zamknąć drzwi samochodu, a już ruszyła.

– Co się dzieje? – spytał, na wszelki wypadek łapiąc uchwyt.

Spodziewał się szaleńczej jazdy i się nie zawiódł. Z piskiem opon wyjechali z rynku. Diona zmieniła bieg na wyższy, docisnęła gaz i dopiero wtedy odpowiedziała.

– Moim zdaniem ten ktoś wcale nie zabił Justyny, żeby nie płacić, bo zapłacił już wcześniej. On zabił ze strachu, żeby nie wydało się, że jest zamieszany w zabójstwo komendanta Roszaka.

Lipski rzucił jej szybkie, lecz uważne spojrzenie, po czym przeniósł je na tablicę rozdzielczą.

– Jeszcze trochę, a będzie się to kwalifikowało do odebrania prawa jazdy. Zabójcy Roszaka siedzą w Sztumie. Powinnaś o tym wiedzieć.

Diona zakłęta, lecz zamiast zwolnić, mocniej nacisnęła pedał gazu.

– Naprawdę nie wiesz, o co mi chodzi? – rzuciła, poirytowana niedomyślnością. – Justyna zginęła, bo Leszek Hardy zamierzał wam wszystko opowiedzieć. Wiedziałam o tym tylko ja, nikomu innemu nie zdradziłam swoich zamiarów. Na nieszczęście dla Justyny Hardy nie pojechał na komisariat, tylko zadzwonił. Pech chciał, że z jakichś względów policjant przerwał rozmowę i Leszek zdążył powiedzieć tylko kilka słów. Ale one wystarczyły, żeby ktoś wpadł w popłoch. Ktoś od was – zakończyła dobitnie.

Zerknęła na Lipskiego, ciekawa reakcji policjanta, lecz aspirant nie odpowiedział. Sięgnął za to po telefon.

– Cześć – odezwał się po uzyskaniu połączenia. – Możesz wpaść na chwilę do domu Leszka Hardego? – Wysłuchał odpowiedzi, po czym rzucił ze zniecierpliwieniem: – Jakby nie było ważne, tobym nie dzwonił. Dobra. W takim razie czekam.

– Do kogo dzwoniłeś?

Lipski schował komórkę i niespodziewanie się uśmiechnął.

– Zauważyłaś, że zaczęłaś mówić mi na ty?

Diona zrobiła wielkie oczy i już chciała zaprzeczyć, gdy przypomniała sobie własne słowa. Ależ tak, mężczyzna miał rację. W zdenerwowaniu zapomniała, że jest dla niej obcym człowiekiem. Poczerwieniała z zażenowania.

– Przepraszam – bąknęła, nie śmiąc na niego spojrzeć. – Wcale nie chciałam się na siłę zaprzyjaźnić. Tak mi się wymknęło w nerwach.

– Nic nie szkodzi, ja też nie lubię tak oficjalnie. Lepiej wyjaśnij, skąd te nerwy i po co właściwie jedziemy do Hardego.

– Jak to po co? Musimy odszukać sejf i sprawdzić, czy znajduje się w nim sto dziesięć tysięcy.

Przyhamowała przed ostrym zakrętem znajdującym się niedaleko Strzygomia, a gdy wyjechali na prostą, znów przyspieszyła. Lipski poczekał, aż miną niestrzeżony przejazd kolejowy, nie chcąc jej rozpraszać.

– Ty naprawdę myślisz, że ktoś od nas zabił Hardą?

– Nie twierdzę, że któryś z twoich kolegów jest zabójcą. Wiem tylko, że informacja musiała wyjść z komisariatu. Możliwe, że ktoś wygadał się niechcący, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć. Pieniądze w skrytce stanowią dowód na to, że szantaż miał miejsce. W tej sytuacji wolałam nie ryzykować, że znikną.

– W porządku. Możesz mieć rację – przyznał, lecz wiedziała, że robi to niechętnie. Nie zdziwiła się. – A wiesz w ogóle, gdzie jest ten sejf?

Uśmiechnęła się rozbrajająco.

– Nie mam najlepszego pojęcia.

Policjant także się uśmiechnął. W milczeniu podjechali pod dom Hardego.

Diona stanęła z boku i przyglądała się manewrującemu przy zamku aspirantowi, rozważając jednocześnie, czy dobrze zrobiła, obdarzając go zaufaniem. Ale instynkt mówił jej, że Lipski jest dobrym policjantem, rzetelnie wykonującym swoje obowiązki. Na jego korzyść przemawiał także fakt, że zgodził się tutaj przyjechać. Gdyby był zamieszany w zabójstwo, zrobiłby wszystko, by ją zdyskredytować, wykpić czy po prostu oznajmiłby, że to sprawa policji i cywile mają trzymać się z daleka. Jedno tylko nie dawało jej spokoju. Wiedziała, że było to coś bardzo ważnego, coś, o czym powinna pamiętać, a jednak nie mogła sobie przypomnieć – mimo wyteżania umysłu.

Drzwi stanęły otworem i ponaglona gestem policjanta Diona weszła do budynku, w którym rozmawiała z Leszkiem Hardym

zaledwie kilka godzin temu. Wszystko wyglądało tak samo, nawet na stole w kuchni dalej stały kubki, z których pili herbatę i kawę, a w popielniczce tkwił niedopałek jej papierosa.

Rozejrzała się po pomieszczeniu i bez słowa je opuściła. *Nie, tu nie ma niczego przypominającego skrytkę*, pomyślała, przechodząc do pokoju, który okazał się salonem. Aspirant podążał za nią, milcząco uznając jej rolę przewodnika.

– Marcin, może zajrzesz za obraz? – zaproponowała. – Jesteś wyższy, będzie ci łatwiej. Ja rzucę okiem na te meble.

Lipski skinął głową i chwycił za róg wiszącego najbliżej obrazu, a Diona pochyliła się, by obejrzeć stojącą pod oknem wielką komodę. Pracowali w ciszy przerywanej co jakiś czas stłumionym stęknieniem oraz stukotem wysuwanych i zasuwanych szuflad. Skończyli niemal równocześnie.

– Robimy łazienkę i gospodarczy czy idziemy na górę?

Diona zajrzała do mijanego wcześniej niewielkiego pomieszczenia, którego charakter określały stojące tam liczne narzędzia i upchany w rogu stos rupieci. Skrzywiła się wymownie i cofnęła na korytarz.

– Nie bardzo mam ochotę to przegrzebywać. Może przyfarci nam na górze?

Pierwszą sypialnię sobie darowali, uznając zgodnie, że Hardy nie umieściłby skrytki w pokoju dziecka. Już prędeż u żony, ale oboje byli zdania, że najbardziej prawdopodobne jest ulokowanie sejfu w miejscu stanowiącym od pewnego czasu jego wyłączne królestwo, toteż minąwszy pokój Justyny, poszli do głównej sypialni.

Marcin zajął się sprawdzaniem sięgającej prawie do sufitu meblościanki, podczas gdy Diona obejrzała nocną szafkę. Nie znalazła w niej żadnego tajnego schowka, przeszła więc na drugą stronę wielkiego łóżka, gdzie stała bliźniacza szafka różniąca się od poprzedniej tylko kierunkiem, w który otwierały się drzwiczki. Ona również nie zawierała nic tajemnego.

Dziewczyna westchnęła na myśl, że jednak będą musieli sprawdzić zagracone pomieszczenie gospodarcze, gdyż widziała, że Lipski także już skończył, z podobnie negatywnym skutkiem. Obojętnie przesunęła wzrokiem po równo zasłanym łóżku z wysokim wezgłowiem i naraz coś ją tknęło.

– Marcin, zobacz! – zawołała z podekscytowaniem w głosie. – Widziałeś kiedyś takie łóżko? Bo ja nigdy.

– To chyba jest skrzynia na pościel – odparł dość obojętnie, podążając spojrzeniem we wskazanym kierunku. – Mam wrażenie, że już się z tym spotkałem.

Nieprzekonana, podeszła bliżej, nie odrywając wzroku od skrzyni tkwiącej w miejscu, gdzie zazwyczaj znajdowała się wyższa lub niższa rama. Albo w ogóle nie było niczego. Diona widywała łóżka z różnie zakończonym wezgłowiem, ale takiego jeszcze nigdy. Skrzynia wystawała ponad łóżko na jakieś pięćdziesiąt centymetrów i sięgała podłogi. Szeroka na trzydzieści kilka, góra czterdzieści centymetrów, nie mogła stanowić wygodnego miejsca na trzymanie pościeli. Zresztą ta leżała na łóżku, jak to zwykle bywało w sypialniach.

Dziewczyna schyliła się i chwyciła brzeg materaca, ciekawa, czy jej domysł jest słuszny, i wcale nie poczuła zdziwienia, gdy uniósł się w górę na zawiasach, odsłaniając puste wnętrze. Ze świstem wypuściła z płuc powietrze.

– Po co komu dodatkowa skrzynia przy wezglowiu? Standardowa by nie wystarczyła? – zastanowiła się głośno i opuściła materac.

– Trzeba to obejrzeć. Coś tu jest nie halo – rozległ się tuż obok głos Marcina. Nawet nie zauważyła, kiedy policjant podszedł tak blisko.

Na szczycie skrzyni stał budzik, obok leżała najnowsza „Polityka”, a na niej napoczęta rolka mentosów. Lipski przeniósł wszystko na szafkę nocną i zabrał się do oglądania dziwnego mebla. Już po chwili odkrył, że dwa ozdobne wycięcia na

froncie skrzyni to nic innego jak uchwyty. Niewiele myśląc, włożył w nie palce i pociągnął. Rozległ się cichy trzask i front otworzył się zapraszająco. Policjant spojrzął i zaklął.

– Cholerna zapasowa poduszka i nic więcej.

Zrobił ruch, jakby chciał zamknąć skrzynię, więc Diona czym prędzej go powstrzymała. Ona także zobaczyła poduszkę, a przecież nie powinna – skrzynia sięgała aż do podłogi. Szybko podeszła do łóżka i przekonała się, że poduszkowy schowek kończył się na poziomie materaca. Co w takim razie jest niżej?

Lipski też już się zorientował, że odkrył zaledwie połowę zawartości skrzyni, i z zapałem przystąpił do opukiwania dna będącego równocześnie sufitem drugiej części.

– Pomysłowy ten piętrowy schowek. Dałem się nabrać i skapowałem się dopiero, gdy krzyknęłaś. Niezła jesteś. Czemu odeszłaś z policji?

Niewinne pytanie sprawiło, że serce Diony załomotało w piersi, a w gardle pojawiła się znajoma gęsia skórka. Dziewczyna przełknęła głośno ślinę i zwróciła się w inną stronę, by mężczyzna nie mógł spojrzeć jej w twarz.

– Czy to ważne? – rzuciła z udawaną bez troską. – Odeszłam, to odeszłam. Nie masz innych problemów?

– Okej. Nie chcesz, to nie mów. – Wyprostował się i ze złością stwierdził: – Nic tu nie ma. To zwyczajna atrapa. Jesteś pewna, że Hardy ma ten sejf w domu? Może trzyma go w tym lokalu, gdzie chce otworzyć pizzerię?

– Musiałby upaść na głowę – prychnęła. – Lokal całymi nocami stoi pusty, nikt go nie pilnuje, nie wiem nawet, czy jest tam alarm.

– Racja, pizzeria odpada – zgodził się aspirant. – Gdzie teraz sprawdzimy?

– Może w sypialni Justyny?

Zanim wyszli, Diona schyliła się, by poprawić wzburzoną pościel. Marcin postawił z powrotem budzik na skrzyni,

przełożył też tygodnik i mentosy, ale z pościelą wybitnie sobie nie radził. Dziewczyna usiłowała wcisnąć prześcieradło za brzeg materaca i naraz zakłęła, gdy palce zahaczyły o coś wystającego ze skrzyni. Nie wiedziała, co to może być, gdyż przylegający do niej materac skutecznie utrudniał widoczność. Jeszcze raz wsunęła tam dłoń, tym razem ostrożnie, i prawie natychmiast wymacała jakiś bolec. Z podekscytowania prawie zaparło jej dech. Delikatnie go nacisnęła, lecz nic się nie stało.

– Masz coś? – Lipski zainteresował się jej poczynaniami.

Drżącym z emocji głosem wyjaśniła, w czym rzecz.

– Nie może działać po przesunięciu tego czegoś w dół, bo wtedy skrzynia otwierałaby się za każdym razem, gdy ktoś tam wsunie palce – stwierdził rzeczowo. – Z drugiej strony otwarcie tego musi być łatwe, nikt nie rozbierałby połowy łóżka...

Nie dokończył, gdyż Diona pchnęła bolec w lewo. Rozległ się cichy szcęk i na oczach policjanta boczna ścianka skrzyni drgnęła, po czym lekko odskoczyła. Schylił się, chwycił brzeg i pociągnął. Na widok jego uśmiechu dziewczyna przeturlała się po szerokim łóżku, nie tracąc czasu na obchodzenie mebla. Zajrzała do skrytki i omal nie podskoczyła z radości, ujrawszy sporą kupkę banknotów w paczkach spiętych banderolami.

– Liczymy?

Policjant już miał na dłoniach nitrylowe rękawiczki i wyjmował pieniądze, kładąc je na łóżku. Gdy skończył, wziął do ręki jedną z paczek i nie zrywając opaski, przeliczył.

– W paczce jest tyle banknotów, ile zapisano na banderoli – stwierdził i zaczął dodawać zanotowane na opaskach kwoty, przekładając paczki z miejsca na miejsce. – Wygląda na to, że miałaś rację. Jest równe sto dziesięć tysięcy – stwierdził po dodaniu ostatniej kwoty. – Ponownie się schylił i wyjął kilkadziesiąt banknotów luzem, o nominałach sto i dwieście złotych. Je także przeliczył. – Cztery tysiące osiemset. To pewnie są jego własne pieniądze, ale i tak muszę je zabrać.

W chwili, gdy kończył mówić, drzwi niespodziewanie się otworzyły i do pokoju wszedł nieznany Dionie mężczyzna, na oko pięćdziesięciokilkuletni. Na widok dziewczyny zdumiał się, lecz zaraz powitał ją uprzejmym: „Dzień dobry pani”, i zwrócił się do aspiranta:

– Jestem. Po co mnie tu ściągnąłeś?

Lipski wolno odłożył pieniądze. Spojrzał na przybysza, potem na Dionę, potem znów na obcego mężczyznę.

– To jest pani Dioniza Remańska, która bardzo lubi wsadzać nos w nie swoje sprawy.

Zrobił efektowną pauzę, z czego natychmiast skorzystała, zwracając mu uwagę na dość istotną kwestię:

– Weź pod uwagę, że gdyby nie moje wsadzanie nosa, nie znalazłbyś tej kasy, bo wasi geniusze od przeszukania ją przegapili. Mogę się dowiedzieć, kim jest ten pan?

– Czemu nie? – uśmiechnął się obcy. – Starszy aspirant Lipski.

Diona popatrzyła na niego z przerażeniem, czując, jak ze strachu miękną jej kolana. Już wiedziała, gdzie popełniła błąd.

Rozdział 6

Zapłata za milczenie

Starszy z dwóch Lipskich skinął jej uprzejmie głową, posyłając zwodniczo przyjazny uśmiech. Chyba nie domyślał się, że ona wie. Starając się nie okazywać, jak bardzo jest przerażona, Diona gorączkowo zastanawiała się nad sposobem wydostania się z matni. Przeczuwała, że za chwilę pułapka się zatrzaśnie, a wtedy będzie za późno na jakiegokolwiek działanie. Niby od niechcienia przesunęła się w lewo, zwiększając tym samym dystans między sobą a Marcinem. Jednocześnie obliczała swoje szanse.

Wynik wyszedł bardzo mizerny. Marcinowi może zdołałaby uciec, ale ze starszym Lipskim chyba się to nie uda. Zagradzał ciałem drogę do drzwi i nie sądziła, by zdołała go ominąć. A jeśli nawet, to straci na ten manewr cenne sekundy, dając tym samym Marcinowi czas na atak.

– Czemu tak zaniemówiłaś? – usłyszała rozbawiony głos młodszego Lipskiego. – Nie wiedziałaś, że oboje z ojcem służymy na komisariacie w Jodłowcu i w dodatku mamy taki sam stopień?

– Skąd miałam to wiedzieć? – odparła cicho, nie potrafiąc się zdobyć na beztronski ton. Dopiero teraz przypomniała sobie rozmowę z dyżurną i z trudem zbierała rozbiegane myśli. – Imię też macie wspólne? – spytała, zmuszając się do uśmiechu. Chyba nie wyszło najlepiej, gdyż Marcin popatrzył na nią z niepokojem.

– Co się stało? Jakoś dziwnie wyglądasz... – Milczała, więc po krótkiej przerwie odpowiedział na jej pytanie: – Na szczęście nie. Tata ma na imię Dariusz.

– Jeśli skończyliście prezentację, to chciałbym się dowiedzieć, czemu musiałem tu przyjechać. Pozazdrościłeś mi wolnego dnia?

Poirytowany głos starszego Lipskiego przywołał Marcina do rzeczywistości. Popatrzył bezradnie na paczki banknotów i westchnął.

– Przydałoby się jakoś to zabezpieczyć, a ja nie zabrałem żadnego worka. Masz może pomysł, do czego włożyć ten szmal?

Pytając, patrzył prosto na Dionę, nie miała więc innego wyjścia, jak nadal udawać nieświadomą zagrożenia.

– W tym pomieszczeniu gospodarczym na dole powinny być worki na śmieci. Tak myślę, że chyba tam je przechowują.

Wysiliła się na beztroski ton i prawdopodobnie zdołała go omamić, uśmiechnął się bowiem z wdzięcznością.

– Dobry pomysł – pochwalił. – Ale to załatwimy później, teraz musimy pogadać. Chodźmy do kuchni, tam są krzesła i popielniczka.

Poszedł przodem. Diona zwlekała z udaniem się w jego ślady, lecz szarmancki gest Dariusza Lipskiego i słowa „panie przodem” nie pozostawiły jej pola manewru. Idąc po schodach za Marcinem, czuła pokusę, by skoczyć mu na plecy, ale zaraz zdała sobie sprawę z bezsensowności tego planu. Być może unieszkodliwiłaby mężczyznę, zrzucając go ze schodów, ale sama także nie wyszłaby z tego bez szwanku.

Za sobą słyszała kroki Dariusza Lipskiego i wiedziała, że nie ma żadnych szans. Była bezradna i miała to niestety na własne życzenie. Jak mogła nie wpaść na tak oczywiste wyjaśnienie i przejść do porządku dziennego nad zbieżnością nazwisk? Powinna była poświęcić tej kwestii chociaż chwilę zastanowienia, tymczasem kompletnie ją zignorowała, po czym

natychmiast zapomniała o wszystkim, zajmując się innymi sprawami, i teraz przyjdzie jej za to zapłacić. *Kretynka, kretynka, kretynka*, powtarzała w myślach z pasją, zmierzając za Marcinem do kuchni, tej samej, w której usłyszała od Hardego nazwisko policjanta przyjmującego zgłoszenie. Starszy aspirant Lipski. Ojciec i syn. Tylko czy mogło to w ogóle mieć jakieś znaczenie? Chyba nie, prawdopodobnie bowiem tworzyli zespół.

W kuchni Marcin wskazał jej miejsce pod oknem; Diona zmeła przekleństwo, po czym usiadła po przeciwnej stronie. Wprawdzie w ten sposób usytuowała się tyłem do drzwi, ale za to nie będzie musiała się przeciskać między stołem a krzesłami, gdy nadarzy się sposobność ucieczki.

Oczekiwała sprzeciwu, być może groźby, ale Marcin nie skomentował jej wyboru. Usiadł na miejscu, którym ona wzgardziła, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i podsunął zachęcająco. Potem podał jej ogień, sam również zapalił i dopiero wtedy spojrzał na ojca, ciągle stojącego na środku kuchni.

– Na twoim miejscu bym usiadł, bo trochę to potrwa. – Począł, aż starszy Lipski zajmie miejsce przy stole, zanim zadał pytanie, które kompletnie zaskoczyło Dionę. – Tata, czy to ty rozmawiałeś wczoraj z Leszkiem Hardym?

– Ja – przyznał starszy mężczyzna. – A bo co?

– Chcę wiedzieć, co Hardy ci powiedział. Pytam, bo nie widziałem żadnej notatki z tej rozmowy.

Dariusz Lipski poczerwieniał z gniewu.

– Sprawdzasz moje notatki?! Uważasz, że jestem za stary...?

– Tata, przestań. To poważna sprawa. Czemu nie sporządziłeś notatki? Odpowiedz, zamiast się wściekać, bo to naprawdę ważne.

Starszy Lipski ważył coś w myślach.

– Odpowiem, ale najpierw ty mi powiedz, co tu robicie. Co to

za pieniądze tam na górze i gdzie jest Leszek?

– Leszek siedzi na dołku. Chcesz powiedzieć, że o niczym nie wiesz?! – wykrzyknął Marcin na widok zdumionej miny ojca.

– Niby o czym? Przecież wiesz, że byłem u Józka degustować nalewki. Wróciłem dobrze po północy...

– Powiedziałbym raczej, że nad ranem – roześmiał się Marcin.

– Słyszałem, jak chodziłeś po domu. Umarłego byś obudził. Co na to mama?

– Milczy – odparł lakonicznie zapytany, wywołując tym nowy uśmiech na twarzy syna. – W ogóle dzisiaj nie wychodziłem z domu, więc nie wiem nic o Hardym. Za co go zawinęliście?

Młodszy Lipski posłał mu nieodgadnione spojrzenie i odpowiedział spokojnie, niemal obojętnie:

– Za zabójstwo żony.

– Co? Justyna nie żyje? Kurwa! Ale czemu wsadziliście Leszka?

Marcin zaczął opowiadać ojcu całą historię punkt po punkcie, od momentu przyjęcia zgłoszenia o ujawnieniu zwłok. W tym czasie Diona usiłowała zrozumieć, co się dzieje. Z rozmowy mężczyzn wynikało, że niepotrzebnie panikowała, podejrzewając ich o wrogie zamiary. Owszem, Dariusz Lipski rozmawiał z Leszkiem Hardym, ale nic nie wskazywało, by to on był zabójcą. Wczoraj miał drugą zmianę, więc w chwili, gdy kobieta zginęła, pozostawał na służbie. Chyba że zlecił to zadanie synowi.

Znów spojrzała nieufnie na rozmawiających mężczyzn. Czy to możliwe, że Marcin celowo tak pokierował rozmową, żeby sama wspomniała o pieniądzach i pomogła mu je odnaleźć? Dlaczego nie. Sto dziesięć tysięcy to niemała kwota i mogła skłonić do ryzyka. Ale po co w takim razie opowiada teraz o wszystkim ojcu? Pieniądze już mają, więc ten teatrzyk to tylko strata czasu.

– Diona, obudź się – wyrwał ją z zamyślenia głos Marcina. –

Opowiedziałem ojcu o naszych ustaleniach i hipotezach, teraz jego kolej na zwierzenia. To ty miałaś wizję, więc pytaj. Chyba jeszcze nie zapomniałaś?

Wyglądało na to, że jednak zagrożenie istniało wyłącznie w jej głowie. Po prostu wytypowała nie te osoby. Diona wzięła głęboki wdech i popatrzyła starszemu z mężczyzną prosto w oczy.

– Wiem, że wczoraj rozmawiał pan przez telefon z Leszkiem Hardym. Hardy powiedział, że jego żona zna tożsamość prawdziwego zabójcy komendanta Roszaka i zamierza tego człowieka szantażować. Czy to prawda?

– Może nie ujął tego dokładnie tak, bo gadał cholernie nieskładnie, ale mniej więcej o to chodziło.

– To świetnie – ucieszyła się i spojrzała na Marcina. – Mamy kolejne potwierdzenie, że Hardy nie kłamał.

– To fakt, wszystko się zgadza. Chyba miałaś rację, że on jest niewinny – przyznał, a Diona odniosła wrażenie, że w jego głosie zabrzmiała nutka podziwu.

– Okej, jedźmy dalej. Podobno w tym momencie przerwał pan Hardemu, mówiąc, żeby przyjechał nazajutrz na komisariat, bo teraz nie ma pan czasu. Ciekawi mnie, dlaczego nie wysłuchał go pan do końca, tylko spuścił w kanał.

Lipski zachnął się gniewnie. Diona spodziewała się niezbyt uprzejmej odpowiedzi, czegoś w rodzaju „nie twój interes”, gdy niespodziewanie na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech. Popatrzył na syna i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Kowalczyki.

Po wypowiedzeniu tego jednego słowa umilkł, za to Marcin aż jęknął.

– Znowu?

Dariusz pokiwał głową i naraz obaj wybuchnęli śmiechem.

– Co to znaczy: „Kowalczyki”? – sarknęła Diona. – Też bym się pośmiała.

– Chodzi o taką wesołą rodzinę ze Świercznicy – wyjaśnił

Marcin. – Ojciec, matka i trzech synów. Stary Kowalczyk lubi wypić, a że „w tym kraju nie ma pracy dla ludzi z jego wykształceniem”, musi kraść, żeby mieć na picie. Natomiast Kowalczykowa uważa, że ślubowała mężowi trwać przy nim „w zdrowiu i w chorobie”, więc pije równo z nim, a gdy jest trzeźwa, sprzedaje zdobyte przez mężusia fanty.

– Z kolei synowie wyspecjalizowali się w obrabianiu pijanych frajerów pod barem – włączył się starszy Lipski. – Sami prawie wcale nie piją, więc teoretycznie powinni mieć przewagę nad takim naprutym gościem, ale że z inteligencją u nich nie za bardzo, to sama pani rozumie...

– Właśnie że nie rozumiem. – W Dionie odezwała się policjantka. – Skoro ojciec kradnie, matka handluje kradzionym, a synowie dokonują rozbojów, to jak to jest możliwe, że wszyscy chodzą na wolności? Mają jakiś immunitet czy jak?

– Aż tak to nie – odparł rozweselony Marcin. – Widzisz, to niby są takie lokalne głąby, ale swój rozum mają. Dam ci taki przykład. Ostatnio włamano się do kilku piwnic w blokach w Jodłowcu. Zginęły jakieś kompoty, marynowane grzyby, cukinia i tym podobne. Wszyscy wiedzą, że to robota Kowalczyka, tym bardziej że następnego dnia jego połowica handlowała na rynku w mieście kompotami i cukinią. Ale co z tego? Śladów nie zostawił, rodzinka dała mu alibi. Jak mamy udowodnić, że grzybki z jego spizarki to właśnie te skradzione? Mamy zlecać analizy kompotów?

– Dobra, wystarczy! – Diona zamachała rękami, żeby powstrzymać potok słów. – Domyślam się, że synowie napadają na gości tak pijanych, że nawet okazanie nie pomoże. Ale jak się ma ta rodzinka do Hardego?

Dariusz Lipski popatrzył na syna z nadzieją, lecz ten tylko wzruszył ramionami. Wobec tego starszy z mężczyzn po krótkim namyśle udzielił odpowiedzi.

– Od czasu do czasu dochodzi wśród nich do konfliktów na bliżej nieustalonym tle. Wtedy mają przemiły zwyczaj zjawiać się całą rodziną na komisariacie celem złożenia zawiadomienia. Każdy na każdego. – Dostrzegł oszołomioną minę dziewczyny i podobnie jak syn wzruszył ramionami. – Pani pewnie wydaje się to idiotyczne i nieprofesjonalne, ale co mamy zrobić? Przyjmować te durne zgłoszenia i dokładać sobie roboty? Mniej kłopotliwe są mediacje, chociaż nieraz trzeba wiele czasu, żeby coś dotarło do tych durnowatych łbów. Ale przynajmniej papiery nam się nie mnożą.

– Może to faktycznie lepsze wyjście? – zastanawiała się Diona.
– Nieważne. Czyli wczoraj przerwał pan rozmowę z Hardym, bo pojawili się Kowalczykowie i musiał pan podjąć się mediacji. Czy tak? – Lipski potwierdził ruchem głowy, przeszła więc do kwestii niedającej jej spokoju od chwili, gdy zrozumiała, że Lipscy nie mają nic wspólnego z zabójstwem Justyny. – Komu pan powiedział o tej rozmowie?

Starszy z mężczyzn chyba dopiero teraz pojął to, co dla niej było oczywiste od początku. Przybladł lekko z emocji, lecz zaraz się opanował.

– Pani myśli, że ona zginęła, bo ktoś nie chciał dopuścić, żeby z nami rozmawiała – stwierdził i zmarszczył brwi w głębokim namyśle. – Ale to by oznaczało, że zabójca komendanta dalej jest na wolności, a Kotlarski i Drawicz siedzą za niewinność. Niestety nie za wiele tu pomogę – dodał po chwili. – O tym, że Hardy ze mną rozmawiał, wiedzieli prawie wszyscy ze zmiany. Wydawało mi się, że bredzi albo chce zrobić żonie na złość, więc im o tym opowiedziałem, kiedy już pozbyliśmy się Kowalczyków. Pytałeś o notatkę – zwrócił się do syna. – Akurat zabierałem się do pisania, kiedy przyjechał Gerbilak. Podobno czegoś zapomniał. Zdążyli mu już opowiedzieć o telefonie Leszka i zdecydował, że szkoda tracić czas na robienie notatki, bo do jutra Hardy wytrzeźwieje i na pewno wyprze się wszystkiego.

– Leszek był pijany, kiedy z tobą rozmawiał? – spytał Marcin nieufnie. Znał zatrzymanego jako osobę na ogół stroniącą od alkoholu.

– Nie, nie wydaje mi się, nie mówił jak ktoś będący pod wpływem – odparł Dariusz po krótkim namyśle. – Ale uznałem, że nie ma o co się kłócić. Pomyślałem, że jeśli Gerbilak ma rację, to temat umrze śmiercią naturalną. A jeśli się myli, to Hardy przyjdzie następnego dnia na komisariat i powtórzy to wszystko, a wtedy ja sporządzę notatkę.

Dziewczyna podparła brodę pięścią, układając sobie w głowie nowe informacje. Wyjaśnienie Lipskiego nosiło wszelkie cechy prawdopodobieństwa, a i zachowanie tego jakiegoś Gerbilaka było całkiem logiczne. Nie ma sensu słuchać na notatkę kogoś, kto prawdopodobnie już po kilku godzinach wyprze się swoich słów.

– Teraz wszystko jasne – mruknęła. – Oprócz jednego. Kto to jest Gerbilak? To jakaś ksywa?

– Podinspektor Adam Gerbilak, komendant komisariatu w Jodłowcu – wyjaśnił Marcin. – Przyszedł na miejsce Roszaka.

Diona natychmiast skorzystała z okazji, by wypytać Lipskich o tego mężczyznę. Interesowało ją, czy byłby skłonny udzielić jej pewnych informacji, mimo że nie służyła już w policji. Niestety ze słów starszych aspirantów wyłaniał się obraz człowieka oschłego, niezbyt kontaktowego, w dodatku zafiksowanego na punkcie przestrzegania regulaminu. Musiała zatem z tego planu zrezygnować.

Jej ciekawość nie pozostała bez echa. Panowie najpierw nie potrafili pojąć, po co miałyby pragnąć rozmowy z komendantem, i dość natrętnie o to wypytywali. Odpowiedziała wymijająco, stworzywszy naprędce historyjkę o chęci poznania pracy w takiej jednostce, lecz sama słyszała, jak mało przekonująco to zabrzmiało. Toteż wcale nie poczuła zdziwienia, gdy Marcin rzucił kpiąco:

– Chrzaniśz jak polityk na wiecu wyborczym. Chyba nie myślisz, że uwierzemy w te... – Urwał nagle i zaklął pod nosem.

– Od początku wydawało mi się dziwne, że przyjechałaś do Strzygomia na wypoczynek. Przecież tam nie ma nic ciekawego, po kilku dniach można wariować z nudów. Ale to tylko kamuflaż, prawda? Tak naprawdę ściągnęły cię Agata i Ewa, żebyś znalazła prawdziwego zabójcę Roszaka albo przynajmniej wykazała niewinność ich mężów. Powiedz prawdę, Diona. To ważne.

– Czemu ważne? – spytała zamiast odpowiedzieć. – Dlaczego interesuje cię powód mojego przyjazdu?

– Ważne dlatego, że nie tylko one nie wierzą w winę swoich mężów – odparł Marcin z naciskiem.

W pierwszej chwili nie dotarł do niej sens jego słów i poprosiła o powtórzenie. Zrobił to, patrząc jej w oczy z dziwnym napięciem, i Diona nagle zrozumiała.

– Ty też nie wierzysz?

– Nie wierzę – przyznał. – Tata też nie, i jeszcze kilku innych. Nie wspominam nawet o mieszkańcach wioski, bo oni od początku stali murem za Kotlarskim i Drawiczem. Ale to są cywile, więc ich zdanie mniej się liczy.

– Policjanci patrzą na sprawę inaczej – dodał Dariusz. – A jednak wielu spośród nas uważa, że Kotlarski i Drawicz zostali wrobieni.

Ostry dźwięk sygnału komórki przerwał rozmowę. Marcin wyjął telefon z kieszeni, odebrał i słuchał przez chwilę, wreszcie rozłączył się, rzuciwszy krótkie „dzięki”. Schował telefon i spojrzał na towarzyszy z dziwną miną.

– Zaraz będziemy mieć towarzystwo.

Diona uniosła brwi w niemym zapytaniu, starszy Lipski zaś spytał wprawdzie głośno, lecz bez większego zainteresowania:

– To znaczy?

– Jedzie tu ekipa na interwencję – odpowiedział mu syn

z krzywym uśmiechem. – Podobno wpłynęło zgłoszenie o włamaniu.

Dariusz ryknął śmiechem, klepiąc się po udach z uciechy, a syn mu zawtórował. Dziewczyna obserwowała ich, nie mogąc pojąć przyczyn tej wesołości. Pomyłka popełniona przez zgłaszającego mogła rozbawić, ale żeby aż tak?

Mężczyźni uspokoili się wreszcie i mogła zapytać, co ich rozśmieszyło.

– Przewidywalność – wyjaśnił Marcin. – Po aresztowaniu tamtych dwóch też tak było. Dostawaliśmy od mieszkańców Strzygomia zgłoszenie za zgłoszeniem, a wszystkie tak przemyślane, że żadnego nie dało się sklasyfikować jako nieuzasadnione wezwanie. Jeszcze trochę, a sparaliżowałiby działanie komisariatu.

– W końcu powiedziałem im otwarcie, że nie my zawinęliśmy Drawicza i Kotlarskiego, tylko powiatówka, bo to tamci prowadzili śledztwo – dorzucił Dariusz.

– Pomogło?

Pokiwał głową z wyraźną satysfakcją.

– Minęło jak ręką odjął. Co by nie mówić o wiosce kłamców, są lojalni wobec swoich. A nas wprawdzie nie kochają, ale szanują. Nie to, co w innych miejscowościach. Teraz też będzie podobnie. Zaczną się mnożyć zgłoszenia o byle pierdołę, ale nikt nie znieważy policjanta, nie mówiąc już o fizycznym ataku. Dlatego trudno nam było uwierzyć, że ktoś z tej wioski mógł zabić komendanta policji.

Zamierzała dowiedzieć się, jakie mieli przemyślenia na temat rzetelności przeprowadzonego śledztwa, lecz gdy poruszyła ten temat, Marcin przerwał jej, mówiąc, że wrócą do niego później.

– Lepiej im się pokażmy, zanim tu wparują i rzucają nas na glebę.

Nie mogła nie zgodzić się z sensownością propozycji, stwierdziła jednak, że nie widzi powodu, dla którego wszyscy

troje mieliby tkwić przed drzwiami niczym gwardziści przed pałacem króla.

– Poszukam w tym czasie worka na pieniądze, bo chyba o nim zapomniałeś – stwierdziła, również wstając z miejsca.

Skinął głową i wyszedł wraz z ojcem, a Diona zajrzała do szuflad w kuchennej szafce, pomna, że u niej w domu tam właśnie przechowywano reklamówki. Zgodnie z przewidywaniami znalazła ich cały kłęb, wzięła więc jedną, rezygnując z szukania worka na śmieci. Obok leżało pudełko z lateksowymi rękawiczkami w rozmiarze M, nietrudno więc było się domyślić, że należały do pani domu. Wyjęła dwie, naciągnęła na dłonie i poszła do sypialni Hardego.

Włożenie pieniędzy do reklamówki zajęło tylko chwilę. Mijając pokój Justyny, zwolniła i jeszcze raz przyjrzała się pomieszczeniu, odczuwając przy tym smutek. Leszek stworzył tam dla żony prawdziwe gniazdko. Nie poskąpił niczego, a jednak nie była w nim szczęśliwa, gdyż zabrakło najważniejszego – obecności ukochanej osoby. Dwoje ludzi do tego stopnia nie umiało się porozumieć, że pozwolili, by podzieliły ich nieдомówienia, fałszywe domysły i kłamstwa, aż wreszcie jedno z nich przyplącało to życiem.

Diona potrząsnęła głową i już miała skierować się do wyjścia, gdy naraz coś ją tknęło. W tym pokoju nie stały na półkach żadne książki. Skąd zatem ta leżąca na toalecie, według słów Hardego czytana przez Justynę już od pół roku? Wypożyczona z biblioteki? Czy ktoś jeszcze używa papieru pakowego do obkładania książek? Poczowała nieprzepartą ochotę, by sprawdzić, co kryją w sobie te szare okładki. Ale jeśli słusznie się domyślała, policjanci na pewno ją zabiorą, gdy dowiedzą się, czym jest.

Przemknąwszy na palcach w stronę schodów, Diona upewniła się, że nikt nie ma zamiaru wchodzić na piętro. Wróciła do pokoju Justyny, jednym susem dopadła do toaletki i otworzyła

książkę. Było tak, jak myślała.

Gorączkowo rozważała, gdzie mogłaby ukryć książkę, by móc ją niezauważenie wynieść. Nie miała przecież torebki, a kieszenie kurtki są zbyt małe. Czas naglił. Naraz doszedł ją pisk hamulców i zrozumiała, że tego czasu nie ma już wcale. Zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę.

– Zrobię to na bezczela – mruknęła do siebie. – Jak Kamil.

Wymówienie tego imienia sprawiło, że gardło ścisnęło się spazmem żalu, ale sytuacja nie pozwalała na roztrząsanie przeszłości i rozpamiętywanie krzywd. Złapała książkę, reklamówkę z pieniędzmi i pobiegła do kuchni. Tam zdążyła w ostatniej chwili, właśnie bowiem kładła książkę na szafce stojącej obok zajmowanego przez siebie krzesła, gdy dobiegł ją nieznany, wyraźnie poirytowany głos.

– Co ty mi tu pierdolisz, Lipski? Jakie pieniądze?

I zaraz głos Marcina:

– Mówię przecież, że z szantażu.

– Jaja sobie robisz czy jak? Przecież ten szantaż dopiero był planowany. Tak mówił twój ojciec.

Nie dosłyszała odpowiedzi Marcina. Miała zamiar podkraść się do drzwi, lecz zanim wprowadziła to w czyn, weszli do kuchni. Diona nie mogła oderwać wzroku od stojącego w drzwiach wysokiego i nieprzyzwoicie wręcz przystojnego mężczyzny w wieku około czterdziestu lat. Wiedziała, że nie powinna tak się na niego gapić, ale ciekawa była człowieka, który zastąpił jej ojca na stanowisku komendanta komisariatu. Raz jeszcze zastanowiła się, czy będzie skłonny udzielić jej jakichś informacji. Przygryzła wargę, usiłując ocenić jego charakter, lecz zabrakło jej czasu, mężczyzna bowiem ruszył ku niej z wyciągniętą ręką i pełnym zadowolenia uśmiechem.

– Dzień dobry. Podinspektor Adam Gerbilak. Jestem komendantem komisariatu w Jodłowcu. Z kim mam przyjemność?

Uścisk dłoni miał ani zbyt słaby, ani zbyt mocny. Taki w sam raz. Mimo to dziewczyna jak mogła najszybciej wysunęła swoją dłoń z jego dłoni.

– Dioniza Remańska. Nikt ważny – odpowiedziała, spoglądając prosto w najpiękniejsze niebieskie oczy, jakie zdarzyło jej się oglądać.

– Przede wszystkim jest pani piękną kobietą. Powinna pani błyszczeć w wielkim świecie zamiast marnować się w tej dziurze.

Jego głos stał się jedwabisty, a na twarzy dostrzegła wyraz mówiący, że Gerbilak już uznał ją za swoją zdobycz. Uśmiechnęła się czarująco.

– Pan wybaczy, komendancie, ale nie jestem brokatem.

– Słucham? – Otwarte ze zdziwienia usta odjęły mu sporo z olśniewającej urody. – Pani sobie ze mnie żartuje, a ja mówiłem całkiem szczerze.

Nie mówiłeś szczerze, odpowiedziała mu w myślach. *Nie mogłeś, bo dobrze wiem, jak wyglądam. Nie paskuda, ale żadna piękność.* Gerbilak cierpliwie czekał na reakcję, więc odpowiedziała tak, jak się tego spodziewał, i znów okraszyła słowa uśmiechem. Miała bardzo bogaty repertuar tych uśmiechów. Ten, podobnie jak poprzedni, przeznaczony był dla osób, których nie znosiła, lecz z tych czy innych względów chciała je oczarować.

– Dziękuję, panie Adamie. Bardzo pan uprzejmy.

Po lekkim skrzywieniu ust poznała, że bardzo nie w smak był mu ten „Adam”, i poczuła satysfakcję z celnego trafienia. Co zresztą nie stanowiło jakiegoś wielkiego osiągnięcia, wzięwszy pod uwagę nacisk, jaki położył na słowa „podinspektor” i „komendant”, kiedy się przedstawiał. Podkreślał je, żeby broń Boże ich nie przeoczyła. Już samo to świadczyło, jakim jest człowiekiem.

– Jest mi niezmiernie miło, że mogę panią poznać. – Znów

lekko się skłonił, obdarzając ją jednocześnie aksamitnym spojrzeniem. – Może odwiedzi pani jeszcze kiedyś nasz komisariat? Moglibyśmy porozmawiać w przyjemniejszych warunkach.

Dostrzegła niesmak, z jakim rozglądał się po kuchni Hardych. Jakby to była melina, a nie eleganckie, nowoczesne wnętrze. Zauważyła też, że wzrok Gerbilaka przesunął się z jej twarzy i teraz wwiercał się w piersi, domyśliła się więc, co oznacza owo „porozmawiać”. Nie potrzebowała wiedzieć nic więcej. Zyskała pewność, że nie jest to człowiek, z którym można dojść do porozumienia.

– Dziękuję za zaproszenie, ale muszę odmówić. Nie mam czasu na życie towarzyskie. Bardzo mi przykro, lecz jestem zbyt zajęta.

Uśmiech spełznął z twarzy podinspektora, zastąpiony grymasem złości. Już nie wydawał się Dionie przystojny. Ukryty rys brutalności pojawił się tylko na moment, lecz zdążyła go dostrzec, podobnie jak zawziętość. Gerbilak znów na nią spojrzał, ale teraz przypominał drapieżnika czającego się na ofiarę.

– Dopiero teraz skojarzyłem pani nazwisko. Pani kiedyś służyła w policji, czy tak?

– Owszem, kiedyś służyłam.

– Wie pani, zastanawia mnie jedna sprawa. – Usiadł naprzeciwko Diony i wbił w nią oskarżycielski wzrok. – Lubię wiedzieć, kto przebywa na podległym mi terenie, więc kiedy doszły mnie słuchy o pani pobycie w Strzygomiu, postanowiłem sprawdzić, jaką jest pani osobą.

– Po co to panu? Wszystkich pan tak sprawdza? – spytała, siląc się na obojętność. Znów poczuła dławienie w gardle.

– Wszystkich nie, ale w tym przypadku... Jest pani za młoda na emerytkę, więc w grę może wchodzić jedynie wydalenie ze służby. Chciałem wiedzieć, z jakiego powodu.

– Zapomniał pan o jeszcze jednej możliwości. Policjant może się sam zwolnić. To służba, a nie karna kompania.

Na podinspektorze ta uwaga nie zrobiła większego wrażenia. Wykrzywił usta w złośliwym grymasie.

– Nikt normalny nie odchodzi przed nabyciem praw emerytalnych. Ale wróćmy do pani. Otóż postanowiłem sprawdzić, jak to było w pani przypadku, i okazało się, że osoba o takim nazwisku nie figuruje w policyjnych archiwach.

Wbił w Dionę oskarżycielski wzrok, na co odwzajemniła się minką sugerującą całkowite niezrozumienie.

– To chyba dobrze, prawda? Nie ma mnie w kartotekach, więc nie robiłam niczego niedozwolonego.

– Dobrze pani wie, o czym mówię! – wrzasnął, pojawiając wreszcie, że dziewczyna z niego kpi. – Jakim prawem podaje się pani za policjantkę, skoro nigdy nią nie była? To jest karalne!

– Nie jest – odpowiedziała chłodno. – Mówienie nieprawdy jest karalne tylko w kilku przypadkach i pan powinien o tym wiedzieć. Gdyby było inaczej, musiałby pan ukarać sam siebie. Powiedział pan, że jestem piękna, a to nieprawda. Poza tym nie podawałam się za policjantkę. Jeśli już, to za byłą policjantkę.

Od strony Lipskich doszło ją zduszone parsknięcie, lecz nie miała odwagi spojrzeć, by przekonać się, który z mężczyzn nie zdołał zachować powagi. Gdyby to zrobiła, sama pewnie roześmiałaby się w głos.

Gerbilak nadał się tak, że omal nie eksplodował. Zastanawiała się, jak to możliwe, że uznała go za przystojnego. Choć właściwie, jeśli spojrzeć obiektywnie, naprawdę był przystojny. *Tylko że wredny jak cholera i chyba też mściwy*, skonkludowała, spoglądając na poczerwieniałe z gniewu oblicze.

– W takim razie może pani zdradzi, dlaczego pani to robiła? W jakim celu?

– Nie zdradzę. Będzie pan musiał sam się domyślić. – Spokój,

z jakim to powiedziała, rozwścieczył go jeszcze bardziej. Zamierzał coś powiedzieć, lecz go uprzedziła: – Nie mam żadnego obowiązku tłumaczyć się ze swoich poczynań. Nie popełniłam żadnego wykroczenia, a moje życie jest moim życiem i policji nic do tego.

Nie znalazłszy dobrej odpowiedzi na te słowa, odwrócił się do podwładnych, by na nich wyładować wściekłość. Podeszedł do Marcina i dźgnął go palcem w pierś.

– Co ona tu robi? Czemu pozwoliłeś jej wejść?

Aspirant popatrzył na palec, znowu szturchający go w pierś, potem w twarz komendanta i odsunąwszy się demonstracyjnie, odpowiedział równie spokojnie, jak przed chwilą uczyniła to Diona:

– Pani Remańska jest świadkiem, dzięki któremu dowiedziałem się, że szantaż jednak miał miejsce. Mam zatem dowód, że Hardy nie kłamał.

– Właśnie że kłamał – upierał się podinspektor, a ton głosu i użyte słowa nasuwały skojarzenie z rozpuszczonym bachorem klóącym się z kolegą z podwórka. – Powiedział o zamiarze szantażu, a nie, że szantaż już się dokonał. No?! Co ty na to?

Palec znów zmierzał w stronę piersi Lipskiego, lecz ten przemknął obok wyciągniętej ręki i usiadł przy stole. Diona podziwiała go za spokój, z jakim reagował na agresywne zachowanie przełożonego. Sama chyba nie miałyby tyle cierpliwości.

– Panie komendancie, proszę zwrócić uwagę na fakt, że Hardy dzwonił do nas wczesnym popołudniem, a jego żona zginęła wieczorem. Miała więc dość czasu, by wprowadzić swoją groźbę w czyn i wrócić do domu z pieniędzmi.

Marcin celowo nie powiedział komendantowi, że tak naprawdę przekazanie pieniędzy nastąpiło wcześniej. W tej chwili ta informacja nie wносиła nic do sprawy, a tylko niepotrzebnie przedłużyłaby dyskusję. Prócz tego nie można jej było

zweryfikować, skoro Hardy odmówił składania zeznań.

– Ale to jest niemożliwe – wybuchnął Gerbilak. – Przecież ona nie... nikt... – Zaplątał się we własne słowa, zaklął i zaczął od początku: – Przecież nikt nie zgłosił, że jest szantażowany.

Marcin nic nie odpowiedział, lecz jego wzrok w zupełności wystarczył za komentarz. Przysunął do siebie leżącą na stole reklamówkę i wysypał zawartość na blat. Na widok paczek banknotów podinspektor szeroko otworzył oczy i ciężko opadł na krzesło. Jego mina świadczyła o głębokim szoku.

– Skąd wiedziałeś, że one tu są? – spytał cicho, spokojnie, bez uprzedniej agresji. – Przecież podczas przesłuchania Hardy nie powiedział podobno ani słowa.

– Pani Remańska rozmawiała z nim rano, zanim go zatrzymaliśmy. Zresztą to ona go namówiła, żeby poinformował nas o szantażu.

Gerbilak zwrócił się w stronę Diony, wpatrując się w nią z uwagą. Kilka chwil milczał, stukając paznokciem w blat stołu, i ten rytmiczny odgłos był jedynym dźwiękiem zakłócającym zapadłą nagle ciszę. Wreszcie mężczyzna cofnął dłoń z blatu, co zebrani przyjęli z wyraźną ulgą. Przeniósł ją na paczkę banknotów, lecz nie zdążył jej dotknąć, gdyż Marcin w ostatniej chwili usunął ją poza zasięg ręki.

– Paluchy – rzucił krótko.

Podinspektor poczerwieniał.

– Myślisz, że mógł być tak głupi, żeby dotykać tego gołymi rękami?

Lipski wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, żeby ofiara wymuszenia pomyślała o tym, żeby włożyć rękawiczki. Szantażysta raczej nie poszedłby z tą kasą na policję, poza tym płacenie nie jest karalne.

Komendant nie skomentował tych słów, tylko ponownie zwrócił twarz w stronę Diony, ale tak jak poprzednio nie odezwał się, tylko obserwował dziewczynę tak uważnie, że

poczuła się nieswojo.

– Czy Hardy powiedział pani, kogo rzekomo żona oskarżyła o zabójstwo mojego poprzednika? – spytał wreszcie.

Z trudem powstrzymała gest ostentacyjnego postukania palcem w czoło i zmusiła się, by odpowiedzieć bez okazywania, co myśli o jego inteligencji.

– Powiedziałam aspirantowi Lipskiemu o szantażu i o pieniądzach. Naprawdę pan uważa, że jestem aż tak głupia, żeby przemilczeć nazwisko zabójcy? Hardy mi go nie podał, a ja nie sądzę, by je znał. Z jego słów wynikało, że żona nigdy nie zdradziła, kogo miała na myśli.

– No tak – bąknął. – Chyba ma pani rację. – Przeniósł wzrok na Lipskich. – Panowie, pora wracać na komisariat, robota czeka. A z tymi geniuszami, którzy robili tutaj przeszukanie, jeszcze sobie porozmawiam.

Diona poczuła się w obowiązku wystąpić w obronie Bogu ducha winnych funkcjonariuszy. Nie znosiła ludzi wyładowujących zły humor na podwładnych.

– Gdyby wiedzieli, czego szukać, to pewnie by znaleźli. Ale o tym, że Hardy schował pieniądze do skrytki, wiedziałam tylko ja, bo nikomu innemu o tym nie powiedział.

Może nie powinna była tego mówić. Gerbilak drgnął i przyjrzał jej się z zastanowieniem.

– Jaką mam gwarancję, że tych pieniędzy było tyle, ile w tym worku? Czy przypadkiem nie uszczknęła pani dla siebie kilku paczek? Nie mam podstaw, by pani wierzyć. Podawanie się za byłą policjantkę to nie najlepsza rekomendacja.

Miała taką ochotę zdzielić go pięścią prosto w usta wypowiadające obraźliwe słowa, że aż musiała schować ręce za siebie, żeby nie ulec pokusie. Odetchnawszy głęboko, odpowiedziała spokojnie, zdobywając się nawet na uśmiech:

– Gwarancję ma się na telewizor. Ja też nie mam pewności, że wszystkie te pieniądze znajdą się w depozycie, a jednak nie

podaję w wątpliwość waszej uczciwości. – Podinspektor wydał z siebie wściekłe sapnięcie, lecz go zignorowała. – Przestańcie traktować Hardego jak zabójcę, to na pewno wam powie, ile było w skrytce. A co do mojej policyjnej przeszłości... – Na moment zawiesiła głos. – Pomijając fakt, że nie miał pan żadnych powodów, żeby ją sprawdzać, to może warto by nauczyć się szukać?

Gerbilak ponownie sapnął, lecz nie zdobył się na żadną replikę. Odwrócił się na pięcie i wyszedł, a po chwili doszło ich głośne trzaśnięcie drzwiami. Obaj Lipsy popatrzyli na Dionę z wyraźną troską.

– Nie chcę pani martwić, ale on teraz zrobi wszystko, żeby znaleźć na panią jakiegoś haka – odezwał się Dariusz. – A tak z ciekawości... naprawdę była pani policjantką?

– Byłam. – Parsknęła śmiechem. – Nie moja wina, że gość nie potrafi zrobić użytku z rozumu. Służyłam w policji pod innym nazwiskiem.

– Aha – mruknął i umilkł, choć jego mina świadczyła, że chętnie pytałby dalej. Po krótkiej chwili zwrócił się do syna: – Kazał nam wracać do roboty, ale ja przecież dzisiaj nie mam służby. Ściąga mnie z wolnego czy jak?

– Na twoim miejscu bym go olał – odparł Marcin bez wahania. – Dobrze wiesz, że on niczego nie ogarnia. Dziwię się, że trafia do kibla. Jedź do domu. My też już się stąd zwiniemy, trzeba skończyć papierologię.

Korzystając z okazji, że mężczyźni zajęci są rozmową, Diona złapała książkę, na którą zgodnie z jej przewidywaniami nikt nie zwrócił uwagi, i wsunęła ją pod kurtkę, po czym zdecydowanym krokiem ruszyła do drzwi.

– Jedziemy? – zwróciła się do Marcina. – Nie zapomnij reklamówki z pieniędzmi.

*

W komisariacie Marcin bez zwłoki uzupełnił protokół i dał Dionie do podpisania. Szybko przebiegła wzrokiem wydruk i sięgnęła po długopis. Złożywszy podpis, odchyliła się na oparcie krzesła, zakładając nogę na nogę. Policjant spojrzał na nią z wyraźną dezaprobatą.

– To wszystko, jest pani wolna.

Teraz ona się zdumiała. Przecież jeszcze niedawno zwracał się do niej po imieniu. Nagle uświadomiła sobie, że zachowywał się tak od chwili, gdy znów znaleźli się w komisariacie. Dlaczego? Nie mogło mu chodzić o zachowanie służbowego dystansu w obecności postronnych osób, gdyż byli w pokoju sami. Zatem w grę wchodziło tylko jedno rozwiązanie. Diona postanowiła natychmiast sprawdzić, czy ma rację, uśmiechnęła się więc zdawkowo tym nieco sztucznym uśmiechem, jaki zwykliśmy przywoływać, chcąc okazać komuś uprzejmość. Wstała, a wówczas policjant wstał również.

– Dziękuję, że mnie pan wysłuchał. Do widzenia.

– Wyjdę z panią – oznajmił, także kierując się w stronę drzwi.

– Zapomniałem papierosów z samochodu.

Zatem było tak, jak domniemywała – z nieustalonych przyczyn Marcin nie chciał rozmawiać z nią w komisariacie. Czyżby obawiał się ukrytego mikrofonu? Z trudem powściągnęła chęć zlustrowania pokoju czujnym wzrokiem i pozwoliła poprowadzić się do wyjścia. Mężczyzna przerwał milczenie dopiero wtedy, gdy zeszli ze schodków prowadzących do komisariatu i przystanęli u ich stóp.

– Od dawna podejrzewaliśmy, że mamy w komisariacie kapusia, który donosi Gerbilakowi, co robimy i co mówimy. Nie chciałem mówić tego przy ojcu, dlatego nie zakwestionowałem jego domysłu, że to mieszkańcy wioski znowu postanowili

utrudnić nam życie. Za miesiąc przechodzi na emeryturę. Niech jej doczeka w spokoju, bez świadomości, że po tylu latach nienagannej służby nagle znalazł się na cenzurowanym.

– Rozumiem – odparła krótko.

I naprawdę rozumiała. Nie mogła wybaczyć rządzącym, że pozbyli się ludzi, którzy całe życie poświęcili na walkę z przestępczością. Można było przecież poczekać te kilka lat, a w wielu przypadkach zaledwie kilka miesięcy, pozwolić im, by odeszli na własnych warunkach. Tym bardziej że w ten sposób pozbawiono policję doskonałych fachowców.

– Nie wierzę w to zgłoszenie – mówił dalej Marcin. – To za szybko. Od zamknięcia Leszka upłynęło zbyt mało czasu, mieszkańcy nie zdążyliby się zorganizować. Poza tym zdziwiło mnie, że Gerbilak nie dociekał bardziej powodów twojej obecności. Na ogół chce wiedzieć wszystko i czepia się każdej pierdoły, a tu zadowolił się wyjaśnieniem, że jesteś świadkiem. Po prostu dobrze wiedział, dlaczego zabrałem cię ze sobą. Zresztą nawet się z tym zdradził, kiedy powiedział, że mogłabyś odwiedzić komisariat. Użył wyrażenia „jeszcze kiedyś”, zamiast „kiedyś”.

Diona nie zwróciła przedtem na to uwagi, lecz po słowach Marcina uświadomiła sobie, że Gerbilak istotnie użył takiego sformułowania. Miała za to wątpliwości co do teorii wynikającej z poprzednich słów Lipskiego.

– Ale przecież łatwo sprawdzić, czy takie zawiadomienie wpłynęło. Jest aż tak pewny siebie, że nie boi się skłamać w takiej sprawie?

– Zawiadomienie z pewnością jest prawdziwe – odparł Lipski.
– Nasz komediant umie zadbać o dupokrytki. Pewnie sam zadzwonił z innego telefonu i doniósł o włamaniu do domu Hardego. Przecież nikt nie będzie sprawdzał u operatora, do kogo należy numer, zwłaszcza że wszystko nosi cechy prawdopodobieństwa.

– Okej, wcale tego nie kwestionuję. – Diona przerwała potok słów. – Jeśli zgłoszenie było specjalnie sfingowane, to chyba musisz mieć w pokoju podsłuch, bo oprócz nas dwojga nikt nie wiedział, dokąd jedziemy.

– Trojga – poprawił ją natychmiast Marcin. – Wiedział o tym jeszcze mój tata, ale za niego ręczę.

Diona uśmiechnęła się na myśl, że Dariusz Lipski mógłby wystąpić przeciw własnemu synowi. Widziała przecież, że mężczyźni są sobie bardzo bliscy. Natomiast do podinspektora bardzo pasowało podsłuchiwanie podkomendnych, więc sprawa specjalnie jej nie zbulwersowała czy zdziwiła. Intrygowało ją za to coś innego.

– Nie rozumiem, po co cała ta akcja. Nic w niej nie pasuje. Po co właściwie on tam pojechał? I od kiedy to komendanci jeżdżą na interwencje?

Marcin postąpił jej przeciągłe spojrzenie i pociągnął ją za rękę, zmuszając do ruszenia się z miejsca. Poszli w stronę samochodu.

– Może to niesprawiedliwe, co powiem, ale tak sobie myślę... Czy on nie zamierzał sam poszukać tych pieniędzy?

Diona znów przystanąła, zamyśliła się i nagle pokiwała głową.

– Możesz mieć rację. Nie wydawał się zbyt uszczęśliwiony, gdy pokazałeś mu reklamówkę wypchaną banknotami. Mógł planować pozbycie się nas z domu Hardego, żeby móc w spokoju przeszukać budynek od piwnicy aż po strych. Potem powiedziałyby, że nic tam nie znalazł, a Leszek w żaden sposób nie zdołałby udowodnić, że pieniądze w ogóle istniały. Sto dziesięć tysi ma jednak większą wartość nabywczą niż etosy.

Marcin najpierw parsknął śmiechem, lecz prawie natychmiast spoważniał i rzucił przez ramię ponure spojrzenie w stronę komisariatu.

– W pokoju miałaś taką minę, jakbyś chciała mnie o coś zapytać, dlatego tak się zachowałem – wyznał nagle

z przepraszającym uśmiechem. – Też mi przyszło do głowy, że możemy mieć podsłuch. Kapuś nie mógł słyszeć, o czym mówimy, bo drzwi były zamknięte.

Widocznie jej opinia o nim miała dla niego znaczenie i Diona niespodziewanie poczuła radość. Przez chwilę miała wrażenie, że wróciła do czasów służby w policji. Tych dobrych, jeszcze przed tym, gdy koledzy zaczęli traktować ją jak pariasa, a komendant, nie spytawszy nawet o jej wersję wydarzeń, wdrożył postępowanie wyjaśniające.

Westchnęła cicho i wróciła do rzeczywistości, zauważywszy, że Marcin spogląda na nią wyczekująco, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

– To prawda – przyznała. – Mam do ciebie kilka pytań, ale to temat na dłuższą rozmowę. Może mógłbyś do mnie przyjechać albo umówmy się w miejscu, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzać?

Zamyślił się i po chwili zdecydował:

– Przyjadę wieczorem do Mirabelki. Teraz faktycznie muszę wracać. Ale na wszelki wypadek podejść z tobą do samochodu. Po papierosy – dodał, klepiąc się znacząco po kieszeni, w której spoczywała zapomniana rzekomo paczka.

Parsknęła śmiechem. Ciągłe jeszcze czuła rozbawienie, gdy stanęli jak wryci przy aucie, wpatrując się w dziurę w bocznej tylnej szybie, otoczoną siecią pęknięć. Uśmiech Diony powoli zamieniał się w grymas najpierw niedowierzania, potem gniewu.

– Kurwa mać!

Poza tym jednym okrzykiem nie wykazała innych objawów podenerwowania, tylko spokojnie stała, paląc papierosa, i słuchała, jak Marcin dzwoni po kolegów, a później oczekiwała na zakończenie czynności.

Ani na samochodzie, ani w jego wnętrzu nie znaleziono żadnych śladów przydatnych do ustalenia sprawcy. Drzwi

zostały otwarte od wewnątrz, co nikogo nie zaskoczyło – było oczywiste, że właśnie w tym celu wybito dziurę wielkości dużej męskiej pięści. Z samochodu na pierwszy rzut oka nie zginęło nic, nawet leżące w schowku trzydzieści złotych pozostało na miejscu. Dopiero po chwili Diona uświadomiła sobie, co padło łupem złodzieja.

Etui po tablecie, w które włożyła czyste kartki i które rzuciła na tylne siedzenie, zniknęło.

Rozdział 7

Paleta cieni

Następne dni Diona spędziła w przymusowej bezczynności. Wprawdzie Mirabelka chciała użyczyć jej swojego samochodu, lecz dziewczyna odmówiła, wiedząc dobrze, jak bardzo obie z córką potrzebują tego jedyne go środka lokomocji. Agata sprzedała swoje auto po aresztowaniu męża, więc samochód Miry służył im obu, w dodatku nie tylko do przemieszczania się, ale także do transportu artykułów spożywczych niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania lokalu. Nie wszystko można zamówić z dostawą na miejsce.

Najpierw samochód Diony został przestawiony na policyjny parking, gdzie oczekiwał na specjalistyczne oględziny, co ona uważała za niepotrzebną komplikację. Była pewna, że złodziej nawet nie wsiadł do środka, tylko złapał etui i uciekł, ale komendant Gerbilak upierał się przy dokładnym sprawdzeniu pojazdu, musiała więc ustąpić i nawet uśmiechnęła się, niby to z wdzięcznością, choć wiedziała swoje.

Podinspektor sugerował, że włamania dokonał z pewnością jakiś przechodzień, skuszony widokiem tabletu leżącego na siedzeniu. Diona wysłuchiwała w milczeniu hipotezy śledczej podinspektora, nie odniosła się też w żaden sposób do jego pouczeń, że nie powinno się kłaść na widoku cennych przedmiotów. Nie zamierzała z nim dyskutować, przypomniała sobie bowiem, że na tylne siedzenie rzuciła nie tylko samo etui, ale też czasopismo, które rozpostarło się, dokładnie zakrywając

futurał. To, że zapomniała zabrać ten przedmiot, nie zmieniało faktu, że nawet obdarzony niewypowiedzianym dobrym wzrokiem przechodzień nie mógł wiedzieć, iż pod magazynem znajduje się etui od tabletu. Kradzieży mógł się dopuścić tylko ktoś, kto zakładał, że urządzenie tam właśnie jest.

O tym, że zabrała z domu Hardy'ch tablet Justyny, powiedziała tylko Marcinowi, a on cały czas był przy niej i nawet gdyby chciał przekazać komuś tę informację, nie zdołałby zrobić tego bez jej wiedzy. Zatem włamać musiał się ktoś, kto podsłuchiwał jej rozmowę z Lipskim. Jednak po co miałyby to robić, nie miała na razie pojęcia.

Marcin tego dnia nie przyjechał. Nie wymienili się numerami telefonów. Aspirant musiał nagle wyjechać do innego zdarzenia, zadzwonił więc do Mirabelki, poprosił o kontakt do Diony i obiecał, że wkrótce się odezwie, lecz mijały dni, a on nie dawał znaku życia. Po kilku dniach zadzwonił natomiast Gerbilak z wiadomością, że badania zostały ukończone i Diona może odebrać samochód. Poprosił, by przy okazji wstąpiła do niego, gdyż chciałby jej przekazać, co ustalono podczas dochodzenia.

Nie miała ochoty z nim rozmawiać. Ten mężczyzna wzbudzał w niej żywiołową niechęć i obawiała się, że nie zdoła zachować spokoju i ją uzewnętrzni. Doszła jednak do wniosku, że odmowa również nie byłaby właściwym zachowaniem, zwłaszcza że mężczyzna wyraźnie chciał zatrzeć poprzednie złe wrażenie. Poprosiła zatem Agatę o podwiezienie i udała się na spotkanie z podinspektorem.

Powitał ją nader uprzejmie, a Diona odwzajemniła te wszystkie nic nieznaczące słowa o tym, jak dobrze znów się zobaczyć i jak niezmiernie mu miło. Po raz kolejny uderzyła ją niepowszednia, nieskazitelna wręcz uroda komendanta. Nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widziała równie przystojnego mężczyznę. Doskonałe rysy twarzy, kształtne usta, szafirowe oczy w oprawie czarnych rzęs i błyszczące złotem

włosy nad pięknie wysklepionym czołem. *Jest przecudowny,* stwierdziła w myślach z całkiem szczerym zachwytem. Po czym dopowiedziała sobie natychmiast: *I fałszywy niczym wąż, choć obawiam się, że to porównanie jest krzywdzące dla węży.*

Komendant oznajmił z ubolewaniem, że niestety nie znaleziono w samochodzie nic mogącego naprowadzić ich na trop sprawcy, wobec czego powinna liczyć się z umorzeniem. Nie oczekiwała innych słów, mimo to celowo zrobiła zawiedzioną minę, po czym podziękowała podinspektorowi za starania.

– Panie podinspektorze, wiem doskonale, jak ciężko jest w takich przypadkach ustalić sprawcę. Dziękuję, że pan zajął się tym osobiście. Dzięki temu mam pewność, że wszystko zostało zrobione jak należy.

– Wiedziałem, że pani zrozumie, przecież była pani policjantką. Aspirant Kicek, prawda? – Uśmiechnął się z zadowoleniem. – Tym razem skupiłem się na imieniu, a jest dość rzadko spotykane. Dlaczego odeszła pani z policji? – spytał z nieskrywaną ciekawością.

– Doszłam do wniosku, że nie jest to praca moich marzeń – odparła, odwzajemniając uśmiech, w duchu zaś błogosławiła osobę, która udzielając Gerbilakowi informacji, mocno je okroiła.

– Szkoda. Potrzeba nam rzutkich, inteligentnych kobiet.

Nie sądziła, by powiedział to szczerze. Postrzegała go jako mężczyznę instrumentalnie traktującego przedstawicielki płci przeciwnej, więc praca z nim była ostatnią rzeczą, o jakiej mogłaby marzyć. Ale tego nie mogła mu powiedzieć. Nie chcąc, by wyczytał prawdę z jej twarzy, szybko zmieniła temat.

– Co słyhać u aspiranta Lipskiego? Podobno gdzieś wyjechał.

Zaryzykowała to przypuszczenie, miała bowiem niemal całkowitą pewność, że gdyby Marcin przebywał w Jodłowcu, zgodnie ze złożoną wcześniej obietnicą przyjechałby do

Mirabelki na umówioną rozmowę.

– Lipski wróci w przyszłym tygodniu – odparł Gerbilak, a jego ton znacznie się ochłodził. – Musi pani jeszcze trochę potęsknić.

Nie zareagowawszy w żaden sposób na tę jawną prowokację, lekko przeszła do następnego tematu:

– Słyszałam, że wypuścił pan Hardego. Czyli to jednak nie on zabił?

Postarała się, by jej głos brzmiał obojętnie, bez cienia satysfakcji, lecz podinspektor musiał domyślić się prawdy, gdyż zacisnął szczęki tak mocno, że mięśnie twarzy zadrgały, a na skroni pojawiła się pulsująca żyła.

– Zaliczył cztery osiem. Gdybym to ja decydował, posiedziałyby dłużej, ale prokurator nie wnioskuje o areszt. Według niego brak podstaw, a odnalezione pieniądze świadczą, że Hardy mówił prawdę. Ale ja swoje wiem – zakończył wypowiedź ponownym zaciśnięciem zębów, tak że ostatnie słowa zabrzmiały jak warczenie.

Diona odpowiedziała coś niezobowiązującego i wyszła, żegnana spojrzeniem, w którym próżno byłoby doszukiwać się deklarowanego wcześniej zachwyty. Teraz widniała w nim tylko niechęć.

*

– Nie dość, że nie pochlebiło mi jego zainteresowanie, to jeszcze ośmieliłam się dopytywać o ciebie i Leszka – opowiadała kilka dni później Marcinowi, który wreszcie wrócił do Jodłowca i natychmiast pospieszył do Mirabelki.

– Jestem pewien, że chciał się mnie pozbyć z komisariatu, żeby w spokoju udupić Hardego – odpowiedział, łypiąc gniewnie oczami. – Tylko nie przewidział, że prokurator nie kupi tej dętej

historyjki i każe Leszka zwolnić. Bo skąd naraz to idiotyczne szkolenie? Przedtem nie było o nim mowy.

– Może komendant nagle uznał, że szkolenie ci się przyda? Czy to źle? Czasem można się dowiedzieć ciekawych i przydatnych rzeczy – zauważyła Diona, nigdy niepomijająca okazji do doskonalenia zawodowego.

– Na temat przestępstw dokonywanych za pomocą jednostek pływających? – spytał Lipski z gryzącą ironią. – Zauważ, że jedyną taką jednostką jest u nas łódka starego Kłobucia. W dodatku Gerbilak wysłał ze mną swojego przydupasa, który nie odstępował mnie nawet na krok, dlatego wolałem do ciebie nie dzwonić. Ale dość o nim. Powiedz lepiej, jak tam twoje śledztwo.

Diona przypomniała sobie, że już raz sugerował taki powód jej pobytu w Strzygomiu, teraz jednak wydawał się go całkiem pewny. Czyżby spytał o to którąś z zainteresowanych sprawą kobiet? Zapytany wprost, mężczyzna roześmiał się i wyjaśnił, że gdy tylko przyjechała do Strzygomia, zastanawiał się nad celem tej wizyty. Chodził do szkoły średniej z Agatą i Ewką, znał też dobrze Mirabelkę, wiedział więc, że poruszą niebo i ziemię, żeby doprowadzić do uwolnienia Mariusza i Bogdana. Była policjantka idealnie wpisywała się w ten scenariusz, w dodatku przyznała, że nie wierzy w winę skazanych, domyślił się więc, że to Mirabelka wezwała kawalerię.

– Moje śledztwo stanęło – przyznała po krótkim namyśle, czy powinna dopuścić aspiranta do tajemnicy. W końcu stwierdziła, że i tak prawie wszystko odkrył, a jego pomoc może się przydać.

– Nie mam doświadczenia do żadnych danych. Nie wiesz przypadkiem, kto to prowadził w powiatowej?

– Nie wiem, ale się dowiem – zaoferował natychmiast, po czym dodał tonem wyjaśnienia: – Wiesz, podobno z tym śledztwem była jakaś dziwna sprawa, dlatego mnie to intryguje. W sumie mało wiem na ten temat, bo wtedy służyłem gdzie indziej.

W Jodłowcu jestem dopiero od roku, ale tata mi mówił, że policjanci z powiatu wszystko robili sami i nie chcieli naszym nic zdradzić.

– Bo ja wiem, czy to takie dziwne? – zastanawiała się Diona. – Na pewno sprawdzali wszystkich z Jodłowca, więc trudno wymagać, żeby im meldowali o postępach w śledztwie.

– Nie o tym mówię – odparł zniecierpliwiony Marcin. – To jest oczywiste, ale przecież zawsze w takich sprawach są jakieś przecieki. A tu nic. W dodatku w tym śledztwie na sto procent brał udział Gerbilak. Przyjeżdżał kilka razy do Jodłowca, przesłuchiwał ludzi. Jestem w stanie zrozumieć, że początkowo nic nie mówił, jak jeszcze temat był gorący. Ale teraz? A jednak zawsze, gdy ktoś wspomni o tamtym śledztwie, on nabiera wody w usta, jakby złożył śluby milczenia.

Diona zastanowiła się chwilę.

– Faktycznie dziwne – przyznała wreszcie. – Myślisz, że uda ci się dojść do jakichś informacji?

– Nie powinno być z tym problemów, bo teraz służy tam moja siostra. – Uśmiechnął się szeroko. – Właśnie w dochodzeniówce.

Dziewczyna nie spodziewała się aż takiego prezentu od losu. Podskoczyła z radości i złapała Marcina za rękę, ściskając mocno.

– Porozmawiasz z nią? Dzięki! – Zaraz jednak spojrzała niespokojnie. – Żeby tylko nie narobiła sobie kłopotów. Nie chciałabym...

– Przestań martwić się na zapas – uspokajał ją. – Zyta nie jest małym dzieckiem. Służy w policji nie od wczoraj. Wie, co robić. Lepiej powiedz, jaka jest druga sprawa.

Zanim się odezwała, stoczyła z sobą długą walkę. Lipski był sprzymierzeńcem, uważała więc, że jest mu winna szczerłość. Coś jej jednak mówiło, że nawet jemu nie powinna zdradzać, iż łączą ją z byłym komendantem więzy krwi. A już tym bardziej informować go, jak bliskie jest to pokrewieństwo.

– Druga sprawa to Roszak – powiedziała tylko. – Gdzie on mieszkał?

Marcin zastanawiał się, popijając herbatę.

– W którymś z tych czteropiętrowych bloków na końcu Jodłowca. Nie wiem dokładnie w którym. Wydaje mi się, że w ostatnim, tym najbliżej lasu, ale nie jestem pewny. Po co ci ta informacja?

– Przyszło mi do głowy, że może zostawił wśród swoich rzeczy coś, co dałoby mi punkt zaczepienia. – Spojrzała prosząco. – Mógłbyś się dowiedzieć adresu i sprawdzić, kto tam teraz mieszka?

Marcin uśmiechnął się do niej znad kubka z herbatą. Siedzieli w sali jadalnej lokalu u Mirabelki, odczekał więc, aż mężczyzna niosący talerz ze smakowicie wyglądającą potrawą minie ich stół.

– Z tym też nie będzie żadnego problemu. Zaraz jutro sprawdzę. Ale to chyba nie koniec koncertu życzeń?

Diona zagryzła wargi.

– Sorry, że tak cię wykorzystuję, ale naprawdę nie mam nikogo innego.

Popatrzył na nią z rozbawieniem.

– Możesz mnie mieć, kiedy tylko sobie zażyczysz.

To już nie był ukryty podtekst czy subtelna aluzja. Diona nie miała kłopotów ze słuchem czy wzrokiem ani też z prawidłowym odczytaniem tego, co już kilkakrotnie tego dnia dawał jej do zrozumienia. Dotychczas zbywała jego słowa żartem, lecz teraz musiała zareagować inaczej, choć liczyła się z tym, że niedawno nawiązana współpraca po jej odpowiedzi może zostać zerwana. Sięgnęła do głęboko ukrytych pokładów dyplomacji, nie chcąc zrażać go kategoryczną odmową.

– To dopiero nasze drugie spotkanie. Zwolnij trochę, jutro też jest dzień.

Marcin nie odwzajemnił uśmiechu, którym okraszała

zawołowaną odmowę.

– Nasza służba ma to do siebie, że nigdy nie wiesz, czy w ogóle będzie jakieś jutro. Dlatego policjanci nie powinni marnować czasu na czcze rozważania, tylko bezzwłocznie realizować swoje zamiary.

Powiedział to spokojnie, bez złości, więc wbrew swoim zasadom postanowiła uchylić przed nim rąbka tajemnicy. Zasługiwał na uczciwą odpowiedź.

– Półtora roku temu byłam jeszcze mężatką – wyznała, patrząc mu prosto w oczy. – Mam za sobą wyjątkowo paskudny rozwód i na razie nawet nie myślę o nowym związku, a niezobowiązujący seks to nie moja bajka.

W oczach Lipskiego pojawił się błysk, lecz nie dojrzała w nich niechęci. Może rozczarowanie? Nie, to też nie to. Zanim zdołała zdefiniować ich wyraz, mężczyzna przechylił się przez stół i rzekł ściszym głosem:

– Wiem, że się rozwiodłaś, i chyba wiem dlaczego. Ja też umiem robić wywiad, szczególnie gdy ktoś mnie interesuje. Tak tylko wspomniałem, żebyś wiedziała, że nie jesteś sama. – Z powrotem odchylił się na oparcie krzesła. – Dobra, dosyć tego przynudzania. Jaka jest ta trzecia sprawa?

Zamrugła, zaskoczona jego zachowaniem. Spodziewała się co najmniej focha, bo tak zawsze reagował Kamil, gdy w jakiejś kwestii się z nim nie zgadzała, bardziej jednak skłaniała się ku przypuszczeniu, że Marcin wstanie i demonstracyjnie opuści lokal. Przemknęło jej przez głowę, że w innych okolicznościach mogłaby się w nim zakochać, i to tylko z powodu troski widzianej w jego oczach. Znów zamrugła, tym razem by przegnać wilgoć przesłaniającą wzrok, po czym spytała, starając się, by jej głos nie zdradził targających nią emocji:

– Co wiesz o Jacku Nowosielskim?

– Czemu pytasz? – Marcin wolno odstawił pusty kubek. Wyglądał na zaintrygowanego. – Przecież sama mówiłaś, że nie

wierzysz, żeby Justyna miała kochanka. Twierdziłaś, że to tylko głupie plotki.

– Nic nie mówiłam o plotkach – sprzeciwiła się Diona. – Powiedziałam, że słyszałam, jakoby Nowosielski był kochankiem Justyny, a to istotna różnica. To nie były plotki, tylko informacja od Leszka Hardego, który kilka razy widział żonę w towarzystwie tego faceta i założył, że łączy ich coś więcej.

Lipski wykonał dłonią nieokreślony gest. Dziewczyna uniosła brwi, nie rozumiejąc jego znaczenia, i wówczas mężczyzna wyjaśnił:

– Już o tym wspominałaś na komisariacie. Fakt, że Świniarz nie wygląda na amanta, ale po co Justyna miałaby się z nim spotykać, jak nie na randkę? Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

– O to, że ona wcale nie była jego kochanką. Spotykała się z nim, żeby przedstawiać mu swoje żądania – wyjaśniała Diona cierpliwie.

– Skąd wiesz, że tak było?

– Justyna zostawiła po sobie zapiski.

– Jednak pisała pamiętnik? – nie dowierzał Lipski.

Diona popatrzyła na niego z rozbawieniem. Reakcja Marcina wcale jej nie zaskoczyła, sama pewnie zachowałaby się identycznie, gdyby to ją uruczono podobną rewelacją. Temat pamiętnika odnajdowanego niespodziewanie, w dodatku w kluczowym dla śledztwa momencie, pojawiał się w literaturze czy filmach zbyt często, by ktoś mógł brać takie wyjaśnienie na poważnie.

– Nie, aż tak dobrze to nie ma – zaprzeczyła z całkiem szczerym ubolewaniem. – Z tego, co zrozumiałam z jej wynurzeń zawartych w jednym z komentarzy na Facebooku, Justyna miewała kłopoty z pamięcią, dlatego jakiś czas temu postanowiła notować swoje spostrzeżenia i inne ważne sprawy

w kalendarzu książkowym. Wstydziła się przed mężem i nie chciała, żeby wiedział o jej kłopotach, więc obłożyła kalendarz w szary papier, po czym opisała grzbiet w taki sposób, jak często się to robi w bibliotekach.

– Sprytnie. – Marcin pokiwał głową z aprobatą. – Nabrał się?

– Jak najbardziej. Gdy tam byłam, patrzył na leżący na toalecie kalendarz i mówił, że będzie musiał jak najprędzej oddać tę książkę do biblioteki, bo Justyna przetrzymuje ją już od pół roku.

– Ciekawe, dlaczego my nie natrafiliśmy na ślad tego kalendarza – mruknął, lecz w jego głosie nie usłyszała gniewu, choć pobrzmiwała w nim nutka ironii. – Jaka jest oficjalna wersja wytłumaczenia tego zadziwiającego zjawiska?

– Bardzo prozaiczna. – Posłała mu szelmowski uśmiech. – Dostałam tę książkę od męża zmarłej. Byłam pewna, że to jakiś romans, więc pożyczyłam, żeby poczytać w długie samotne wieczory.

– Niech ci będzie. – Marcin wzruszył ramionami. – To z tego kalendarza wiesz, że nie byli kochankami?

Diona westchnęła. Przeglądała zapiski zmarłej kilkakrotnie. Choć wiedziała, że to bezsensowne, nie umiała pozbyć się uczucia żalu na myśl o losie tej niezbyt mądrej, głupio popędliwej, lecz w gruncie rzeczy nieszczęśliwej kobiety.

– Wskazują na to notatki Justyny. Leszek nawet nie wiedział, jak daleko się posunęła, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. To nie jest typowy pamiętnik, ale niektóre wpisy są bardzo osobiste. Nas jednak interesuje co innego. Zobacz tutaj.

Wyjęła z torebki przedmiot, który Hardy swego czasu wziął za książkę, otworzyła w miejscu zaznaczonym zakładką i podała Lipskiemu, po czym obserwowała go uważnie. Jej uwadze nie umknął wyraz ekscytacji na twarzy mężczyzny, chciwie przeglądającego strony kalendarza. Po chwili wrócił do miejsca, gdzie zaczynały się interesujące ich notatki. W połowie kwietnia

Justyna Sojka-Hardy dokonała pierwszego wpisu mającego dla nich jakąś wartość. Poprzednie ograniczały się do listy zadań na dany dzień.

Pod datą 16 kwietnia widniało zdanie: „Przypomnieć Świniarzowi, że wpadł na mnie przy Chacie Strachów”. Od tego momentu wpisy pojawiały się regularnie, lecz większość z nich prawdopodobnie nie miała żadnego związku ze sprawą.

Tak się Dionie wydawało, lecz Marcin zwrócił uwagę na coś, co ona przeoczyła, uznając zapiski za nieistotne.

– Zaczęła delikatnie, ale zbyt nie zwlekała – stwierdził, stukając paznokciem w otwarty kalendarz.

Diona drgnęła i spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Czemu tak uważasz? Przecież tam nie ma ani słowa o tym, że coś jej zapłacił. Wiem, bo sprawdziłam.

Dalej nie dowierzając, przechyliła się, by jeszcze raz spojrzeć na początkowe wpisy. W dalszym ciągu nie dostrzegła nic świadczącego o tym, że Justyna już wtedy szantażowała hodowcę nierogaczyny. Ale Marcin upierał się przy swoim zdaniu.

– Zobacz tutaj. – Odwrócił stronę. – Trzy dni później. „Odebrać od Ś. laptop” – przeczytał głośno. – Ś. to Świniarz, głowę sobie dam uciąć.

– Uważasz, że to było pierwsze wymuszenie? – Zastanowiła się. – Pomięłam to, ale kto wie? Możesz mieć rację. Zaraz się dowiem.

Wzięła do ręki komórkę i zadzwoniła do Leszka Hardego. Wiedziała, że mężczyzna odpowie na jej pytania szczerze i wyczerpująco. Odkąd wyszedł na wolność, nie ustawał w okazywaniu dziewczynie wdzięczności, twierdząc, że wyłącznie jej determinacji zawdzięcza uwolnienie. Dlatego bez zadawania zbędnych pytań zgodził się potwierdzić wersję, że to on pożyczył Dionie książkę. Teraz również, gdy zapytała, czy Justyna w kwietniu kupiła sobie laptop, nie oburzył się za to

wchodzenie w butami w swoje życie, lecz odpowiedział szczegółowo, bez zniecierpliwienia czy irytacji. Podziękowała mu za pomoc i zwróciła na Lipskiego błyszczące podnieceniem oczy.

– Justyna kupiła laptop dla Janeczki. Ich córki. Podobno dostała pieniądze od rodziców. A to cwaniara – pochwaliła z podziwem. – Wiedziała, że Leszek tego nie sprawdzi, bo nie utrzymuje z teściami bliskich kontaktów.

– Teoretycznie mogła dostać od nich pieniądze, ale po co miałyby odbierać ten laptop od Nowosielskiego? – zastanawiał się głośno Lipski. – Uważam, że zażyczyła go sobie w ramach okupu. Ale jedźmy dalej. Szósteego maja mamy wpis: „Przypomnieć Świniarzowi o jego rozmowie z Myszą”.

– Kto to jest Mysz? Lub Mysza?

Diona nie zetknęła się z takim nazwiskiem czy przezwiskiem, odkąd przybyła do Strzygomia. Dla Marcina także stanowiło ono niewiadomą, pozostawili więc tożsamość Myszy do późniejszego wyjaśnienia. Wspomniane spotkanie musiało jednak stanowić jakąś wstydliwą czy groźną tajemnicę, gdyż tydzień później Justyna zanotowała: „Ś. zapłacił za mój kurs szycia. Życie jest piękne!”.

Najwyraźniej przyzwyczajona do wyższego standardu życiowego Justyna miała wymagania i zachcianki, którym mąż nie mógł – lub nie chciał – sprostać finansowo, więc postanowiła zdobyć pieniądze w inny sposób. Może jednak wcale nie była tak głupia, jak sądzili pozostali mieszkańcy wsi?

– Spróbowała raz, a gdy się udało, wymuszała kasę już regularnie. – Remańska westchnęła. – Oni nigdy nie wiedzą, kiedy przestać.

Razem prześledzili następne wpisy. Nie wiedzieli, ile było spotkań Nowosielskiego z tajemniczą Myszą, stanowiących przyczynę szantażu. Jedno czy może kilka? Niemniej musiały być brzemiennie w skutkach, skoro mężczyzna ciągle płacił. Marcin z coraz bardziej pochmurną miną czytał o efektach

wymuszenia. Obóz dla Janeczki, wczasy dla Hardy'ch, kaucja za wynajmowany pod pizzerię lokal, dziesięć tysięcy złotych. Zaklął szpetnie, ujrawszy pełne euforii zdanie: „Zapłacił! Zapłacił całe sto tysięcy. Teraz L. się dowie, że wcale nie jestem głupia, i znowu będzie mnie kochał”. I zaraz potem ostatnia notatka: „L. nazwał mnie bezmyślną idiotką. Pewnie wzięłam za mało. Ale Ś. powiedział, że nie ma więcej pieniędzy. Płakał. Chyba mówił prawdę. Może zadzwonię do Myszy, niech teraz on płaci. Boję się go, ale czego nie robi się z miłości”.

– Czemu ludzie nie potrafią się dogadać? – rzucił Marcin podniesionym głosem po długim, nabrzmiałym emocjami milczeniu. – Ona zginęła z miłości, a on z miłości przyczynił się do jej śmierci.

Diona zapatrzyła się przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Nie powiedziałam mu tego, ale w chwili, gdy do was zadzwonił, wydał na nią wyrok śmierci. A ja go do tego namówiłam.

– Skąd mogłaś wiedzieć? – zachnął się Lipski. – Leszek też nie wiedział. To prawda, co powiedziałaś, ale winne są tylko dwie osoby: zabójca i ten przekupny skurwysyn, który doniósł mu o rozmowie Hardego z moim ojcem.

– Przecież wiem – burknęła. – Ale to nie sprawia, że czuję się lepiej.

Niezgrabnym gestem zmierzwił jej włosy, a gdy spojrzała ze zdziwieniem, zmieszał się i czym prędzej wrócił do omawianej sprawy.

– Wszystko pięknie, tylko że dalej nie wiemy, czym właściwie Justyna szantażowała Świniarza. Jej uwagi tego nie wyjaśniają.

Nie mogła zgodzić się z tą opinią.

– A mnie wydają się jasne, proste i prowadzące do logicznych wniosków – zaoponowała natychmiast. – Nowosielski był skonfliktowany z Drawiczem i Kotlarskim, więc na pewno było mu bardzo na rękę, kiedy tamtych wsadzili. Pewnie myślał, że

raz-dwa namówi ich żony, żeby pozbyły się warsztatu wraz z gruntem. Wiem, że nachodził te kobiety i nakłaniał je do sprzedaży.

Marcin wstał, zabrał puste kubki i odniósł, a po chwili Diona ujrzała go stojącego przy blacie, na którym ustawiono termosy z wrzątkiem, filiżanki i kubki oraz saszetki z kawą i herbatą. Uśmiechnęła się z aprobatą, widząc, że zajął się napełnianiem filiżanek. Oznaczało to, że tym razem napiją się kawy. Czyżby dostrzegł w jej oczach głód kofeiny?

Niósł filiżanki ostrożnie, lecz ręce trzęsły mu się tak, że kilka kropel spłynęło na podłogę. W przypadku każdego innego napoju pozwoliłaby mu dotransportować go do miejsca docelowego, choćby miał przy tym połowę rozlać, ale zbyt lubiła kawę, by ryzykować. Szybko wstała, podeszła i odebrała filiżanki z drżących rąk.

– Nie patrz tak na mnie – bronił się przed niewypowiedzianym oskarżeniem. – To wcale nie kac, tylko jakieś upośledzenie. Gdy tylko wezmę do rąk naczynie z płynem, od razu nasuwa mi się myśl, że zaraz wszystko rozleję. I oczywiście natychmiast dłonie zaczynają mi latać i wszystko kończy się w wiadomy sposób.

– W takim razie po co polazłeś po tę kawę? Nie mogłeś powiedzieć, żebym przyniosła?

– No wiesz co? Żebyś mi potem wypominała, że się tobą wysługuję? Że do garów to tylko kobieta?

– Nie przesadzaj – mruknęła, dmuchając na gorący płyn. – Nawet ja nie jestem taką idiotką. Ale wróćmy do tego faceta z przepiękną ksywą. Od blisko dwóch miesięcy zbieram informacje i kolekcjonuję najgłupsze nawet plotki. Z tych wszystkich zasłyszanych tu i tam wieści wyłonił mi się niezbyt piękny obraz. Uważam, że tylko Świniarz miał motyw, żeby pozbyć się Kotlarskiego i Drawicza.

Lipski walczył ze sobą, lecz zaraz przegrał i roześmiał się głośno. Diona mu nie zawtórowała; milczała, ze spokojem

przeczekując napad wesołości. Po chwili mężczyzna uspokoił się na tyle, by móc odpowiedzieć.

– Myślisz, że zabił Roszaka, żeby obciążyć winą tych dwóch? Nie uważasz, że to bez sensu? Jeśli już uparł się kogoś zamordować, prościej byłoby zabić właśnie ich.

– Nie twierdzę, że Nowosielski kogoś zabił. Ale coś mi tam cuchnie i nie są to świnie. Przecież to właśnie on jest tym świadkiem, na którego zeznaniach oparto oskarżenie. Nie wiedziałeś? – zdumiała się, widząc minę Lipskiego.

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie interesowałem się aż tak bardzo tą sprawą, żeby wchodzić w detale, a ludzie niechętnie wywnętrzają się przed gliniarzem. Co innego osoba postronna. Tak w ogóle, kto ci o tym powiedział? Ktoś wiarygodny?

– Wiem to z najlepszego źródła, czyli od Agaty. Przecież była na rozprawie, a on tam zeznawał jako świadek. Ale wiedziała już wcześniej, bo mąż powiedział jej to podczas widzenia. Dowiedział się, kiedy jego adwokat zapoznał się z aktami.

Marcin słuchał uważnie i nagle klepnął się w czoło.

– No jasne! – wykrzyknął. – Ale za mnie idiota.

– Nie zaprzeczam, bo to niegrzecznie – stwierdziła ze słodkim uśmiechem. – Mógłbyś zdradzić, skąd ta nagła samokrytyka?

– Zastanawiałem się kiedyś, czemu od dłuższego czasu Świniarz jest bojkotowany przez mieszkańców Strzygomia, ale na takie wyjaśnienie nie wpadłem.

Marcin miał tak rozradowaną minę, jakby trafił kumulację w totolotku, i Dionie zrobiło się przykro, że musi go sprowadzić na ziemię.

– Tylko że to niestety nie wyjaśnia, czym Justyna go szantażowała. Rozprawa była jawna, więc na pewno wszyscy od dawna wiedzą, że to on zeznawał przeciwko Kotlarskiemu i Drawiczowi.

Mężczyzna przyznał jej rację, a wyraz radości na jego twarzy

powoli zniknął, zastępowany z troską.

– Szkoda, że nie mogłem bardziej pomóc. Muszę już iść. – Wstał, lecz zaraz usiadł ponownie, przypomniał sobie o jeszcze jednej kwestii, którą powinien poruszyć. – Sprawa włamania do twojego samochodu pewnie skończy się umorzeniem. Że też akurat musiało trafić na ciebie.

Posłała mu przeciągłe spojrzenie, które źle zrozumiał i zaczął przeproszać za wyrządzoną szkodę, jakby to on był sprawcą. Pozwoliła mu mówić, sama zaś w tym czasie zastanawiała się, czy powinna powiedzieć mu całą prawdę.

– Kajasz się tak, jakbyś to ty rozbił mi szybę – przerwała mu wreszcie w pół słowa. – Spodziewałam się umorzenia, zresztą Gerbilak już mnie uprzedził. Poza tym to wcale nie było tak, że przypadkowo trafiło na mnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Zanim zdążyła się odezwać, sam odpowiedział na swoje pytanie. – Ale ze mnie idiota! – powtórzył. – Ukradziono ci etui od tabletu, a przecież przedtem wspomniałaś, że Leszek dał ci tablet Justyny. To oczywiste, że właśnie ten tablet skradziono. Mam rację?

Marcin nie mógł wiedzieć, że etui nie zawierało tabletu, tylko czyste kartki. Wieczorem tego dnia, gdy ktoś włamał się do samochodu, zgodnie z poleceniem komendanta wyjechał na szkolenie, nie mieli więc czasu porozmawiać, Diona zaś zorientowała się dopiero w komisariacie, że zaszło nieporozumienie co do przedmiotu kradzieży, a wówczas on był na obsłudze zdarzenia. Gdy mówiła policjantom o etui na tablet, oni rozumieli, że ma na myśli etui z urządzeniem w środku. Czym prędzej więc wyprowadziła ich z błędu, opowiadając o prawdziwej zawartości pokrowca. Rozbawiła ich tym niemal do łez i długo jeszcze śmiali się z „Janusza przestępczości”, którego ryzyko zostało nagrodzone kilkoma niezapisanymi kartkami w kratkę.

Marcin wysłuchiwał opowiadania ze spokojem i nawet się nie

roześmiał, choć kilka razy wargi mu zadrżały, a kąciki ust uniosły się w zapowiedzi uśmiechu. Pod koniec natomiast zmarszczył brwi, a twarz mu spochmurniała.

– Mówiłaś o tym tablecie u mnie w pokoju – wspomniał i zaklął głośno, gdyż zyskał teraz absolutną pewność, że cały czas był podsłuchiwany. Natychmiast jednak znalazł w swoim rozumowaniu pewną nieściskość. – Zaraz, coś mi tu nie gra. Skąd ten ktoś mógł wiedzieć, że ten tablet znajduje się w samochodzie? Mówiłaś, że przykryłaś to etui jakimś pismem.

– Skąd wiedział? – powtórzyła z błyskiem w oku. – Może stąd, że najpierw przeszukał mój pokój, a gdy nie znalazł tam tabletu, zajął się samochodem. Wiedział, że nie mam przy sobie torebki, a do kieszeni żakietu tablet by się nie zmieścił, więc auto było jedynym logicznym wyborem.

Marcin przestraszył się nie na żarty. Początkowo usiłował wmówić jej i sobie, że musiała się pomylić, bo przecież to niemożliwe, żeby ktoś był aż tak bezczelny, by zakradać się do domu pełnego ludzi. Jednak dalsze słowa Diony pozbawiły go złudzeń.

Gdy tamtego wieczoru wróciła do domu Mirabelki, czuła się tak zmęczona dniem pełnym wrażeń, że poszła prosto do swojego pokoju, rezygnując z kolacji. Nie czuła głodu, mimo że zapomniała o obiedzie, zajęta najpierw poszukiwaniem pieniędzy w domu Hardego, a potem czynnościami związanymi z włamaniem do samochodu. Później jeszcze musiała czekać na radiowóz, który miał zawieźć ją do domu.

Pierwszym, na co zwróciła uwagę, był fakt, że zastała drzwi zamknięte tylko na klamkę, chociaż wychodząc rano, zamknęła je na klucz. Najpierw pomyślała, że może jednak tym razem zapomniała. Potem przyszło jej do głowy, że może któraś z córek Agaty posłużyła się zapasowym kluczem, żeby zobaczyć, co gość przechowuje w swoim pokoju. Wiedziała, że jej osoba fascynuje dziewczynki, więc nie byłoby w tym nic dziwnego. Ktoś, kto

naruszył jej prywatność, nie miał pojęcia o zwyczajach Diony, stanowiących przy okazji dodatkowe zabezpieczenie, dlatego dziewczyna niemal natychmiast mogła wykluczyć tak pierwszą, jak i drugą możliwość. Gdyby zapomniała zamknąć drzwi, wszystkie przedmioty pozostałyby nietknięte, gdyby zaś do pokoju weszły dziewczynki, zapewne zainteresowałyby się kosmetykami, ewentualnie laptopem. Tymczasem intruza zainteresowało coś zupełnie innego.

– Zamontowałaś w pokoju kamerę? – przerwał jej Marcin, a gdy zaprzeczyła ruchem głowy, westchnął z rezygnacją. – Poddaję się – oznajmił. – Nie mam pojęcia, skąd w takim razie masz pewność, że ktoś grzebał w twoich rzeczach.

Diona najchętniej pozostawiłaby to pytanie bez odpowiedzi, ale coś jej mówiło, że siedzący naprzeciwko niej mężczyzna nie zrezygnuje, dopóki nie usłyszy wyjaśnienia. Odwlekanie też pewnie na nic się nie zda.

– Jestem pod tym względem trochę ześwirowana – wyznała wreszcie, pokonując zawstydzenie. – Ustawiam przedmioty w określonym porządku i nie cierpię, kiedy ktoś to zmienia. Dlatego od razu wiedziałabym, gdyby ktoś coś ruszył.

– Nawet gdyby odłożył dokładnie w to samo miejsce? – dociekał Lipski.

Dał tym samym dowód, że oceniła go prawidłowo, nie była jednak do końca pewna intencji. Może uważał ją za wariatkę dopatrującą się wszędzie spisków i zagrożeń lub osobę cierpiącą na nerwicę natręctw, której nikt nie powinien traktować poważnie? Przyjrzała mu się podejrzliwie, lecz nie zauważyła niczego ponad zwykle w takich przypadkach zaciekawienie, odpowiedziała więc szczerze:

– Zawsze układam kosmetyki na półce w taki sam sposób. Stoją zwrócone przodem w lewo.

– Jakim przodem? – nie zrozumiał niejasnego tłumaczenia.

– Napisem z nazwą czy z logo producenta – objaśniała

z lekkim zniecierpliwieniem. – Dlatego nie wierzę, że ktoś je ruszał.

– A laptop? Skąd wiesz, że nikt go nie uruchomił?

– Z historii logowań. Nie zapisało się ani udane, ani nieudane. Marcin nie miał już więcej zastrzeżeń, zainteresowało go natomiast coś zupełnie innego.

– Nie myśl, że ci nie wierzę – zaczął niepewnie – ale skąd w takim razie wiesz, że ktoś w ogóle wszedł to twojego pokoju?

– Stąd, że zniknęła moja paleta. Zostawiłam ją na stoliku, a gdy wróciłam, palety już tam nie było. Oprócz niej wszystko zastałam w takim samym stanie, więc myślę, że wiem, po co ten ktoś tam się zakradł.

Już przedtem kilka razy wykazywał pewne zdumienie, lecz po jej ostatniej wypowiedzi wygląd mężczyzny można było określić jedynie wyrażeniem „całkowicie ogłupiały”. Wpatrywał się w Dionę bez słowa i tylko kilka razy poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie umiał się wyrazić. Dziewczyna miała ochotę nim potrząsnąć; nie rozumiała, co mogło wprowadzić go w ten dziwny stan.

– Po co ktoś miałby kraść twoją paletę? – wyjąkał wreszcie słabym głosem. – Nie wiedziałem, że malujesz.

Dopiero teraz zrozumiała przyczynę jego nagłej katatonii. Wyobraziwszy sobie zamaskowaną postać niosącą paletę z kapiącą z niej farbą, z trudem powściągnęła chęć wybuchnięcia głośnym śmiechem.

– Oczywiście, że maluję – odparła ze źle skrywanym rozbawieniem. – Powieki sobie maluję. Teraz rozumiesz? Ukradł moją paletę cieni do powiek.

Jeśli myślała, że tą odpowiedzią rozjaśni mu w głowie, to zawiodła się srodze, twarz mężczyzny bowiem znowu przybrała ów szczególny wyraz świadczący o osłupieniu. Marcin potrząsnął głową niczym bokser, który zainkasował o jeden cios za dużo.

– Poddaję się. – Machnął ręką w geście świadczącym o całkowitej bezradności. – Jak żyję, nie słyszałem o złodzieju, który nie tknąłby laptopa, drogich perfum czy tego – wskazał eleganckie etui z logo Watermana zawierające nie mniej eleganckie pióro i długopis – a połaszczył się na cienie do oczu. Chyba że byłyby nowe, markowe i bardzo drogie – dorzucił bez większego przekonania.

Diona natychmiast rozbiła w pył to przypuszczenie, a uczyniła to z tak rozweseloną miną, że zmarszczył brwi, najwyraźniej zastanawiając się nad przyczynami takiego zachowania. Postanowiła zaspokoić jego ciekawość.

– Ani nowe, ani markowe, ani jakoś specjalnie drogie. Zwykła paleta dostępna u większości użytkowników Allegro handlujących kosmetykami. Też się zastanawiałam, o co w tym wszystkim chodzi, i nawet przez chwilę podejrzewałam dziewczynki, ale nagle coś mnie tknęło. Zresztą podpytałam Agatę, ale żadna z nich jej nie podwędziła; możesz mi wierzyć, że dokładnie to sprawdziła. Tyle że ta paleta wyglądała... Czekaj, zaraz ci pokażę.

Wzięła do ręki telefon, weszła na odpowiednią stronę, wyszukała paletę cieni identyczną z tą skradzioną, po czym podsunęła komórkę Marcinowi. Ten spoglądał długi czas najpierw na fotografię, potem na opis przedmiotu, szczególną uwagę poświęcając parametrom. Wreszcie skinął głową.

– Rzeczywiście mogło tak być, że się w pośpiechu pomylił. Tablet Justyny ma podobne wymiary?

– Jest trochę większy – przyznała Diona. – Ale to bez znaczenia, bo złodziej przecież nigdy go nie widział. Dlatego pomyślałam o tym samym, co ty. Moim zdaniem to wyjaśnienie jest logiczne i bardzo prawdopodobne. Wyobraź sobie, że jesteś nim. Złodziejem, nie tabletem – uściśliła, wywołując tym uśmiech na twarzy mężczyzny.

– Okej, mogę być złodziejem – zgodził się i przymknął powieki,

wczuwając się w rolę. – Skradam się po schodach, staram się stąpać jak najciszej. Kobiety są w barze, a dzieci w szkole, więc powinienem być bezpieczny, ale licho nie śpi, więc chcę to załatwić jak najciszej i jak najszybciej. Otwieram drzwi wytrychem...

– Albo dopasowanym kluczem – przerwała mu Diona. – Widziałeś ten zamek? To zwykły szajs. Podejrzewam, że można go otworzyć byle jakim kluczem.

Marcin tym razem nie zgodził się z jej opinią i zaproponował, machając ręką tak energicznie, że omal nie przewrócił filiżanki.

– Absolutnie nie. Musiałby przynieść ze sobą z pięćdziesiąt kluczy i po kolei je dopasowywać. To za bardzo czasochłonne, na pewno bałby się ryzykować. Co innego dobry wytrych. Dla fachowca byłby to tylko moment.

– W porządku, wcale się nie upieram przy kluczach. Zresztą nie jest ważne, jak otworzył te pieprzone drzwi. Jedźmy dalej.

Lipski skinął głową i ponownie wcielił się w rolę złodzieja.

– Jestem już w środku. Rozglądam się po pokoju i widzę na stoliku przedmiot... – Znów przymknął powieki, przywołując obraz palety. – Czarny, błyszczący, płaski, o wymiarach na oko dziesięć na piętnaście centymetrów. Tak, mógł się pomylić. – Kiwnął głową do wtóru własnych słów. – Wiele osób odkłada tablet czy telefon ekranem do spodu. Facet na pewno był zestresowany. Chciał to jak najszybciej załatwić i ulotnić się stamtąd, a jeśli jeszcze coś go dodatkowo przestraszyło... Nie wiem co. Na przykład czyjeś kroki na schodach albo inny podejrzany odgłos... Wtedy mógł złapać rzekomy tablet i pognać do wyjścia bez dokładnego oglądania łupu.

– Tak też pomyślałam – przyznała Diona. – To by tłumaczyło, dlaczego nie zamknął drzwi po wyjściu z pokoju. Gdyby to zrobił, minęłoby pewnie kilka dni, zanimbym odkryła, że cienie zniknęły, bo ostatnio prawie wcale ich nie używam.

– Przecież nie wiedział, że ukradł cienie – wypunktował

Marcin. – Ale masz rację. Zanimbyś się zorientowała, zdążyłabyś skutecznie pozacierać ewentualne ślady. O tym wie każdy szanujący się złodziej posługujący się wytrychami czy pasówką.

– Wiesz, mnie martwi co innego – powiedziała Diona w zamyśleniu. – O tablecie wiedzieliśmy tylko my dwoje.

Lipski popatrzył ze zdziwieniem, ten aspekt sprawy poruszyli już bowiem wcześniej. Naraz zrozumiał, do czego dziewczyna zmierza.

– O pieniądzech też – powiedział, w zamyśleniu skubiąc nitkę wysnuwającą się z guzika koszuli. – Ktoś rzeczywiście zamontował mi w pokoju podsłuch, być może także kamerę. Co do tego nie mam już żadnych wątpliwości. W innych pokojach też. Ciekawe, czy we wszystkich, czy tylko w wybranych?

– Mnie bardziej interesuje, kto to zrobił – stwierdziła, przytrzymując go za rękę. – Przestań to ciągnąć, bo za chwilę zostaniesz bez guzika.

– Co do tego też nie mam żadnych wątpliwości – oznajmił ponurym tonem. – Nie mówię o guziku – prychnął, zauważywszy jej minę. – Nasz nowy komendant zaraz na początku usiłował namówić to tego, to owego, żeby informowali go o nastrojach na komisariacie. Nic z tego nie wyszło, bo nie znalazł chętnych do roli kapusty.

– Teraz to się nazywa „sygnalista” – zwróciła mu uwagę Diona.

Liczyła, że go rozbawi, lecz Marcin nawet się nie uśmiechnął. Zamiast tego spojrzał na nią poważnie.

– Postaraj się nie pogrywać z Gerbilakiem, dopóki nie udowodnimy, że to on stoi za podsłuchem. Lepiej go nie płoszyć, bo gotów wszystko zdemontować.

Wykonała nieokreślony gest, który uzupełniła stosowną miną i mającymi go uspokoić słowami.

– Nie jestem kretynką. Nie mam zamiaru dawać mu poznać,

że wiem. Niech myśli, że działa bezkarnie. Chyba się domyślam, o co w tym wszystkim chodzi.

– Ja chyba też się domyślam. – Marcin się uśmiechnął. – On po prostu nie czuje się pewnie w roli komendanta, stąd chęć poznania tego, co mówią podwładni. Nie chce, by któryś z nich okazał się mądrzejszy czy bardziej rzutki. Dlatego pognął za pieniędzmi, gdy o nich usłyszał.

– No właśnie – przytaknęła Diona. – Ale biedaczysko nie zdążył, bo my przyjechaliśmy tam przed nim. Dlatego tak się „zdziwił”, kiedy nas zobaczył. Wobec tego uczepił się tabletu, licząc, że znajdzie tam jakieś ciekawe informacje.

Nowa myśl sprawiła, że dziewczyna nie wytrzymała i wybuchnęła głośnym śmiechem. Lipski zerknął na nią ze zdziwieniem i naraz także się roześmiał.

– Chciałbym zobaczyć jego minę, gdy się przekonał, że ukradł twoje cienie do powiek. Przyznaj się. Też o tym pomyślałaś?

Diona zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie, nie o tym. Bo wiesz, nie sądzę, aby ryzykował aż tak, żeby samemu się włamywać. Nie wygląda mi na odważnego, bardziej na asekuranta. Mówiłeś, że ma jakiegoś przydupasa. Pewnie jemu zlecił to zadanie.

– Masz rację. To taki młody gnojek, któremu się wydaje, że jest najmądrzejszy. Od początku liże komendantowi w nadziei na rychły awans. Pewnie Gerbilak go tam wysłał. – Marcin gniewnie zacisnął dłonie w pięści. – A włamanie do samochodu oznacza, że od razu się skapował, że ukradł nie to, co miał ukraść. Na pewno wywalił tę paletę do najbliższego kosza. Szkoda.

W odpowiedzi Diona wzruszyła ramionami.

– Niespecjalnie mnie to wzrusza. Była tania, poza tym, jak wspominałam, ostatnio prawie wcale się nie maluję. Mała strata. Nie zamierzam nad nią szlochać.

– Ja nie o tym – zaoponował Marcin, a na jego twarzy ukazał

się pełen zawodu grymas. – Przykro mi, że Gerbilak nie przeżył momentu rozczarowania.

Teraz uśmiechnęła się szeroko.

– Może pocieszy cię fakt, że całą tę operację przeprowadzili całkowicie na próżno. Wiesz, co jest na tym tablecie? – Dla lepszego efektu na moment zawiesiła głos. – Nic. Kompletnie nic.

Na tym zakończyli przydługie spotkanie, nie chcąc afiszować się wspólnym przesiadywaniem przed ludźmi, którzy i tak już obrzucali ich zaciekawionymi spojrzeniami. Diona pocieszała się, że miała świetne wytłumaczenie tej nagłej konfidencji – policjant i była policjantka zawsze znajdą wiele tematów do rozmowy.

Rozdział 8

Lokatorka

Następnego dnia w samo południe u Mirabelki pojawili się dwaj aspiranci Lipsy. Oficjalna wersja głosiła, że będąc przejazdem, wstąpili tu na kawę, lecz właścicielka dobrze wiedziała, że przyjechali, by porozmawiać z jej lokatorką, toteż natychmiast kazała wnuczkom przywołać Dionę.

Dziewczyna stanęła w progu sali jadalnej już po kilku minutach i z radością powitała obu mężczyzn. Przysunęła sobie krzesło, lecz nie usiadła. Rzuciwszy okiem na stół, stwierdziła, że znajdują się na nim tylko talerzyki z jajecznicą i kilkoma plastrami wędliny, a na środku stoi koszyk z pieczywem. Żadnego napoju nie dostrzegła.

– Kawa czy herbata? – spytała wyłącznie dla zachowania dobrych manier, wiedziała bowiem doskonale, co wybiorą.

Nim jeszcze przebrzmiała odpowiedź, była w drodze do stołu, na którym ustawiono termosy z wrzątkiem. Umieściła na tacy trzy filiżanki, a następnie zajęła się zaparzeniem kawy, podczas gdy policjanci kończyli spóźnione śniadanie.

Dariusz Lipski uśmiechnął się z aprobatą, gdy postawiła przed nim filiżankę z aromatycznym płynem.

– Dziękuję.

Jego syn mruknął coś, co mogło być podziękowaniem, lecz nie zrozumiała słów zniekształconych próbą jednoczesnego przełknięcia jajecznicę.

– Uważaj, żebyś się nie zapowietrzył – rzuciła Diona kpiąco. –

Nigdy nie słyszałeś, że jak pies je, to nie szczeka?

Posłał jej spojrzenie bazyliuszka i zwrócił się do ojca:

– Widzisz, jak wygląda wdzięczność kobiety? To ja z narażeniem życia zdobywam dla niej informacje, a ona mnie obraża, zamiast spłonąć dziewiczym rumieńcem, dygnąć i nieśmiało wyszeptać słowa podziękki.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Z tym dziewiczym rumieńcem to dowaliłeś jak tupolew w brzozę. Przez ponad trzy lata byłam mężatką.

– Wiem, ale określenie komponowało mi się z całością – stwierdził beztrósco, sięgając po filiżankę z kawą.

– Niech ci będzie. Za jakie informacje powinnam być ci wdzięczna?

Usiadła na przysuniętym przez starszego Lipskiego krześle i upiła łyk kawy, z trudem panując nad zniecierpliwieniem, podczas gdy Marcin spokojnie zgarnął resztkę jajecznicy i władował ją sobie do ust. Już była pewna, że skończył się posilać, lecz w tej samej chwili nałożył dwa plastry szynki na połówkę kromki i ugryzł. Miała ochotę warczeć ze złości, zwłaszcza że przez cały czas nie spuszczał z niej wzroku, a w jego oczach błyszczało rozbawienie.

Wreszcie skończył. Odsunął talerz na róg stołu, sięgnął po serwetkę i wolno, starannie wytarł usta, po czym ujął w palce uszko filiżanki. Wciągnął głęboko w płuca aromat kawy, potem przytknął naczynie do ust. Wszystko to robił powoli, niemal celebując każdy ruch, a Diona nie miała najmniejszych wątpliwości, że właśnie do niej adresuje swoje dziwne przesłanie. Tylko że nie miała pojęcia, co chciał jej tym zachowaniem przekazać.

– Marcin – wysyczała przez zęby, doprowadzona do ostateczności, a gdy odsunął filiżankę od ust, powiedziała wolno, starannie oddzielając poszczególne słowa: – Miałeś. Mi. Coś. Przekazać.

Wesołość, cały czas czająca się jego oczach, wreszcie znalazła ujście i mężczyzna roześmiał się serdecznie.

– Musiałem – tłumaczył się z komicznie skruszoną miną. – Sama powiedziałaś, że jak pies je, to nie szczeka. Nie chciałem być nieelegancki.

– Na drugi raz po prostu cię zabiję – odparła z groźnym zmarszczeniem brwi, lecz wargi jej również zadrżały od tłumionego śmiechu. – Dowiem się wreszcie, co masz dla mnie, czy mam napisać podanie w trzech egzemplarzach?

– Nie zapomnij o załącznikach i wniesieniu opłaty skarbowej.
– Uprzedzając jej ripostę, wyjął z kieszeni złożoną na pół kartkę.
– Tu masz adres komendanta Roszaka.

Natychmiast wybaczyła mu przeszłe i przyszłe przewiny i chwyciwszy chciwie kartkę, rozpostarła ją na blacie stolika.

– Gdzie to jest? Nieważne, sprawdzę w nawigacji.

– Tam, gdzie mówiłem, w ostatnim z bloków na końcu Jodłowca. W tym najbliższym lasu. Pierwsze piętro. Wiem nawet, kto tam teraz mieszka. Zainteresowana?

– Nie wiem, jak dziewczyna, ale ty na pewno jesteś zainteresowany – włączył się Dariusz, dotychczas przysłuchujący się w milczeniu ich rozmowie. – Za moich czasów dawało się kobietom kwiaty, nie informacje.

Wypowiedziane melancholijnym tonem zdanie rozśmieszyło ich i dość długo trwało, nim Diona uspokoiła się na tyle, że mogła odpowiedzieć.

– Kwiaty można zwyczajnie kupić, a informacje zdobywa się z narażeniem życia. – Puściła do starszego Lipskiego oko i zwróciła się do młodszego. – Podaj mi szybko to nazwisko, bo jeszcze trochę, a twój tata gotów dać na zapowiedzi. – Odczekała chwilę, po czym rzuciła okiem na kartkę, gdzie Marcin coś zanotował, i odczytała głośno: – Ślimak Ryszard i Margerita. Co to za ludzie? Chyba nietutejsi?

– Skąd wiesz, że nietutejsi? – spytał, lecz zaraz odpowiedział

sam sobie. – Poznałaś po imieniu, prawda?

Diona przytaknęła. Wszystkie imiona, z którymi do tej pory się tutaj zetknęła, były tradycyjnie polskie, część w innych rejonach kraju już dawno poszła do lamusa. Nietrudno więc było się domyślić, że osoba nosząca imię Margerita musi być przyjezdna.

– Tylko w Strzygomiu ludzie z uporem trzymają się tradycji i są odporni na wszelkie nowinki. – Dariusz Lipski wyprowadził ją z błędu. – W Jodłowcu czy innych okolicznych wsiach jest inaczej. Mamy tu Denisa, Brajana, Nadinę i Żaklinę. I jeszcze kilka innych obco brzmiących imion. Sam nie wiem, co gorsze.

Diona skinęła głową z roztargnieniem, rozmyślając nad sensownością planu, który jeszcze wczoraj wydawał jej się doskonały. Teraz ogarnęły ją wątpliwości. Czy nowi lokatorzy będą chcieli z nią rozmawiać? Czy miała prawo zakłócać im spokój? Poza tym musiała wziąć pod uwagę jeszcze jeden aspekt. Ojciec zginął dwa lata temu, zatem szanse, że jego rzeczy osobiste nie zostały wyrzucone na śmietnik, były znikome. Ale tego się nie dowie, dopóki nie zapyta.

– Muszę z nimi porozmawiać – zdecydowała, bezwiednie wypowiadając głośno tę myśl.

Dwie pary oczu popatrzyły na nią, jedna ze zdumieniem, druga z wyraźną aprobatą.

– Dobry plan – pochwalił młodszy Lipski, właściciel drugiej pary oczu. – Kto wie, może nie wyrzucili wszystkiego, co należało do komendanta, i znajdziemy coś, co naprowadzi nas na jakiś ślad?

– Pojedziesz tam ze mną? – spytała z nadzieją w głosie. Czowała jakiś dziwny opór przed odwiedzinami w domu, do którego ojciec nigdy jej nie zaprosił. Towarzystwo Marcina podniosłoby ją na duchu.

– Właśnie chciałem ci to zaproponować – oznajmił Marcin z uśmiechem. – Przyjadę po ciebie po południu. Może być?

*

W oczekiwaniu na Marcina Diona uporządkowała swoje zapiski, zauważyła bowiem, że począł wkradać się tam chaos. Pojawiło się zbyt wiele wątków, które wbrew pozorom raczej nie łączyły się ze sprawą stanowiącą przyczynę jej pobytu w wiosce kłamców. Sami zaś kłamcy, wbrew swojej nazwie, w stosunku do niej byli otwarci i szczerze odpowiadali na pytania, nie próbując jej zwodzić. Mirabelka wytłumaczyła to bardzo prosto. Otóż strygomianie uznali Dionę za swoją, nie musieli więc za pomocą kłamstw chronić swojej prywatności. Remańska przekonała się również, że niewiele mieli wspólnego ze środowiskiem kryminalistów, chociaż wedle utartej opinii ludzi niebędących mieszkańcami Strzygomia właśnie z niego się wywodzili.

Uśmiechnęła się smutno, rozmyślając, jak niewiele trzeba, żeby przypiąć komuś łatkę. W jej przypadku wystarczyło, by Kamil tu i ówdzie rzucił kilka słów, dając tym samym do zrozumienia, że choć jest mu bardzo przykro z tego powodu, nie może ręczyć za jej uczciwość. Długo trwało, zanim zrozumiała, że nagłą pustkę wokół własnej osoby zawdzięcza byłemu już mężowi. Wprawdzie nikt otwarcie nie okazywał jej wrogości czy pogardy, ale ochłodzenie przyjaznych przedtem stosunków i niemal jawne unikanie spotkań dawały do myślenia. Diona jeszcze dłużej żyłaby w nieświadomości, kto stoi za rozpowszechnianiem tych informacji, gdyby nie jej następczyni. Kochanka Kamila poczuła się na tyle pewnie, że z satysfakcją rzuciła jej w twarz kilka słów, od których dziewczynie wreszcie rozjaśniło się w głowie. I to nie tylko w kwestii tego, kto rozsiewa plotki.

Wcześniej kilkakrotnie zdarzyło się, że z mieszkań, które przeszukiwała wraz z Kamilem i innymi funkcjonariuszami, rzekomo ginęły pieniądze lub cenne przedmioty. Tak twierdzili właściciele. Początkowo nikt nie dawał wiary ich słowom, nie były to bowiem osoby o nieposzlakowanej opinii, kładzono więc ich skargi na karb zemsty na policjantach. Diona najpierw uważała podobnie, później jednak zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że naraz wszystkie te osoby wpadły na identyczny pomysł. Efekt rozmyślań mógł być tylko jeden – ktoś rzeczywiście przywłaszcza sobie pewne przedmioty, licząc na to, że mundur zapewni mu bezkarność.

Dziewczyna zamierzała przyrzeć się sprawie bliżej, ale właśnie wtedy jej życie osobiste legło w gruzach, toteż kwestia nieuczciwości jakiegoś funkcjonariusza była ostatnią rzeczą, która mogłaby ją interesować. Na jej osobistą prośbę komendant tak ustawił grafik, że nie tylko nie pełniła już służby wraz z Kamilem, ale również pracowali na innych zmianach, nie musiała więc oglądać „tej parszywej, wiarołomnej mordy”, jak określała w myślach męża.

Zignorowawszy wszystkie jego próby pojednania, wystąpiła o rozwód, a podczas jedynej rozmowy mediacyjnej, na którą namówił ją komendant, dobitnie oświadczyła, że zdradę może byłaby skłonna wybaczyć, ale kłamstw i oszustw nigdy.

Nieświadom przyczyn konfliktu szef dopiero wtedy poznał prawdę. Opowiedziała mu o pieniądzach znikających ze wspólnego konta i idiotycznym tłumaczeniu Kamila, że ktoś ukradł mu kartę do bankomatu. O obciążeniach rachunku opłatami za noclegi w hotelach i za obiady w drogich restauracjach, i za upiększający zabieg w klinice chirurgii estetycznej. Zwłaszcza tego ostatniego Diona nie mogła mężowi darować i gdy tylko przypominała sobie długie oczekiwanie na rehabilitację w ramach NFZ, trzęsła nią złość, gdyż to właśnie Kamil sprzeciwił się, by skorzystać z usług prywatnego

rehabilitanta, twierdząc, iż nie stać ich na taką ekstrawagancję.

Komendant, wściekły, że za pomocą kolejnych kłamstw został wmanewrowany w rolę mediatora, nie szczędził Kamilowi ostrych słów. Upokorzony mąż obwinił za to Dionę, a zdarzenie stało się jedną z przyczyn rozpętanej później kampanii oszczerstw.

Ryk klaksonu przedarł się do świadomości pogrążonej we wspomnieniach dziewczyny. Czym prędzej porzuciła przykre rozmyślania i wróciła do porządkowania zebranych informacji, by móc ułożyć sobie w głowie prawdopodobny przebieg zdarzeń. W miarę jak zapisywała je w porządku chronologicznym, wyłaniał się obraz pokrętnej intrygi, ale miał jeszcze zbyt wiele ciemnych plam, by mogła dojrzeć całość. Ze zniechęceniem odłożyła notatnik i zeszła na obiad do sali jadalnej.

Zjadła z apetytem zupę gulaszową z lanymi kluskami i drobno pokrojonymi ziemniakami, tak gęstą, że bardziej przypominała bogracz. Na drugie danie Agata poleciła jej kluski na parze polane sosem pieczarkowym lub gulaszem. Diona wolałaby wprowadzić, żeby kuleczki były nadziewane powidłami śliwkowymi, ale takimi również nie zamierzała pogardzić. Dość długo czekała na drugie danie i już miała zamiar zajrzeć do kuchni i upomnieć się o zamówioną potrawę, gdy dojrzała zmierzającą w jej stronę Mirabelkę, zgrabnie balansującą półmiskiem. Gdy kobieta podeszła bliżej, dziewczyna zobaczyła na talerzu siedem czy osiem wielkich klusek oblanych masłem i posypanych cynamonem.

– Takie jak lubisz – powiedziała Belka, stawiając talerz przed dziewczyną.

– Ożeń się ze mną. – Diona rzuciła jej spojrzenie pełne uwielbienia. – Albo mnie adoptuj. – Odkroiła wielki kawałek kluski i władowała go do ust, a na twarz wyplynał jej błogi uśmiech. – Za takie coś mogłabym zabić.

– Nie musisz – roześmiała się Mira i przysiadła na sąsiednim

krześle. – Zostało jeszcze kilka, możesz dostać dokładkę.

– Ale w karcie ich nie było – przypomniała sobie Diona. – Zrobiłaś je specjalnie dla mnie?

– To nie był żaden problem, bo ciasto jest przecież takie samo. Wystarczyło wcisnąć do niego powidła. – Belka zamyśliła się. – Wiesz, jesteś drugą osobą, która koniecznie chciała spróbować moich klusek z powidłami. Wszyscy życzą sobie z sosem pieczarkowym lub z gulaszem, lub z dżemem.

– Kim jest ten drugi genialny osobnik? – spytała dziewczyna z ciekawością. – Znam go?

– Nie, i już nie poznasz. – Mirabelka posmutniała. – To Piotrek Roszak. Gdy był chłopcem, ciągle przychodził do mnie i napraszał się klusek z powidłami. Lubiłam go, a i on mnie lubił, może dlatego, że nie próbowałam go wychowywać. Dzielilo nas tylko piętnaście lat, więc jeszcze nie zapomniałam, jak to jest być dzieckiem. – Kobieta westchnęła, a potem potrząsnęła głową, jakby próbowała odegnąć złe myśli. – Jak mówiłam, przychodził do mnie na kluski. W domu tego nie miał. Matka zmarła mu wcześniej, a ojciec się rozpił i w ogóle nie dbał o małego. Gdyby nie sąsiedzi, chłopak chodziłby głodny i obdarty.

Diona żywiła podejrzenie graniczące z pewnością, że mówiąc „sąsiedzi”, Belka miała na myśli wyłącznie siebie. Dziewczyna poznała ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że kobieta jest wyjątkowo wyczulona na krzywdę dzieci i że gotowa jest odjąć sobie od ust, gdy trzeba wspomóc potrzebujących.

Słowa gospodyni uświadomiły jej, że już dawno mogła spytać ją o ojca. Przecież zaraz na początku dowiedziała się, że pochodził z tej wsi, a jakoś nie przyszło jej do głowy, że może poprosić o informacje osobę, która wiedziała wszystko o wszystkich. Postanowiła czym prędzej naprawić to niedopatrzenie.

– Jaki był Piotr Roszak? Mogłabyś mi o nim opowiedzieć?

Chciałabym go poznać bliżej.

Belka znów się zamyśliła, tym razem na dłużej. Diona jej nie popędzała. Spokojnie dojadła kluski i z błogim westchnieniem otarła usta serwetką. Odniosła talerz do kuchni, a w drodze powrotnej zatrzymała się przy termosach i zaparzyła dwie kawy. Co prawda wolałaby napar z fikuśnego ekspresu stojącego w prywatnej kuchni na piętrze, ale wiedziała, że kobieta za nic nie opuści stanowiska pracy, mimo że nie nadeszła jeszcze godzina szczytu i sala była prawie pusta.

– Jako dzieciak Piotrek strasznie łobuzował. – Mirabelka skinieniem głowy podziękowała za kawę. – Nie było tygodnia, żeby czegoś nie zmalował. A jako nastolatek zachowywał się jeszcze gorzej. Ciągłe wdawał się w bójki, zaczął popijać, podejrzewano też, że kradnie. Wszyscy byli pewni, że już po nim, że pójdzie w ślady ojca.

– Co sprawiło, że się zmienił?

– To się stało, kiedy był w klasie maturalnej. Nikt nie wierzył, że uda mu się dotrzeć do matury, bo niemal przestał pokazywać się w szkole, a oceny... – Mirabelka wymownie machnęła ręką. – Zresztą cały czas powtarzał, że gdy tylko skończy osiemnaście lat, zaraz zniknie ze Strzygomia i nigdy tu nie wróci. Nikt się temu nie dziwił. Jego ojciec był już w takim stadium, że z człowiekiem łączyło go tylko to, że chodził na dwóch nogach. Czasami, bo najczęściej było tak, że w pijanym widzie poruszał się na czworakach. Albo leżał gdzieś w rowie, zarzygany, poszczany i posrany. Przepraszam za tak dosadne wyrażenia, ale inaczej nie da się tego powiedzieć.

Diona pomyślała, że źle oceniła ojca. Cały czas była pewna, że się jej wstydzi i dlatego nie chce, by odwiedziła dziadków. Tymczasem wcale nie o to chodziło. To nie jej się wstydził, tylko tego, jakim człowiekiem był jej dziadek. Zresztą kiedy o niego pytała, już nie żył. Dlaczego nigdy jej o tym nie powiedział? Wszystko mogłoby potoczyć się całkiem inaczej. Nie poczułaby

się zraniona i nie zaczęłaby go unikać. Mieliby szansę poznać się naprawdę, zbliżyć się do siebie, stać się prawdziwą rodziną... Przełknęła gulę lęgnącą się w gardle i ponownie skupiła się na opowiadaniu Mirabelki.

– Ale Piotr ukończył tę szkołę, prawda? Przecież został oficerem, więc musiał mieć wyższe wykształcenie – zauważyła przytomnie.

– To się stało w drugi dzień świąt – powiedziała pogrążona we wspomnieniach kobieta. – Piotrek miał urodziny w Wigilię. Już od kilku lat zawsze spędzał ją u nas i wtedy też tak było. W pierwsze święto urządziłam mu przyjęcie dla kolegów, bo przecież osiemnastkę ma się raz w życiu. Pamiętam, że Jasiek zrobił mi awanturę. Mówił, że chłopcy się upiją i zdemolują nam dom, ale wiesz co? – Mirabelka uśmiechnęła się do wspomnień. – Żaden z nich nie był pijany, a Piotrek przez cały wieczór wypił tylko lampkę szampana. Został u nas na noc, a rano znaleźli starego Roszaka w rowie. Zasnął tam po pijanemu i już się nie obudził. Zamarzył na śmierć.

Diona wzdrygnęła się i znów pomyślała z żalem o niepotrzebnym trzymaniu tego w tajemnicy. Domyślała się, że ojciec nie chciał, by dowiedziała się, że jej dziadek był alkoholikiem. Ale przecież nie on za to odpowiadał.

– Jak Piotr sobie z tym poradził? – spytała po chwili.

Belka zapatrzyła się w kąt sali, lecz dziewczyna gotowa była przysiąc, że kobieta nie widzi stojącego tam stolika ani całującej się pary nastolatków.

– Upił się – odparła, uśmiechając się smutno do wspomnień. – Przyszedł do nas kompletnie pijany i prosił, żebym pomogła mu z pogrzebem. To był ostatni raz, kiedy widziałam go pijanego. – Podniosła na Dionę oczy lśniące od łez. – Zaparł się, że wyjdzie na ludzi. I dotrzymał słowa. Poprawił oceny, zdał maturę, a potem wstąpił do policji. To był dobry człowiek, ten nasz komendant. Szkoda, że nie ułożyło mu się w małżeństwie. Nie

zasłużył na takie życie i taką śmierć.

Dziewczyna natychmiast nadstawiła ucha, lecz Mirabelka nie dodała nic więcej, prócz wymamrotanych cicho, jakby do siebie, słów: „Ta Magda. Niepotrzebnie się z nią ożenił”, po czym poszła do kuchni, od dłuższego czasu wzywana przez córkę. Diona została sama, gnębiona wyrzutami sumienia. Nigdy nie zapytała ojca o kobietę będącą jego żoną, nie zainteresowała się jej zdrowiem, choć wiedziała, że choroba jest poważna i chyba postępująca. Ale wołała milczeć, zazdrosna o rodzica, którego pragnęła mieć na wyłączność.

Następne minuty nie były dla niej zbyt przyjemne. Dokonała wiwisekcji własnej duszy, wywlekając na wierzch głęboko ukryte pokłady zazdrości, niechęci i żalu. Co gorsza, naraz przyszło jej do głowy, że być może rozpad małżeństwa także nastąpił z jej winy. Może okazała się zbyt zaborcza, zbyt absorbowwała Kamila swoją osobą i w końcu poczuł się osaczony, spętany okowami miłości, która właściwie nie była niczym innym jak tylko chęcią posiadania go na własność?

Diona krok po kroku analizowała swoje zachowanie i wreszcie mogła odetchnąć z ulgą. Wcale nie zadręczała męża nadmierną uwagą. Nie oczekiwała, że każdą wolną chwilę będą spędzać razem, nigdy go nie kontrolowała i nie próbowała ubezwłasnowolnić, żądając, by zawsze mówił i myślał tak samo jak ona. Podobnie rzecz się miała z życiem erotycznym. Miała pewność, że i pod tym względem stanowili szczęśliwy, udany związek. Co zatem sprawiło, że już niespełna dwa lata po ślubie mąż zaczął szukać innych podniet?

Pokiwała głową nad własną naiwnością, która zaiste musiała być niezmierną, skoro Kamil przez blisko dwa lata z powodzeniem odgrywał rolę kochającego małżonka, podczas gdy przez cały ten czas spotykał się z innymi kobietami. Nigdy nie przyszło jej do głowy go podejrzewać. Przeciwnie, współczuła mu, że musi wyrabiać tyle nadgodzin, a on w tym

czasie kotłował się z kochanką w hotelowej pościeli. Głupia, naiwna idiotka! Gdyby zupełnie przypadkowo nie natknęła się na niego, gdy obłąpiał w samochodzie swoją najnowszą zdobycz, mogłaby nadal trwać w nieświadomości i przechwalać się, jakim to doskonałym są małżeństwem. Pamiętała dobrze, jak się zamartwiała, że nie zachodzi w ciążę. Teraz uważała, że brak dziecka to najlepsze, co ją mogło spotkać.

Diona zacisnęła wargi w wąską kreskę i opuściła salę jadalną, czując, że musi zapalić. Ręce drżały lekko, gdy wyjmowała papierosa z pudełka, i fala gniewu na byłego męża znów do niej napłynęła. Przez niego miała humor popsuty na resztę dnia, a Kamil naprawdę nie był wart, żeby w dalszym ciągu cierpieć z jego powodu. Nie ona doprowadziła do rozpadu małżeństwa i z całą pewnością nie ona kazała mu kraść. Najwyższy czas raz na zawsze pożegnać się z myślami o Kamilu Kicku, tak jak zaraz po rozwodzie pożegnała się z jego nazwiskiem.

Pociągnęła po raz ostatni i noga za nogą powlokła się do pokoju, gdzie położyła się na łóżku i wyteżęła umysł, chcąc znaleźć powód, dla którego ktoś zabił jej ojca. Ale kiedy po szesnastej przyjechał Marcin, była dokładnie w tym samym miejscu, co na początku. Motyw musiał istnieć, lecz ona nadal go nie poznała.

– Głupio się umówiliśmy – stwierdziła, moszcząc się wygodnie na siedzeniu.

Marcin upewnił się, że zapięła pas, włączył kierunkowskaz i wyjechał z parkingu przed jadłodajnią U Mirabelki. Włączył się do ruchu i dopiero wtedy zareagował na jej słowa.

– Czemu głupio? Nie chcesz tam jechać?

– Oczywiście, że chcę. Nie o to chodzi. Po prostu niepotrzebnie jeździsz wte i wewte. Przecież odzyskałam już samochód, więc mogłam przyjechać do Jodłowca.

– A wiesz, że nawet o tym nie pomyślałem? – prychnął z rozbawieniem. – Nic nie szkodzi, zrobiłem sobie wycieczkę.

– Oby tylko nie okazało się, że jechaliśmy na próżno. – Dionę znów ogarnęło czarnowidztwo. – Przecież po zabójstwie policjanci na pewno przenicowali jego mieszkanie na dziesiątą stronę i zabrali wszystko, co mogło naprowadzić na jakiś trop.

Lipski oderwał wzrok od drogi i posłał jej spojrzenie po części poirytowane, po części przepełnione podziwem.

– Jeśli przeszukali to mieszkanie tak samo skutecznie jak dom Hardego, to mamy spore szanse.

– Co masz na myśli?

– Pieniądze i kalendarz. – Wyprzedził wlokącą się ciężarówkę i dodał gazu. – Gdyby nie ty...

– Oj, przestań już. O pieniądzach nie wiedzieliście, a z kalendarzem każdy mógł się pomylić. – Diona machnęła lekceważąco ręką. – Poprosiłam Leszka, żeby poszukał w rzeczach Justyny, bo może mimo wszystko w poprzednich latach też prowadziła takie zapiski, ale wielkich nadziei sobie nie robię, bo nawet jeśli, mogła dawno je wywalić. Ja bym wywaliła.

– A ja nie. Trzymam kalendarze nawet sprzed pięciu czy sześciu lat – przyznał się, uśmiechem pokrywając zażenowanie.

– Dobrze wiedzieć, że też masz jakieś słabe strony, bo jak na razie jawiłeś się jako ideał, a tacy ludzie są na dłuższą metę nie do zniesienia – odpowiedziała z pewną dozą zgryźliwości. Zawsze gdy spotykała na swojej drodze ludzi nieskazitelnych, wietrzyła podstęp i doszukiwała się ukrytych wad.

Wkrótce dojechali do Jodłowca. Przejechali przez centrum, potem skręcili w boczną ulicę prowadzącą do pięciu bloków stojących tuż pod lasem. Marcin zatrzymał się przy ostatnim, a później poprowadził Dionę do klatki schodowej. Weszli na pierwsze piętro i stanęli przed drzwiami oznaczonymi numerem pięć. Diona zadzwoniła.

Otworzyła jej kobieta w wieku około trzydziestu lat, z nastroszonymi platynowoblond włosami i sztucznie wydętymi

wargami, przypominającymi pyszczek karpia. Niechlujnie doklejone i sterczące na wszystkie strony kępki rzęs przywiodły Dionie na myśl odnóża dużego robaka. Całości obrazu dopełniały nieprawdopodobnie obciste getry z błyszczącej lycry i nie mniej obcista bluzka, niezdolna pomieścić ogromnych piersi wylewających się z głębokiego dekoltu.

– Dzień dobry. – Diona z trudem wydobyła głos z zaciśniętej emocjami krtani, tak bardzo była podenerwowana. Naraz poczuła na ręce uspokajający uścisk i to dodało jej odwagi. – Chciałabym o coś zapytać...

– Nie kupuję u akwizytorów – przerwała jej kobieta i zrobiła ruch zmierzający do zatrzęsnięcia drzwi.

– Niczego nie sprzedaję – powiedziała szybko Diona. – Chodzi mi o Piotra Roszaka. On tu przedtem mieszkał, prawda?

– On nie żyje – burknęła tamta. – To już dwa lata, jak ktoś go zaciukał. Teraz my tu mieszkamy. Kim pani w ogóle jest?

– Przepraszam, że od razu się nie przedstawiłam. Nazywam się Dioniza Remańska i jestem... – Urwała, nie wiedząc, co powinna powiedzieć, by uwiarygodnić swoją obecność w tym miejscu.

Zanim zdołała coś wymyślić, twarz Margerity Ślimak najpierw zbladła, potem poczerwieniała, by w następnej chwili przybrać barwę popiołu. Niespodziewanie kobieta doskoczyła do Diony, chwyciła ją za włosy i pociągnęła, wrzeszcząc jednocześnie prosto do ucha dziewczyny głosem przepojonym nienawiścią:

– Nie masz prawa tu przychodzić i domagać się spadku! To wszystko jest teraz nasze. Ciotka mi zapisała. Wypierdalaj stąd albo zadzwonię po gliny!

Dionę tak bardzo zaskoczył atak, a jeszcze bardziej słowa Margerity, że stała bezwolna, pozwalając się szarpać za włosy i wyzywać. Później doszła do wniosku, że gdyby nie Marcin, zapewne wyszłaby z tej potyczki całkiem łysa i z trwale uszkodzonym słuchem. Po krótkiej chwili osłupienia Lipski

zareagował. Doskoczył i złapał kobietę za rękę, energicznie odciągając ją od Diony.

Nie dała za wygraną, lecz teraz to mężczyzna stał się obiektem ataku. Nie widząc innego wyjścia, obezwładnił ją i zakuł w kajdanki. Dopiero to sprawiło, że uspokoiła się i umilkła, bez protestów pozwalając, by wprowadził ją do mieszkania. Tam posadził ją na krześle w kuchni, przykuł do uchwytu piekarnika i uśmiechnąwszy się do Diony, ciągle zbyt oszołomionej, by zebrać myśli, skinął na nią, wskazując drzwi. Domyślając się, że chce porozmawiać na osobności, posłusznie przeszła za nim do przedpokoju. Przystanęli tuż za progiem, nie spuszczać wzroku z miotającej przekleństwa kobiety.

– Byłem ciekaw, czy kiedyś mi powiesz – rzekł, zniżając głos do niemal szeptu. – O tym, czyją jesteś córką.

– Ty... ty wiesz? Wiedziałaś przez cały czas?

Również ściszyła głos, by jej słowa nie doszły do uszu Margerity, choć była to chyba zbędna ostrożność, gdyż wrzaski kobiety zagłuszyłyby nawet odgłos wydawany przez młot pneumatyczny.

– Oczywiście, że wiedziałem – odpowiedział, przegarniając palcami jej potargane włosy. – Nie twierdzę, że od pierwszej chwili, ale kiedy zaczęłaś pytać ludzi o Roszaka, wszystko stało się jasne.

– Nie rozumiem. – Spojrzała bezradnie. – Przecież ojciec nikomu nie mówił, że ma córkę. Podobno ze względu na żonę.

– Przełożmy te wyjaśnienia na później. – Zerknął znacząco w stronę Margerity usiłującej zsunąć kajdanki z nadgarstków. – Lepiej, żeby Karyna tego nie słuchała.

Diona parsknęła śmiechem, tak doskonale to określenie pasowało do siedzącej przy stole kobiety. Musiała przyznać Marcinowi rację – wyjaśnienia mogły poczekać na dogodniejszą chwilę. Teraz ważniejsze było co innego.

– Zwróciłeś uwagę na to, że skoczyła mi do piór dopiero, gdy

usłyszała moje imię i nazwisko? Jak myślisz, co to oznacza?

– To oznacza pośredni dowód na prawdziwość mojej hipotezy. Potem ci wyjaśnię. Chodź, posłuchamy, co ma do powiedzenia.

Wrócili do kuchni. Lipski podszedł do stołu i gestem zachęcił Dionę, by usiadła, a ona uczyniła to z jeszcze większym zamętem w głowie. Jaki dowód? Jaka hipoteza? O czym on, na litość boską, mówił? Wszystko wskazywało na to, że sprawa wymknęła się spod kontroli i zaczęła żyć własnym życiem.

Marcin także usiadł, oparł łokcie na stole i długi czas wpatrywał się w twarz Margerity. Chwilę wcześniej uwolnił kobietę z kajdanek, biorąc za dobrą monetę zapewnienie, że już będzie spokojna. Na ustach igrał mu tajemniczy uśmiezek. Miał nadzieję, że jego plan sprowokowania jej się powiedzie.

– Muszę przyznać, że swoim pytaniem o obecnych mieszkańców tego lokalu wywołałaś spore zamieszanie – zwrócił się do Diony.

Zerknął przy tym ukradkiem na Margeritę i przekonał się, że zgodnie z jego przewidywaniami natychmiast przestała się wiercić i zwróciła w ich stronę czujne oczy, których wyraz przeczył malującej się na twarzy obojętności.

Z kolei Diona obdarzyła go spojrzeniem pełnym zdziwienia. Nagle uświadomiła sobie, że od chwili przekroczenia drzwi tego bloku nieustannie się dziwi, i poczuła irytację, jak zawsze wtedy, gdy zdarzenia następowały niejako obok niej, nie dając możliwości ingerowania w ich przebieg.

– Mógłbyś mówić jaśniej?

– Mógłbym – przyznał z irytującym spokojem. – Poprosiłem ojca, żeby mi to ustalił, bo sam nie miałem czasu. Zrobił to i cholernie się zdziwił.

– O, to jest nas już dwoje – przerwała mu, nie mogąc się powstrzymać. – Jeśli dojdzie jeszcze ktoś, zorganizujemy klub zdziwionych.

– Zdziwił się, bo doskonale wiedział, że mieszkanie stanowiło

osobisty majątek komendanta Roszaka, podobnie jak wyposażenie czy samochód.

– Co to znaczy, że osobisty? – spytała naraz Margerita, dając tym samym dowód, że jednak słucha ich rozmowy. – Byli z ciotką Magdą małżeństwem, czyli wszystko mieli wspólne. To chyba jasne.

Marcin skwitował te słowa, jak też pełen wyższości uśmieшек wzruszeniem ramion. Zlekceważona Margerita zerwała się z miejsca, lecz złapał ją za rękę i pociągnął, zmuszając, by na powrót usiadła.

– Siedź i nic nie kombinuj, bo znowu cię skuję. Tym razem z tyłu – ostrzegł, a zimne spojrzenie mówiło, że nie żartuje. Znow zwrócił się do Diony. – Rodzina pani Magdaleny prowadziła dość duże przedsiębiorstwo, jak się potem okazało, zajmujące się nie całkiem legalną działalnością. Mieli stację paliw i, co wykazało późniejsze dochodzenie, kombinowali nie tylko z lewym paliwem, ale też z olejem opałowym. Gdy Roszak się oświadczył, stanęli przed dylematem. Z jednej strony chcieli pozbyć się odpowiedzialności za chorą psychicznie córkę, gdyż wiedzieli dobrze, że choroba jest nieuleczalna i jej objawy mogą się nasilać. Z drugiej strony obawiali się, że zięć zacznie interesować się ich firmą, a tego z racji jego miejsca pracy chcieli za wszelką cenę uniknąć.

– Chyba rozumiem, co się stało. – Diona poczuła, jak jej wargi same układają się w kpiący grymas. – Wymogli na oj... na Roszaku spisanie intercyzy?

– Tak właśnie było – potwierdził Marcin. – Byli pewni, że w nadziei na przyszły spadek zacznie wtykać nos, gdzie nie trzeba, nie chcąc, by go oszukali. – Prychnął pogardliwie. – Każdy sądzi innych według siebie. Ślimakowie chcieli się zabezpieczyć, ale najbardziej zabezpieczyli jego. Bo kiedy oni poszli do więzienia, a ich firma w rozsypkę, Roszak nie był z nimi w żaden sposób finansowo powiązany. Pamiętasz aferę

paliwową z dwa tysiące siódmego roku? – spytał naraz.

– Pewnie, że pamiętam. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie.
– To przez tę aferę zaczęłam myśleć o wstąpieniu do policji, bo tyle o niej mówiono w mediach. Z tego, co wiem, śledztwo trwało ze cztery lata, zanim doszło do pierwszych zatrzymań, a ostatecznie zamknięto je w dwa tysiące siódmym.

Lipski odwzajemnił uśmiech.

– Wtedy wpadli także Ślimakowie – wyjaśnił. – Tylko dzięki tej intercyzie i braku kontaktów z rodziną żony komendant Roszak mógł dalej pracować w policji i nikt się go nie czepiał. Gdyby nie ona, byłoby nieciekawie. Ślimakowie dostali po pięć lat.

Diona szybko policzyła w myślach.

– W takim razie już dawno wyszli.

– Wyszli – zgodził się Marcin. – Ale znowu zaczęli kombinować, tym razem poprzez prymitywne wyłudzenie towarów i chachmęty z lewymi fakturami. Poszli do więzienia półtora roku temu, razem z synem i synową, a sąd zarządził przepadek mienia. Pewnie dlatego to milutkie rodzeństwo przypomniało sobie o ciotce.

– Jasne. Rozumiem, że w tej sytuacji uznali mieszkanie Roszaka za dar losu i zdecydowali, że warto zaryzykować zamiast skalać ręce pracą – stwierdziła Diona, rzucając Margericie pogardliwe spojrzenie. – Ale nie rozumiem, skąd ty to wszystko wiesz?

Marcin uśmiechnął się, słysząc jej napastliwy ton, i zdradził wreszcie źródło swojej obszernej wiedzy.

– Mój tata był przyjacielem komendanta. Dlatego wiedział o intercyzie, o chorobie pani Magdy... i o córce. Trochę to trwało, nim się skapowałem, że to ty nią jesteś. Po śmierci Roszaka znalazł adres rodziny Magdaleny i powiadomił ich o pogrzebie. Przyjechała tylko jedna osoba. Bratanica Magdaleny, czyli obecna tutaj Margerita. Wtedy jeszcze wyglądała normalnie, dlatego pozwolił jej przenocować w tym

mieszkaniu. Nie przewidział, że w tej na pozór pustej główce zrodzi się taki pokrętny plan.

Wyglądało na to, że Margerita bardziej przejęła się krytyką swojego wyglądu niż negatywną oceną inteligencji czy opiniami o swojej rodzinie. Przedtem milcząca, siedząca z obojętną miną, teraz dała upust oburzeniu w niewybrednym słownym ataku, obdarzając oboje po równo obelgami. Przyjęli to ze stoickim spokojem i cierpliwie przeczekali. Kiedy w końcu umilkła, Marcin do niej skierował pytanie:

– Skąd wiedzieliście, że mieszkanie stoi puste? Mów prawdę, jak nie chcesz pogorszyć swojej sytuacji.

– Ricardo to załatwił – odparła niechętnie, ale nie bez dumy. – Dał trochę hajsu jakimś gówniarzom, żeby obserwowali, czy nikt się tym kwadratem nie interesuje. To on wymyślił, że powinniśmy się tu wprowadzić.

– Jasne – mruknął. – Genialny Rysiaczek. To on znalazł testament?

– Wiecie o testamencie?! Jakim cudem?! – wykrzyknęła niemal ze zgrozą.

W następnej chwili w panice zasłoniła usta dłonią, lecz mężczyzna tylko uśmiechnął się z politowaniem.

– Przestraszyłaś się, gdy usłyszałaś imię Diony – odpowiedział i znów się uśmiechnął, gdy Margerita bluznęła przekleństwem.

– Z tego wniossek, że skądś je znałaś i że stanowiło zagrożenie. No i postraszyłaś ją policją, a wszyscy wiedzą, że patola nie wzywa policji z byle powodu.

– Nie jestem żadna patola, ty gnoju! – Wyprowadzona z równowagi, niemal wyła z wściekłości. – Mamy prawo tu mieszkać. Mama powiedziała, że należy nam się spadek po ciotce. A ta cipa się nie liczy, bo wcale się nią nie interesowała.

– Za to wy się interesowaliście, prawda? – rzucił Marcin z pogardą, ale widząc pusty wzrok Margerity, machnął ręką na próby dotarcia do jej rozsądku. Zmienił temat: – Co zrobiliście

z dokumentami Roszaka?

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

– Policja pewnie zabrała – odparła wreszcie Margerita. – Nie widziałam tu ani dowodu, ani prawa jazdy.

Diona nie wytrzymała i roześmiała się w głos. Pierwotnie miała zamiar pozostać do końca w roli obserwatora, ale teraz widziała wyraźnie, że Marcin jest u kresu wytrzymałości, i postanowiła ulżyć mu w zmaganiach z tępotą rozmówcy.

– Chodzi nam o papiery Roszaka. Rachunki, wypisy ze szpitala, umowy. Każdy ma w domu takie papiery i nie mów mi, że on nie miał. Co z tym zrobiliście?

– Lepiej dla ciebie, żeby te papiery się znalazły – ostrzegł Marcin.

Margerita milczała, gryząc wargi. Widzieli, że toczy ze sobą walkę. Wreszcie zdecydowała się na współpracę.

– Wszystko leży w szufladzie komody. W pokoju, pod oknem.

Przeszli w trójkę do pomieszczenia, w którym panował zaskakujący porządek. Widocznie Margerita potrafiła jednak robić coś więcej niż tylko dbać o swój wygląd. We wskazanym miejscu istotnie leżały pokryte kurzem grube kartonowe teczki. Diona wzięła do ręki pierwszą z nich, zdjęła gumkę zapobiegającą rozchyleniu się okładek i zaczęła przeglądać dokumenty w poszukiwaniu czegoś mogącego wskazać motyw zabójstwa lub przynajmniej na niego naprowadzić.

Przez moment zastanawiała się nad ewentualnym sprawstwem siedzącej w milczeniu kobiety i jej brata, przebywającego wedle słów Marcina w przytulnej celi w następstwie ujęcia go na gorącym uczynku, gdy pod osłoną nocy włamywał się do ciągle jeszcze nieczynnej pizzerii Leszka Hardego. „Jaki rozum, taki plan”, skwitował to Marcin, lecz sens tych słów pozostał tajemnicą dla siostry zatrzymanego.

– Nie ma szans, żebym tak na szybko coś tu znalazła – odezwała się, gdy przejrząwszy pobieżnie zawartość teczki,

stwierdziła, że ma przed sobą wyłącznie rachunki za gaz, prąd oraz abonament telefoniczny. – Muszę zabrać te papierzyska do Mirabelki i przejrzeć na spokojnie. Mogę?

– Przecież to wszystko jest twoje – odpowiedział Marcin, łypiąc groźnie na Margeritę, zamierzając coś powiedzieć. – Brak testamentu niczego nie zmienia. Jesteś jedynym dzieckiem Piotra, więc nabycie spadku powinno być tylko formalnością.

Diona zamierzała zwrócić mu uwagę, że sprawa wcale nie rysuje się tak optymistycznie. Ojciec nie żył, jak więc będzie mogła udowodnić, że faktycznie jest jego córką? Wystąpić o ekshumację celem pobrania próbek DNA?

Uprzedziła ją Margerita, odzywając się wbrew gestom Lipskiego, nakazującym jej milczenie. Skruszona mina świadczyła, że kobieta uznała swoją porażkę i postanowiła zminimalizować straty.

– To Rysiek chciał zniszczyć testament. Zgniółł go i wrzucił do kosza, ale ja go potem wyjęłam i schowałam. Przecież niszczenie dokumentów to przestępstwo, nie chciałam mieć tego na sumieniu.

Popatrzyła błagalnie na Dionę, a gdy ta wzruszyła ramionami, ze wszystkich sił starając się zachować obojętność, przeniosła wzrok na Marcina. Po krótkim namyśle mężczyzna skinął głową i polecił odszukanie dokumentu. Margerita pochyliła się nad szufladą i już po chwili trzymała w ręce zieloną teczkę wygrzebaną z samego spodu. Bez słowa podała ją Lipskiemu i wróciła na swoje miejsce, skąd co jakiś czas popatrywała na Dionę, próbując z jej twarzy wyczytać swoją przyszłość.

Marcin otworzył teczkę i na widok mocno pomiętej kartki uśmiechnął się radośnie, jakby sam został uwzględniony w odnalezionym testamencie. Podsunął dokument Dionie, by mogła naocznie się przekonać, że została wymieniona jako jedyny spadkobierca doczesnych dóbr Piotra Roszaka. Zerknąwszy raz jeszcze na wyszczególnione tam składniki

majątku, natychmiast uświadomił sobie, że muszą ustalić jeszcze jedną kwestię.

– Co zrobiliście z samochodem?

Spojrzał surowo na Margeritę. Kobieta odwróciła wzrok; bawiła się dzwoneczkami doczepionymi do bransoletki tkwiącej na lewym nadgarstku.

– Na początku Rysiek nim jeździł – odpowiedziała tak cicho, że ledwo ją słyszeli. – Ale potem zaczął się bać, że wpadnie przy jakiejś kontroli, bo skończyła się ważność badań technicznych, a w dodatku on nie ma...

Urwała i znów zasłoniła usta dłonią tym odwiecznym gestem osoby, która powiedziała zbyt wiele. Lipski posłał jej uspokajający uśmiech.

– Chciałaś powiedzieć, że nie ma prawa jazdy, bo je utracił za jazdę po pijaku? To żadna tajemnica, dobrze o tym wiemy. To gdzie w końcu jest ten samochód?

– Stoi na parkingu za blokiem. Cały, nieuszkodzony, tylko paliwo ma wyjeżdżone. W górnej szufladzie leżą dokumenty i kluczyki.

Marcin zajrzał we wskazane miejsce, gdzie rzeczywiście znajdowały się wymienione przedmioty. Wyjął je i położył na stole przed Dioną, lecz dziewczyna nawet na nie nie popatrzyła. Skupiła się na Margericie, rozważając coś w myślach. Lipski również przyglądał się skruszonej, zapłakanej kobiecie, która teraz w niczym nie przypominała bezczelnej, pewnej siebie „pani na dzielni”, na jaką przedtem pozowała.

– Konto bankowe Roszaka – rzucił niespodziewanie, a Margerita aż się wzdrygnęła. – Wybraliście wszystko do dna?

– Nie wybraliśmy! – krzyknęła, najwyraźniej przerażona podejrzeniem. – Nawet złotówki nie wzięliśmy. Rysiek nie chciał płacić nią zbliżeniowo, bo na tym zadupiu wszyscy się znają. Bał się, że ktoś zobaczy nazwisko i wszystko się wyda. Mówił, że bezpieczniej będzie pobrać gotówkę z bankomatu

i próbował...

Znowu urwała. Jak na kobietę pretendującą do roli przestępcy, Margerita mówiła stanowczo zbyt wiele. Ale Ryszard Ślimak też wielkiej kariery nie zrobił, prócz może trzech wyroków, co na trzydzieści lat życia było całkiem niezłym wyczynem. A za niedawne włamanie dojdzie mu do kompletu czwartego.

– Co Rysiek próbował? Kombinował z PIN-em i zablokował kartę?

Margerita skinęła głową, po czym spytała żałośnie:

– Co ze mną teraz będzie? Pójdę siedzieć?

Marcin nie odpowiedział, tylko spojrzał znacząco na Dionę, pozostawiając decyzję w jej gestii. Dziewczyna rozmyślała jakiś czas, niepewna, czy postępuje słusznie. Ale jakoś nie potrafiła inaczej. Patrzyła na lalkowatą twarz Margerity i współczuła tej głupiutkiej, zapatrzonej we własny wizerunek kobiecie. Widocznie nie miała nikogo, kto wytłumaczyłby jej, że ślepe podążanie za trendami lansowanymi przez osoby znane wyłącznie z tego, że są znane, nie jest najmądrzejszym wyborem.

– Jeśli o mnie chodzi, to może sobie pójść wolno. Byle szybko, żebym nie musiała jej więcej oglądać. Zaczynij się pakować – zwróciła się do Margerity. – Zabierz wszystko, bo tutaj już nie wrócisz. Podrzucimy cię na dworzec kolejowy, potem radź sobie sama.

Jeszcze nie skończyła mówić, a uszczęśliwiona takim obrotem sprawy kobieta rzuciła się do szafy, skąd wywlokła wielką torbę. Wkładała do niej odzież, nie siląc się na porządne układanie. Widocznie wizja pobytu w więzieniu podziałała jak dopalacze, gdyż nie minęło dużo czasu, a już była gotowa do drogi.

W tym czasie Diona władowała do kilku reklamówek teczek z dokumentami ojca. Po pozbyciu się Margerity Marcin odwiózł

dziewczynę pod dom Mirabelki i zamierzał pomóc wnieść reklamówki do pokoju, lecz zaskoczyła go prośbą, by to on wraz z ojcem zajął się przejrzeniem teczek.

– Boję się, że u mnie nie będą bezpieczne – wyjaśniła zwięźle, a on po krótkim namyśle przyznał jej rację.

– Nie sędzę, żeby ktoś wiedział, że byliśmy w mieszkaniu Roszaka, ale nigdy nic nie wiadomo. Widzę, że wreszcie mi zaufałaś. Szkoda, że dopiero teraz – wytknął z lekkim wyrzutem.

– Przecież cię nie znałam. W sumie dalej cię nie znam, ale teraz nie mam już wyboru – odpowiedziała szczerze.

– Piękne dzięki – rzucił sarkastycznie, lecz zaraz się rozchmurzył. – Jako właścicielka mieszkania w Jodłowcu będziesz w pewnym sensie podlegać naszej jurysdykcji, więc w twoim własnym interesie jest traktować mnie uprzejmie i z należnym szacunkiem. Całus na pożegnanie też byłby mile widziany.

Diona parsknęła śmiechem i wysiadła. Po przejściu kilku kroków odwróciła się i posłała mu ręką całusa, a potem obserwowała, jak rozbawiony mężczyzna zgrabnie zawraca i odjeżdża w stronę Jodłowca.

Rozdział 9

Świniarz

Następnego dnia po śniadaniu i kawie Diona odniosła nakrycia do kuchni i zamieniwszy kilka słów z Agatą, postanowiła odwiedzić cieszącego się nieciekawą opinią Nowosielskiego. Celowo nie poinformowała Marcina o swoim zamiarze – dobrze wiedziała, że odwodziłby ją od tego pomysłu lub upierałby się, że w trosce o jej bezpieczeństwo on także musi wziąć w tym udział. Ustalili, że skoro ktoś z komendy może być zamieszany w śmierć Justyny, istnienie kalendarza zostawia dla siebie, policja nie miała więc przesłanek, by złożyć mężczyźnie oficjalną wizytę.

Tymczasem ona nie dopatrywała się w swoim działaniu zagrożenia. Domyślała się roli Świniarza w całej tej aferze i musiała potwierdzić lub wykluczyć swoją hipotezę, by móc działać dalej. Przyjeżdżając sama, miała szansę na przeprowadzenie szczerzej rozmowy; obecność policjanta z pewnością by to uniemożliwiła.

Jacek Nowosielski wyglądał mniej więcej tak, jak opisał go Leszek Hardy – bardzo wysoki i zwalisty, o okrągłej, zaczerwienionej twarzy i małych, bladozielonych oczkach, patrzących podejrzliwie spod krzaczastych, obwisłych brwi. Szeroki kark i wielkie, zniszczone pracą fizyczną dłonie o grubych palcach podkreślały wrażenie tęgości, choć w rzeczywistości mężczyzna wcale nie był grubasem. Brzuch miał płaski, a pod rękawami flanelowej koszuli prężyły się

wyrobione mięśnie.

Diona ze zdumieniem skonstatowała, że jest jej go żal. Przygotowała się na spotkanie z kimś demonicznie złym, a to był zwyczajny mężczyzna, który zapewne nie raz ubolewał nad własnym odpychającym wyglądem. Podejrzewała teraz, że wiele konfliktów z jego udziałem brało swoje źródło właśnie w tym, że ludzie oceniali jego charakter na podstawie tego, co widzieli, a on wyczuwał ich wrogość i odpłacał tym samym.

Przywitała się uprzejmie, okraszając słowa uśmiechem. Zerknął na nią nieufnie. Widać nie przywykł do podobnych zachowań.

– Czego pani chce?

Trudno byłoby zaliczyć te słowa do miłych, lecz niezrażona dziewczyna ponownie obdarzyła uśmiechem groźnie spoglądającego olbrzymia.

– Chciałabym z panem porozmawiać. To ważne nie tylko dla mnie, ale i dla pana. – Nie zauważyła, żeby te słowa zmieniły nastawienie Nowosielskiego, więc czym prędzej dorzuciła: – Chcę porozmawiać o sąsiedniej działce. Tej z warsztatem – uściśliła.

Dookreślenie było w zasadzie zbędne, gdyż tylko jedna działka mogła być brana pod uwagę. Od frontu posesja Nowosielskiego graniczyła z drogą, od tyłu i prawej strony – z lasem i tylko po lewej miała za sąsiedztwo grunt, na którym mógłby ewentualnie stanąć nowy budynek.

Na słowa o sąsiedniej działce oczy mężczyzny błysnęły zainteresowaniem. Odsunął się od furtki, którą dotychczas zasłaniał własnym potężnym ciałem, i mrukliwie zaprosił Dionę do środka. Weszła na czysto utrzymane podwórze i wciągnawszy głęboko powietrze w płuca, stwierdziła, że opowieści o potwornym smrodzie ciągnącym z tej posesji były mocno przesadzone. Owszem, wyczuwała ten specyficzny zapasek właściwy gospodarstwu zajmującym się hodowlą

zwierząt, ale nie był ani intensywniejszy, ani bardziej uciążliwy niż gdzie indziej. Podejrzewała, że inne zarzuty wobec Nowosielskiego są prawdopodobnie tyle samo warte, co ten o zatrucaniu smrodem całej okolicy.

Gospodarz nie spuszczał z niej wzroku i jego czujnej uwadze nie umknęło zachowanie gościa.

– Zwierzęta zawsze śmierdzą – burknął. Wyczuła w jego głosie pogardę. – Jedne mniej, inne więcej, ale śmierdzą wszystkie. Ludzie też, tylko wolą o tym nie mówić, bo wtedy nie mogliby narzekać, że zapach obornika czy paszy utrudnia im życie. Nie tylko ja mam z tym problem. Znajomy hoduje krowy i ostatnio sąsiedzi zgłosili na policji, że bydło za głośno ryczy, a ich to stresuje.

– Naprawdę zrobili takie zgłoszenie? – Ze zdziwienia Diona aż przystanęła. Potem przypomniała sobie czytany niedawno artykuł o mieszcuchach, którzy po przeprowadzce na wieś zaczęli mieć pretensje do rolników, że wcześniej rano wyjeżdżają w pole. – Idioci są wszędzie, nic pan na to nie poradzi – stwierdziła. – Przecież to jest wieś. Zawsze wydawało mi się to normalne, że na wsi ludzie hodują zwierzęta. Bo gdzie mieliby to robić? W mieście? Ale jeść to każdy by chciał.

Nowosielski nie odpowiedział, lecz spojrzał na nią łaskawiej i zaprosił dziewczynę do domu. To ją ucieszyło. Wiedziała od Mirabelki, że Świniarz ma w budynku gospodarczym coś w rodzaju kantorka i właśnie tam najczęściej przyjmuje gości. Widocznie uznał ją za kogoś specjalnego, skoro dostąpiła zaszczytu przekroczenia progu budynku, w którym przebywała wyłącznie rodzina. *Niewielka rodzina*, pomyślała, przypomniawszy sobie, że Nowosielscy mają tylko jedno dziecko.

Ledwo weszli do przedpokoju, przywitał ich nieco bełkotliwy okrzyk.

– Tata!

Dziesięcioletnia może dziewczynka z charakterystycznymi cechami osoby cierpiącej na jakiś niedorozwój umysłowy podbiegła do mężczyzny i objęła go w pasie, przytulając się z całych sił. Diona zobaczyła, jak brzydka, zawzięta twarz Nowosielskiego wypogadza się, w oczach pojawia się wyraz czułości, i poczuła, jak coś dławi ją w gardle. Szybko przełknęła ślinę.

– Katinko, idź się pobawić z mamą. Przyjdę do ciebie, jak skończę rozmawiać z tą panią – odezwał się łagodnie.

Dziewczynka oderwała się od ojca, popatrzyła z ciekawością na gościa i uśmiechnęła się nieśmiało, z zawstydzeniem. Diona odwzajemniła uśmiech.

– Cześć. Mam na imię Diona. A ty?

– Kasia – odpowiedziało dziecko. Z powodu wady wymowy zabrzmiało to jak Katia i dziewczyna zrozumiała, skąd nietypowe zdrobnienie użyte przez ojca.

– Bardzo ładnie – pochwaliła szczerze. – Muszę teraz porozmawiać z twoim tatą, ale obiecuję, że to nie potrwa długo. Myk-myk i już będzie mógł się z tobą pobawić. To co, piątka?

Kasia rozjaśniła twarz w szerokim uśmiechu, a uprzednie zawstydzenie całkiem zniknęło. Z cichym chichotem wyciągnęła rękę i zachichotała jeszcze głośniejsze, gdy Diona przybiła jej piątkę. Potem popatrzyła na dziewczynę z nadzieją.

– Pobawisz się z nami?

Diona nie miała serca gasić tego uśmiechu, zresztą i tak nie zamierzała robić nic ważnego. Musiała czekać na informacje od Marcina.

– Czemu nie? – odparła, wywołując tymi słowami pisk radości. – Pobawimy się, jak skończę rozmawiać z twoim tatą, dobrze?

Dziecko skinęło poważnie głową i wycofało się w głąb budynku, a gospodarz zapraszająco otworzył pierwsze drzwi, sąsiadujące z wyjściem. Znaleźli się w pomieszczeniu będącym

ewidentnie biurkiem, o czym świadczyły regały wypełnione ustawionymi równo segregatorami i stojące pod oknem wielkie biurko z dostawionym do niego stolikiem, na którym umieszczono dużą laserową drukarkę. Przy ścianie naprzeciwko regałów znajdował się okolicznościowy stolik i cztery fotele. Całość sprawiała bardzo przyjemne wrażenie. *Elegancka prostota*, oceniła Diona w myślach. *Raczej tanio, ale z gustem, bez niepotrzebnego zadęcia*. I wbrew jej woli jej sympatia do gospodarza wzrosła.

Nowosielski nie zwykł niepotrzebnie tracić czasu. Ledwo dotknęła pośladkami szenili fotela, a już zadał pytanie, pochylając do przodu potężny tors. Ale tym razem w jego głosie nie dosłyszała nawet cienia wrogości.

– Chciała pani ze mną rozmawiać o działce należącej do tych mechaników, prawda? Czy jest pani ich pełnomocnikiem?

– Nie, nie jestem – odparła, czując dziwny żal, że będzie musiała zadać mu cios. – Chciałam zadać panu kilka pytań.

– Jakich pytań?

Głos Nowosielskiego zabrzmiał ostrzej. Diona odetchnęła głęboko niczym przed skokiem do wody, po czym... skoczyła.

– Czy zabił pan komendanta Roszaka, żeby móc zwalić winę na Drawicza i Kotlarskiego i wreszcie się ich pozbyć, czy jedynie pan skłamał, mówiąc o rzekomym konflikcie między nimi a Roszakiem?

Nowosielski poczerwieniał. Nagłym ruchem zerwał się z fotela i stanął nad Dioną, łypiąc na nią wściekle.

– Proszę natychmiast opuścić mój dom – powiedział głosem, w którym wibrowała furia. Ale nie tylko. Diona dosłyszała w nim także strach. – Wynocha! – wrzasnął, gdy nawet nie drgnęła. – Wynoś się albo poszczuję cię psami, ty... ty...

– Pan wcale nie jest taki – odpowiedziała cicho, nie ruszając się z miejsca. – Nawet nie umie pan mnie zwyzywać, bo nauczono pana szacunku dla kobiet. Dlatego wiem, że to nie

pan zabił Justynę Sojkę-Hardy, choć na pierwszy rzut oka tylko pan miał motyw.

Nie wiedziała, co spowodowało zmianę. Czy spokój, z jakim wypowiedziała te słowa, czy może ich sens? W każdym razie coś zadziało. Mężczyzna sapnął kilka razy, lecz nie próbował już jej wyrzucać. Ciężko opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Czekala. Naraz odjął dłonie od twarzy i popatrzył wprost w oczy Diony, a ona aż się wzdrygnęła. To było spojrzenie przegranego.

– Czego pani chce? – spytał głucho. – Nie mam już pieniędzy.

– Nie chcę pana pieniędzy – odpowiedziała łagodnie. – Chcę tylko odpowiedzi na pytania. – Teraz ona popatrzyła mu prosto w oczy. – Pan jest dobrym człowiekiem. Nie gnębi pana świadomość, że niewinni ludzie cierpią, bo pan skłamał?

Westchnął głośno. Diona mogła teraz czytać z jego twarzy niczym z książki. Najpierw dojrzała zawziętość i niechęć, potem zwątpienie i rezygnację. Wreszcie pojawił się na niej spokój połączony z determinacją.

– Ma pani dzieci? – Zaprzeczyła ruchem głowy. – W takim razie nie jest pani w stanie zrozumieć, jak to jest, kiedy człowiek chciałby dziecku nieba przychylić, a nie może załatwić nawet porządnej rehabilitacji. Że jest się wtedy zdolnym do wszystkiego. Ale pani tego nigdy nie pojmie, choćbym nie wiem co mówił.

– Niech pan spróbuje. Rzeczywiście nie mogę obiecać, że zrozumiem, ale będę się starać. To mogę obiecać. Ale zanim pan zacznie... Jest coś, co mnie zastanawia od chwili, gdy pana poznałam. Nie mogę tego pojąć. Pan naprawdę jest dobrym człowiekiem. Skąd więc ten pomysł z kurnikiem?

Mężczyzna zapatrzył się w nią i widać było, że kompletnie nie pojmuje pytania. Naraz w oczach rozbłysło mu zrozumienie.

– Ach, to – mruknął. – Nie tak to wyglądało. Nie całkiem tak, jeśli mam uczciwie przedstawić sprawę. Owszem, powiedziałem teściom, że powinni się przeprowadzić do kurnika, ale to było

w całkiem innym kontekście, niż oni to przedstawiają.

– Opowie mi pan? – poprosiła.

Spoglądał na nią długo, wreszcie skinął głową.

– Teściowie nie umieli pogodzić się z chorobą Kasi. Denerwował ich jej śmiech, jej mowa, zachowanie... właściwie wszystko ich denerwowało. Wstydzili się upośledzonej wnuczki i najchętniej trzymaliby ją w odosobnieniu. Ciągłe były o to awantury, a tamtego dnia oświadczyli nam ni z tego, ni z owego, że załatwili Kasi miejsce w ośrodku opiekuńczym. – Nowosielski zacisnął ogromne dłonie w pięści. – Elwira się rozplakała i wtedy nie wytrzymałem. Powiedziałem, że jeśli usłyszę jeszcze jedno złe słowo o mojej córce, to osobiście przeprowadzę ich do kurnika, zamknę drzwi na klucz, zaprę drągiem, a okna zabiję deskami. – Odetchnął głośno. – W ciągu tygodnia wyprowadziliśmy się stamtąd do wynajętego mieszkania, a potem oni przedstawili sąsiadom swoją wersję. Nie chcieli, żeby ludzie się dowiedzieli, że jedyna córka nie mogła z nimi wytrzymać. Nie dementowałem tego ze względu na Elwirę. Jacykolwiek by byli, to jednak jej rodzice. Nie chciała psuć im opinii.

– Nie wiem, czy potrafiłabym się zdobyć na taką wspaniałomyślność – wyznała Diona szczerze. – Prędzej zrobiłabym to, czym pan im groził.

Po twarzy mężczyzny przemknął uśmiech i teraz nie wydawała się ona już taka odpychająca. Stała się całkiem zwyczajna.

– Ich gadanie nie ma dla mnie znaczenia. Dopóki to nie szkodzi Elwirze i Katince, niech sobie mówią, co chcą.

– A jak to było z Drawiczem i Kotlarskim? – gładko zmieniła temat. – Jak doszło do konfliktu? Słyszałam, że kiedyś się kumpłowaliście. Skąd naraz ta nienawiść?

Nowosielski znów spochmurniał i zacisnął usta, a Diona przestraszyła się, że się zatnie i nic już nie powie, a ona

potrzebowała jego wyjaśnień jak powietrza. Na szczęście po krótkiej chwili milczenia mężczyzna opowiedział o przyczynach konfliktu.

Bogdan Kotlarski odziedziczył ten grunt na krótko przed wyprawdanką Nowosielskich ze Strzygomia. Odsprzedał koledze połowę, a ten natychmiast rozpoczął budowę domu i chlewni, ignorując uwagi znajomych, że działka jest za mała. Nie chciał tłumaczyć wszystkim dokoła, że doskonale o tym wie, lecz nie ma wyboru, gdyż jest jedyną, na jaką go obecnie stać. Przedtem prowadził hodowlę świń w obiekcie należącym do teściów, więc wszyscy wkoło uważali, że wraz z Elwirą śpi na pieniądzach. Nie mieli pojęcia, jak wiele środków pochłaniało leczenie córki.

– Ludzie nazywają mnie sknerusem. – Po twarzy przemknął mu nikły uśmiech. – I mają rację, bo to prawda, że po trzy razy oglądam każdą złotówkę, zanim ją wydaję.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Myślę, że gromadzi pan pieniądze na koncie. Nie wiedzą, że wszystko idzie na rehabilitację. A jak było z tą działką? Też zaszło jakieś nieporozumienie?

Teraz on skinął głową.

– Nie po to namawiałem chłopaków na odsprzedaż mi ich części, żeby rozbudować na niej chlewnię. Gdyby o to chodziło, mógłbym kupić grunt gdzie indziej i przenieść tam hodowlę. Zresztą tak właśnie zrobiłem. I tak zatrudniam pracowników do pilnowania obiektu, więc co za różnica, gdzie go pilnują?

Diona musiała przyznać mu rację. Dotychczas nie zastanawiała się nad tym aspektem sprawy, a powinna była, gdyż rzeczywiście upór Świniarza w dążeniu do kupna tej akurat działki był co najmniej dziwny.

– W takim razie po co to wszystko?

– Dla Kasi. Chciałem zbudować jej basen i wybieg dla kucyka. Dowiedziałem się, że pływanie i hipoterapia czynią cuda przy tego typu schorzeniach. Wkurzyłem się nie dlatego, że mi

odmówili, tylko dlatego, że najpierw się zgodzili, a potem ni stąd, ni zowąd zmienili zdanie i jeszcze w dodatku wyglądali na obrażonych.

Mężczyzna sprawiał wrażenie, że jest bardziej rozżalony niż oburzony, i sympatia Diony do niego jeszcze wzrosła. W tej chwili nie pamiętała już, że właśnie on miał najwięcej powodów do zabicia Justyny. I że z pewnością dopomógł wsadzić swoich sąsiadów do więzienia.

– Czemu zmienili zdanie? – spytała z podekscytowaniem. Czowała, że zbliża się do rozwiązania przynajmniej jednej części zagadki.

– Nie wiem. Nagle zaczęli traktować mnie jak gówna i w ogóle nie chcieli ze mną gadać. Któregoś dnia dorwałem Bogdana i chciałem przemówić mu do rozumu, ale nic z tego nie wyszło. Zyskałem tyle, że nazwał mnie kutasem, który pod pretekstem leczenia dziecka wykorzystuje innych ludzi. Nie mam pojęcia, o co mu chodziło.

I chyba naprawdę nie miał pojęcia. Takie przynajmniej sprawiał wrażenie, gdy bezradnie popatrzył na Dionę, a potem przeprosił, że w rozmowie z nią użył ordynarnego słowa. Patrzyła zafascynowana na wypływający na brzydką twarz rumieniec zażenowania i przestała się dziwić znanej jej tylko z opowiadań Elwirze, że wybrała tego mężczyznę.

– Wtedy zaczął pan ich nękać, prawda?

Nowosielski zarumienił się jeszcze bardziej; czerwona z natury cera przybrała odcień buraczkowy.

– To było głupie z mojej strony – wyznał, unikając wzroku dziewczyny. – Zachowywałem się jak dzieciak, któremu kolega zabrał zabawkę. Byłem tak wściekły, że musiałem im jakoś odplacić, a nie potrafiłem...

Opuścił głowę jeszcze niżej i umilkł. Diona ze zrozumieniem pokiwała głową, choć nie mógł tego zobaczyć.

– Cały czas zastanawiałam się, dlaczego zemsta przybrała taki

właśnie kształt. To rzeczywiście były dziecinne zagrywki; takie wysoki zazwyczaj mają nudzący się gówniarze. Dlatego do niczego mi to nie pasowało. A pan po prostu nie potrafił zrobić nic, co mogłoby wyrządzić komuś prawdziwą krzywdę, prawda?

Mężczyzna przytaknął ledwie dostrzegalnym ruchem. Potem uniósł głowę i dziewczyna mogła spojrzeć w jego udreżoną twarz.

– Ale w końcu i tak ją wyrządziłem. Teraz za to płacę. I słusznie, bo Bogdan i Mariusz też mają dzieci, które przeze mnie wychowują się bez ojców. Tylko w czym Kasia zawiniła? Pieniądze na rehabilitację przepadły i ona już nigdy...

Resztę słów stłumił głuchy szloch. Diona zagryzła wargi. Nie czuła satysfakcji, że zmusiła tego człowieka do mówienia, a na myśl, że to jeszcze nie koniec, aż ją skręcało. Jednak nie miała innego wyjścia jak kontynuować rozmowę.

– Leszek Hardy mówił, że nie chce tych pieniędzy – powiedziała cicho. – Odda wszystko co do grosza, gdy tylko policja wyda je z depozytu.

– On wie, że to ja...? Że to mnie...?

– O tym nie ma pojęcia. On myśli, że był pan kochankiem Justyny.

– Co?! – Nowosielski tak się zdziwił, że spazmatyczny oddech zamienił się w śmiech. – Zwariował?

– Po prostu był zazdrosny. Sam pan wie, że miłość może przesłonić zdrowy rozsądek. – Dała mu chwilę na przemyślenie tych słów, po czym spytała: – Co mówiła Justyna, gdy panu groziła? Panie Jacku, ja muszę to wiedzieć.

Po długim wahaniu Nowosielski odpowiedział, choć widziała, że zdradza to nader niechętnie.

– Powiedziała, że wie, co zrobiłem. I że gdyby się rozniosło, że tamci siedzą przeze mnie, ludzie ze Strzygomia by mnie zlinczowali.

Skinęła głową i podziękowała za szczerość, rozważając

w myślach dalsze kroki. W zasadzie wiedziała już to, co wiedzieć chciała. Pozostała tylko jedna sprawa.

– Pan wcale nie kłamał, mówiąc o kłótni, prawda? Rzeczywiście słyszał pan, jak dwóch mężczyzn kłóci się z Roszakiem, a potem usłyszał odgłosy uderzeń. Mam rację?

– Tak! – wybuchnął nagle. – Ma pani cholerną rację. Usłyszałem ciche głosy trzech kłócących się mężczyzn. Podszedłem bliżej, bo i tak musiałem iść w tamtą stronę.

To był ten punkt, którego nie rozumiała. Nie potrafiła odpowiedzieć sobie na pytanie, co mógł robić Nowosielski w pobliżu Chaty Strachów.

– Po co? Co pan tam robił?

Na twarzy mężczyzny znowu zagościł rumieniec zawstydzenia.

– Szedłem do Mateczki.

Diona zrozumiała. Mateczka była lokalną znachorką, którą wielu uważało za wszechwiedzącą i wszechmocną. Zwłaszcza starsze pokolenie wolało w razie potrzeby udać się do niej niż do lekarza. Panowało wśród nich przekonanie, że Mateczka potrafi zaradzić każdej dolegliwości.

Dziewczyna nie zamierzała osądzać Nowosielskiego. Wiadomo, że tonący brzytwy się chwyta. Kto wie, jak sama zachowałaby się w podobnej sytuacji? Mruknęła więc tylko coś pod nosem i zadała kolejne pytanie.

– Kim byli ci mężczyźni?

– Było ciemno, więc nie widziałem twarzy. Naraz jeden z nich podniósł głos i wtedy rozpoznałem komendanta Roszaka. Kiedy się na kogoś wkurzył, nazywał go chomątem, więc jak krzyknął: „Ty pierdolony chomącie”, to od razu wiedziałem, że to on.

– Powiedział tylko tyle? – spytała szybko, nie chcąc, by owładnęło nią wzruszenie. Ojciec rzeczywiście używał tego słowa jako najgorszej obelgi.

– Powiedział: „Ty pierdolony chomącie, nie myśl, że wam się upiecze. Prędzej czy później was dopadnę, i wtedy zapłacicie”. –

Nowosielski się zawahał. – Może nie powiedział tego słowo w słowo, ale mniej więcej tak to brzmiało. A potem usłyszałem drugiego faceta i rozpoznałem Bogdana, bo on zawsze tak dziwnie wymawia „r”. Tak je wydłuża, jak dziecko, które dopiero nauczyło się prawidłowo mówić. Powiedział, że Roszak jest kretyńcem, bo przyszedł bez broni i jest sam na nich dwóch, więc nie wygra.

– Co było dalej? – ponagliła Diona, gdy mężczyzna umilkł.

– Ten trzeci powiedział coś, czego nie dosłyszałem, a potem... potem doszły mnie odgłosy bójki. Stałem jak sparaliżowany. – Urwał i zerknął na dziewczynę. – Pani pewnie myśli to samo, co inni. Że ktoś z moim wyglądem na pewno lubi się bić. A ja nienawidzę przemocy. Dawno temu jeden jedyny raz uderzyłem człowieka i drogo za to zapłaciłem. Do dziś śni mi się jego twarz i te oczy, szeroko otwarte, niewidzące... – Wzdrygnął się i wrócił do rzeczywistości. – Ja ... ja stamtąd uciekłem. Pędziłem jak szalony, nie zważając na nic, byle szybciej dostać się do domu. Pamiętam tylko, że potrafiłem jakąś kobietę. Wtedy nie zwróciłem na nią uwagi, ale ona mnie rozpoznała. To była żona Leszka Hardego.

Diona ucieszyła się, że kolejny kawałek puzzli trafił na swoje miejsce. Cały czas ją intrygowało, skąd Justyna wzięła pomysł, że to właśnie Nowosielski jest odpowiedzialny za śmierć Roszaka. Teraz wszystko stało się jasne. Sojka-Hardy kazała mu płacić za milczenie, sądząc, że to on jest zabójcą.

– Co było dalej? – spytała, gdy mężczyzna umilkł.

– To wszystko.

– Chyba jednak nie – powiedziała i twardo, dobitnie dodała: – Zeznał pan, że widział pan całe zajście, a to nieprawda.

– Tak, skłamałem! – krzyknął z rozpaczą, wyrzucając z siebie gromadzoną miesiącami frustrację. – Kiedy opowiedziałem mu, co wtedy słyszałem, on powiedział, że to za mało, żeby sąd ich skazał. Powiedział, że jeżeli zeznam, że ich widziałem, to nie

unikną kary. Mówił, że to nic złego, bo przecież są winni. Wahałem się, ale wtedy on obiecał, że załatwi Kasi rehabilitację w klinice MSW, a tam mają takich specjalistów, do których normalnie nie miałbym szans się dostać. I jeszcze dodał, że ma dowody na to, że to ja robiłem te numery na sąsiedniej działce, i że w każdej chwili mogę za to beknąć. Wtedy się ugiąłem.

– Kto to był? Ten, który pana namawiał? – spytała bez tchu.

– Policjant, który prowadził śledztwo. Był z powiatowej, nie od nas z komisariatu. – Nowosielski znowu westchnął. – To było tak, że najpierw powiedziałem Elwirze o tym, co usłyszałem koło Strachów. A gdy na drugi dzień okazało się, że komendant Roszak nie żyje, kazała mi zgłosić się zaraz na policję i wszystko im powiedzieć. Przesłuchiwał mnie ten obcy nadkomisarz. Po kilku dniach zadzwonił, umówił się ze mną na rozmowę, a potem kazał mi przyjechać na komendę i zeznać do protokołu, że widziałem, jak oni biją Roszaka tym kluczem do kół.

– Rozumiem – mruknęła.

Chyba naprawdę rozumiała już wszystko, a przynajmniej większość zawiłych wątków składających się na tę historię. Nowosielski był pewien, że grożąc mu, Justyna miała na myśli kłamstwo, którego się dopuścił. Dlatego płacił. Tym sposobem głupie nieporozumienie stało się przyczyną tragedii.

Ale musiała się upewnić jeszcze w kilku kwestiach. Najważniejszą z nich była tożsamość zabójców.

– Jak nazywał się ten nadkomisarz?

Nowosielski się zmieszał.

– Nie umiem zapamiętać jego nazwiska. Ciągłe ucieka mi z pamięci. Ale inni będą wiedzieć, bo on jest teraz komendantem komisariatu w Jodłowcu.

Diona odetchnęła głęboko, chcąc zapanować nad emocjami. Nadal jeszcze nie знаła motywu zbrodni, ale wszystko inne układało się w logiczny ciąg, w dodatku jej domysł co do osoby

sprawcy całego zamieszania okazał się słuszny. Wiedziała doskonale, że niektórzy są w stanie posunąć się naprawdę daleko, by podnieść swoje notowania u przełożonych. Taki był Kamil, a i Gerbilaka oceniła podobnie. I jak się teraz okazało, wcale się nie pomyliła.

Kwestią otwartą pozostawało natomiast, czy to on jest tajemniczą Myszą z kalendarza Justyny. Nowosielski również nie miał pojęcia. Justyna, szantażując go, nie wspomniała o żadnej rozmowie. Zapytany o to, najpierw zrobił wielkie oczy, potem wyjaśnił, że nie zna komendanta na tyle, by wiedzieć, czy w ogóle ma jakieś przezwisko. W każdym razie on o żadnym nie słyszał. Nic więc na to nie wskazywało. Może Gerbilak krył innego policjanta? A może tylko chciał się wykazać i nie znał prawdziwego zabójcy? Kto udusił Justynę? Na te pytania Diona także nie znała jeszcze odpowiedzi.

*

– Jak to właściwie było z Nowosielskim? – spytała Diona.

Po powrocie do Strzygomia poprosiła Agatę o chwilę rozmowy i teraz siedziały w prywatnej kuchni, popijając kawę z ekspresu, która „chodziła” za Remańską od samego rana. Usłyszawszy pytanie, Drawiczowa odstawiła filiżankę. Wyglądała na zaskoczoną.

– Nie rozumiem – przyznała. – Powiedz to jakoś jaśniej.

Dziewczyna doszła do wniosku, że pytanie nie było zbyt precyzyjne. Jak zwykle założyła, że jeśli ona coś wie, to inni także to wiedzą i nie ma potrzeby dokładnie tłumaczyć.

– Chodzi mi o jego relacje z Bogdanem i Mariuszem. Podobno kumplował się z Bogdanem od czasów szkolnych i przez cały czas świetnie się dogadywali. Dlatego Bogdan sprzedał mu

działkę za taką niską cenę. Potem też żyli w zgodzie i nieraz sobie pomagali. Chciałabym wiedzieć, co takiego się stało, że nagle się zniechęcili.

Agata spochmurniała, na pogodnej, miłej twarzy pojawił się wyraz zaciętości.

– Chciał chłopaków oszukać. Zgodzili się przenieść warsztat gdzie indziej, żeby mógł w tym miejscu wybudować basen, bo żał im było dziecka. Mało brakowało, a podpisałiby tę cholerną umowę.

– Ale w końcu nie podpisali. Dlaczego?

Drawiczowa zrobiła minę, jakby chciała splunąć.

– W samą porę dowiedzieli się, że to wszystko ściema. Sukinsyn zasłaniał się chorobą dziecka, żeby wymusić na chłopakach sprzedaż, w dodatku za niską cenę, a wcale nie zamierzał budować tam basenu, tylko następne budynki gospodarcze.

Diona westchnęła cichutko. Zatem Nowosielski nie kłamał – oni rzeczywiście byli przekonani o jego nieuczciwości. Gdyby wymyślili to sami, by dzięki tej wymówce odstąpić od umowy, Agata na pewno wiedziałaby o wszystkim. Ewka również. Dziewczyzna zdążyła się już zorientować, że małżonkowie tych dwóch kobiet nie mieli przed nimi tajemnic. Komuś zatem musiało zależeć na poróżnieniu mężczyzn. Tylko w jakim celu?

– Nie wiesz przypadkiem, skąd się o tym dowiedzieli? – spytała szybko i w napięciu oczekiwała na odpowiedź.

Agata zawahała się i popatrzyła na Dionę niepewnie.

– Nie wiem, kto to był. Jakiś ważny klient, ale nie znam nazwiska. Mariusz go nie cierpiał i czasem mówił o nim „ten kutas z Żywca”. Ale najczęściej nazywał go Ebby, od Ebenezera Scrooge’a, bo ponoć facet był potwornie skąpy i pazerny na darmochę. Ścięli się kilka razy o zapłatę, a później omal nie doszło między nim a Bogdanem do bójki. – Niespodziewanie Agata parsknęła śmiechem. – Twierdził, że Bogdan go

przedrzeźnia. Wyobrażasz to sobie? Dorosły, poważny facet, a zachowywał się jak dziecko w przedszkolu.

Diona poczuła, że z emocji zaschło jej w gardle. Czym prędzej dopiła resztę kawy, z głośnym szczękiem odstawiła filiżankę i złapała Agatę za rękę.

– O co chodziło z tym przedrzeźnianiem? Wiesz, jak to było?

– Nie pamiętam. To było ponad dwa lata temu. Akurat w tym dniu Aniela złamała nogę, więc nie miałam głowy do takich bzdur. Może i Mariusz coś mówił, ale naprawdę nie pamiętam. Ewka pewnie będzie wiedziała, bo Bogdan jej o wszystkim opowiada.

– Zapytam ją. – Entuzjazm Diony znacznie opadł. Doszła do wniosku, że niepotrzebnie robiła sobie nadzieję. To byłoby zbyt piękne. – Powiedz mi jeszcze, komu powiedział o tych rewelacjach na temat Nowosielskiego? Mariuszowi czy Bogdanowi?

Tym razem Agata nie miała najmniejszych wątpliwości.

– Bogdanowi. Przyjechał niespodziewanie i przeprosił za tamtą awanturę. Powiedział, że wina leżała po obu stronach, ale on nie chowa urazy, a na dowód, że mówi prawdę, powie mu, czego się dowiedział o Świniarzu.

– A Bogdan tak od razu mu uwierzył?

– Tak od razu to nie. Poszedł do rodziców Elwiry, żeby spytać, czy to prawda. Wiedział, że nie znoszą zięcia, więc nie będą go kryć.

– Chryste Panie, dziewczyno! – Diona aż poczerwieniała z emocji. – Uwierzył obcemu facetowi i ludziom, którzy nienawidzili Jacka jak zarazy, a nie uwierzył człowiekowi, którego znał od lat? Wiesz co? Właściwie wcale się nie dziwię Nowosielskiemu, że się mścił. Też bym się wkurzyła, gdyby ktoś tak ze mną postąpił.

Drawiczowa posłała jej spojrzenie pełne urazy; ściągnięte brwi i zaciśnięte wargi świadczyły, że poczuła się dotknięta.

– Myślałam, że jesteś po naszej stronie – powiedziała tonem, w którym próżno byłoby doszukiwać się uprzedniej zażyłości.

– Jestem po stronie prawdy – odpowiedziała Diona zimno. – A prawda wygląda tak, że to nie Nowosielski skłamał, tylko tamten facet. – Dostrzegłszy na twarzy Agaty wyraz niedowierzania, wzruszyła ramionami. – Przejdź się do Świercznicy, to sama się przekonasz. Nowosielski już dawno kupił tam ogromną działkę, bo ma zamiar przenieść w to miejsce całą hodowlę. Budynki są prawie na ukończeniu. A teściowie rozsiewali o nim plotki, bo nie chciał oddać córki do zakładu. Nigdy nie zauważyłaś, jak bardzo wstydzą się upośledzonej wnuczki?

Agata zastygła na kilka chwil z filiżanką podniesioną w pół drogi do ust. Po czym wolno ją odstawiła.

– Ty... ty nie żartujesz? – Wpatrywała się z napięciem w twarz rozmówczyń, chcąc znaleźć tam odpowiedź. – To dlatego zeznawał przeciwko nim – powiedziała głucho i ukryła twarz w dłoniach. – Dlatego skłamał.

Diona doskonale wiedziała, że powody kłamstwa były bardziej złożone, lecz nie zamierzała wspominać o tym Drawiczowej. Ważniejsza wydawała jej się rozmowa z Ewą Kotleńską. Kobieta prawdopodobnie miała informacje, których Agata znać nie mogła, gdyż to nie jej zwierzał się Bogdan po powrocie z pracy. Informacje, które mogła znać tylko żona.

– Muszę pogadać z Ewką – powiedziała cicho, bardziej do siebie.

– Powiem jej, żeby tu przyszła. – Agata odjęła dłonie od twarzy. – Wychodzi na to, że to nasi mężowie sprowokowali Świniarza do wrobienia ich w zabójstwo. Będziemy musiały jakoś to naprawić.

Wstała, lecz zanim podeszła do drzwi, te się otworzyły i stanęła w nich Aniela. Prawą rękę trzymała za plecami, a na jej buzi rysowała się radość połączona z poczuciem winy. Nie

trzeba było zdolności detektywistycznych, by domyślić się, że dziewczynka zrobiła coś, co niekoniecznie uszczęśliwi jej matkę.

– Cześć, ciociu – powitała Dionę. – Mamo, Janeczka dała mi myszę.

– Mówi się mysz, a nie myszę – poprawiła matka. – Jaka myszę, na litość boską? – spytała słabym głosem, zapominając, że dopiero co pouczała córkę, jak prawidłowo odmienia się słowo „mysz”. – Taką polną?

– Mamo!

Wzorem tysiąca innych nastolatków Aniela wywróciła oczami w pogardzie dla matczynej niemożności zrozumienia spraw oczywistych. Nie przyniosło to spodziewanego skutku. Agata nie tylko się nie zmieszała, ale gdy doszła już do siebie po pierwszym zaskoczeniu, spojrzała na córkę wzrokiem inkwizytora.

– Ty mi tu nie mamuj, tylko powiedz, co za zwierzaka znowu przywlokłeś do domu. Co to za mysz? No pokaż.

Dziewczynka posłusznie wyjęła rękę zza pleców. W stanowczo zbyt małej jak na gabaryty zwierzęcia klatce siedziało podobne z wyglądu do myszy zwierzątko o lśniącej czarnej sierści. Diona nie miała pojęcia, co to za zwierzę; nigdy jeszcze takiego nie widziała, choć bez wątplenia należało do gryzoni.

– Przecież to nie żadna mysz, tylko myszoskoczek! – wykrzyknęła Agata, zwalczywszy początkowe osłupienie.

– Wujek Leszek powiedział, że mysz – upierała się dziewczynka. – Mówił, że to taka mysza hodowana na sterydach, dlatego jest taka duża.

– Wujek sobie zażartował. Powiedz lepiej...

Dalszych słów Agaty Diona już nie dosłyszała, całą uwagę poświęcając opanowaniu targających nią emocji. Teraz zyskała pewność, kogo dotyczył zapis w kalendarzu Justyny. Miała ochotę natychmiast podzielić się tą informacją z Marcinem, najpierw jednak musiała porozmawiać z Kotleńską.

Przekazywanie mu wiadomości na raty nie miało sensu, w dodatku obiecali sobie przecież, że nie będą rozmawiać przez telefon o niczym ważnym. Wprawdzie podejrzenie, że któryś z telefonów jest na podsłuchu, zakrawało na paranoję, ale z drugiej strony nie mogli przysiąc, że tak nie jest. Gerbilak musiał mieć zaplecze w postaci kogoś bardzo wpływowego, inaczej nie zdołałby przeprowadzić takiej skomplikowanej intrygi.

Kotlarska pojawiła się po kilku minutach. Chwilę rozmawiały o nowym członku rodziny Drawiczów, Ewka bowiem miała całkowitą pewność, że Aniela postawi na swoim i młody myszokoczek, którego dziewczynka zdążyła już ochrzcić imieniem Geralt, zostanie w tym domu na zawsze. Później Diona zręcznie naprowadziła na konflikt Bogdana z tajemniczym Ebbym, doszedłszy do wniosku, że kobieta prędzej przypomni sobie wszystkie szczegóły, jeśli nie będzie znajdowała się pod presją. Informowanie, jak wielkie znaczenie ma odpowiedź, mogło ją niepotrzebnie zdeprymować.

– Ten facet to jakiś idiota z przerostem ego. Ciągłe powtarzał Mariuszowi, że jak zechce, to może ich załatwić. Że jedno jego słowo wystarczy, żeby zamknięto warsztat. Rzucił jakieś aluzje do tego, że na pewno robią machlojki z samochodami – opowiadała Kotlarska, gniewnie łypiąc oczami. Diona nie przerywała jej, choć wszystko to wiedziała już od Agaty. – Chciwus pieprzony! Straszyl ich, bo chciał, żeby mu naprawiali tego rzęcha po kosztach albo w ogóle za darmo.

– Dali się na to nabrać?

– A gdzie tam! Przecież jakby naprawdę był taki ważny, toby jeździł jakąś wypasioną furą, a nie dziesięcioletnią corollą.

– Widziałaś to auto? – szybko spytała Diona.

– Nie, skądże – zaprzeczyła Kotlarska. – Bogdan mówił, że ma ponad dziesięć lat i sypie się niczym łupież.

– Podobno pokłócił się z twoim mężem i Bogdan kazał mu

wypierdalać. Wspominał coś o tym?

Pytanie najpierw wywołało konsternację. Później Ewa przypomniała sobie zdarzenie znane jej z opowieści męża i roześmiała się serdecznie.

– To było prawdziwe mistrzostwo świata. Wiesz, przedtem ten facet nigdy nie spotkał się z Bogdanem...

– Jak to możliwe?

– Oni podzielili się obowiązkami tak, że to Mariusz zawsze rozmawiał z klientami – wyjaśniła Kotlarska. – On jest bardzo kontaktowy, ma gadane i potrafi czarować, a mój Bogdan to taki bardziej mruk.

– Aha – skwitowała dziewczyna. – Co wynikło z tego spotkania?

– Nic dobrego. Tamten się wkurzył, bo zażądał rozmowy z Mariuszem, a Bogdan go przeprosił i powiedział, że to niestety niemożliwe.

Ewka umilkła. Diona czekała na ciąg dalszy, a gdy ten nie nastąpił, popatrzyła na kobietę z niedowierzaniem. Nie potrafiła doszukać się w odpowiedzi Kotlarskiego niczego, co mogłoby zostać uznane za przedrzeźnianie, puenta musiała więc tkwić gdzie indziej. Świadczyły o tym błyszczące rozbawieniem oczy Ewy.

– Naprawdę tylko tyle mu powiedział?

– Naprawdę. Ale wcale nie chodziło o sens, tylko o sposób wypowiedzi.

– Nie rozumiem.

Diona popatrzyła bezradnie. Na widok jej miny Kotlarska parsknęła śmiechem i wyjaśniła:

– Nie wiem, czy uda mi się dobrze przedstawić ten dialog, ale spróbuję. To trzeba usłyszeć. Ten facet powiedział: „Żądam natychmiastowej rrozmowy z Marrriuszem Drrrawiczem”. A Bogdan odpowiedział: „Przeprrraszam, ale to niemożliwe. Marrriusz Drrrawicz jest nieobecny”.

– Matko święta – szepnęła Diona zdławionym głosem. Fala emocji niemal odebrała jej zdolność mówienia.

Ewka odebrała jej słowa zupełnie inaczej i czym prędzej zaczęła tłumaczyć zachowanie męża. On wcale nie chciał faceta przedrzeźniać, tylko pechowo ma identyczną wadę wymowy. To właśnie dlatego Mariusz rozmawia z klientami, bo Bogdan...

– Przestań – przerwała jej Diona, której ten potok słów nie pozwalał się skupić. – Błagam, zamknij się chociaż na minutę.

Obrażona Kotlarska zamilkła. Po dłuższym czasie Diona zwróciła się ku niej z oczami jaśniejącymi radością i szerokim uśmiechem na ustach.

– Coś ty naraz taka ścieszona? – burknęła Ewka, w dalszym ciągu urażona bezceremonialnym nakazem zachowania milczenia.

Diona machnęła niecierpliwie ręką. Gest był tak szeroki, że trafiła w filizankę Kotlarskiej, zmiatając ją ze stołu. Filizanka przefrunęła przez kuchnię i z głośnym trzaskiem uderzyła w kaloryfer, rozbijając się w drobny mak, lecz dziewczyna nawet nie spojrzała w tamtym kierunku.

– Nie strzelaj teraz focha, tylko lepiej powiedz, czy wasi mężowie prowadzili jakąś ewidencję klientów.

Nieco ogłupiała rozwojem sytuacji Ewa potrzebowała kilku chwil, by udzielić niezbyt skomplikowanej odpowiedzi.

– Nie mam pojęcia.

– A mogłabyś to sprawdzić? Macie przecież klucze od warsztatu i na pewno zagłądacie tam, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku.

– No... mamy. Ale o co właściwie ci chodzi?

– Żebyś przywiozła stamtąd listę klientów. Muszę poznać nazwisko tego faceta. Teraz rozumiesz?

Kotlarska nie wyglądała na osobę rozumiejącą cokolwiek. Spoglądała na Dionę z otwartymi ustami, potem potrząsnęła bezradnie głową.

– Jak mam szukać nazwiska, którego nigdy nie słyszałam? – spytała słabym głosem, nie ruszając się z miejsca.

– Jezu Chryste, kobieto! Myślże trochę. Mówiłaś kiedyś, że klientami waszych mężów są w większości okoliczni mieszkańcy. Chodzi o ten jeden konkretny dzień. Naprawdę uważasz, że akurat wtedy pojawili się w warsztacie sami obcy?

– Diona zauważyła w oczach Ewy błysk zrozumienia i odetchnąwszy z ulgą, dokończyła już spokojnie: – Pojedźcie tam jeszcze dzisiaj, bo to cholernie ważne. Ja muszę teraz zadzwonić w kilka miejsc. Potem pojadę pogadać z pewną osobą, ale do dwóch godzin powinnam być z powrotem. Wtedy się temu przyjrzymy.

W pokoju wydobyła spod dużej prostokątnej donicy notatnik z ważnymi zapiskami i włożyła go do dużej torebki, zakupionej w ciucholandzie w Jodłowcu. Torebka nie prezentowała się zbyt elegancko. W nieciekawym brązowym kolorze i z widocznymi śladami użytkowania, nie mogła stanowić obiektu tęsknych westchnień żadnej kobiety, ale miała jedną ważną zaletę – mieściła w sobie notatnik i wszystkie inne niezbędne przedmioty. Diona miała już serdecznie dość upychania ich po kieszeniach, a gdy jeszcze zobaczyła cenę, nie wahała się ani sekundy dłużej. Dziesięć złotych to mniej niż równowartość paczki papierosów, grzechem byłoby nie kupić.

Kiedy wyszła z budynku, zauważyła wyjeżdżający z parkingu samochód Mirabelki. Dojrzała siedzącą za kierownicą Agatę i Ewkę na miejscu pasażera. Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Widocznie one także pojęły, że lepiej załatwić to od razu, zanim zabójca uświadomi sobie, że ewidencja naprawianych samochodów może naprowadzić kogoś na jego ślad.

*

Polana przy Chacie Strachów wyglądała całkiem zwyczajnie. Dość duża, otoczona wysokimi świerkami i jodłami, porośnięta trawą i krzewinkami jagód, na pierwszy rzut oka nie różniła się od tysiąca innych leśnych polan. Dopiero gdy podeszło się bliżej, można było dostrzec, że liściaste drzewa na jej środku to nie graby czy klony, lecz pozostałość po rosnącym tu kiedyś sadzie.

Diona pogładziła chropowaty pień starej czereśni, podeszła do następnego drzewa, zerwała małe czerwone jabłko i wbiła w nie zęby. W następnej chwili z obrzydzeniem wypluła miękki, suchy miąższ i wyrzuciła nadgryziony owoc w wielką kolonię pokrzyw. Już miała odejść, gdy tknięta nagłą myślą, zaczęła wpatrywać się uważnie w sięgające jej do brody badyły. Wiedziała, że z nieznanых jej przyczyn pokrzywy upodobały sobie miejsca, gdzie kiedyś wznosiły się jakieś budowle, zatem z wielkim prawdopodobieństwem i te tutaj wykorzystwały stare fundamenty do założenia własnej cywilizacji. Nie dostrzegła jednak niczego, toteż po chwili zawróciła na ścieżkę. Ciekawość nie była tak wielka, żeby dla jej zaspokojenia miała dobrowolnie wchodzić w pokrzywy.

Ruszyła naprzód, by zgodnie ze wskazówkami udzielonymi przez Mirabelkę na rozwidleniu leśnej drogi pójść w lewo. Droga w prawo prowadziła do Jodłowca i to właśnie na niej Nowosielski zderzył się z wracającą do domu Justyną. Natomiast tą w lewo można było dojść do sąsiedniej wsi, lecz spora odległość oraz fakt, iż po niespełna dwóch kilometrach w miarę wygodna droga zmieniała się w leśne wertepy, nie sprzyjały częstemu wykorzystywaniu tej trasy komunikacyjnej.

Diona nie zamierzała iść tak daleko; interesował ją obiekt znajdujący się znacznie bliżej. Według słów Mirabelki chatka powinna ukazać się po lewej stronie po przejściu około pięciuset metrów. I rzeczywiście po jakimś czasie dziewczyna

dojrzała między drzewami ostrą czerwień zwieszających się z parapetu pelargonii, a zaraz potem ścieżkę prowadzącą w kierunku niedużego, starego domu.

Mimo późnej jesieni małe podwórze tonęło w kwiatach. Diona na próżno szukała w pamięci ich nazw. Nigdy nie miała ręki do roślin, toteż niezbyt się nimi interesowała. Teraz jednak przystanęła, schyliła się i musnęła czubkami palców aksamitne, złociste płatki.

– Dzień dobry. Możesz urwać sobie na bukiet. Będą pasować do tych złotych oczu.

Dziewczyna wyprostowała się gwałtownie, słysząc tuż za sobą dźwięczny, niemal młodzieńczy głos. Wygląd kobiety również rażąco kontrastował z wyobrażeniem dziewczyny o Mateczce. Zresztą nie było to wyłącznie wyobrażenie oparte na domysłach, gdyż tak Mirabelka, jak i inni mieszkańcy Strzygomia mówili o tej kobiecie jak o staruszce. Tymczasem przed Dioną stała niewysoka, szczupła pani o nieskażonych siwizną rudych włosach, gładkich policzkach i błyszczących żywą inteligencją zielonych oczach.

– Dzień dobry – odparła Diona niepewnie. Przenikające ją na wskroś spojrzenie wywoływało dziwny niepokój. – Przepraszam, że przeszkadzam. Przyszłam do Ma... do pani Jemiołuszki.

Kobieta roześmiała się serdecznie.

– Może być Mateczka, wszyscy tak o mnie mówią. A wiesz dlaczego? Nie mogą zapamiętać mojego nazwiska. Nie masz pojęcia, co niektórzy byli w stanie wymyślić. Makolągwa, Kuropatwa, a nawet Muchołówka. Chodź, dziecko, do izby, tam powiesz, co cię do mnie sprowadza.

W pomieszczeniu będącym bez wątpienia kuchnią prawie połowę powierzchni zajmował rozłożysty kaflowy piec, nad którym zwieszały się pęki ziół. Ściany również były nimi obwieszane, a na ławie ustawionej wzdłuż pieca Diona dostrzegła rzędy słoiczków ozdobionych naklejkami.

Przypominało to aptekę, taką, jaką zapamiętała z dzieciństwa.

Mateczka wskazała jej miejsce przy stole nakrytym kraciatą ceratą i usiadła naprzeciw. Zauważyła widać spojrzenia gościa, omiatające ciekawie wszystkie kąty, znów bowiem się roześmiała.

– Nie mam szklanej kuli ani fusów do wrózenia. Jestem zielarką, nie czarownicą.

– Ale ja wcale... ja nie... – jąkała się Diona. Chyba jeszcze nigdy nie czuła się tak niepewnie, jak pod wszechwiedzącym wzrokiem tej dziwnej kobiety.

– Chcesz powiedzieć, że nie potrzebujesz pomocy. – Mateczka ze zrozumieniem pokiwała głową. – Masz rację. Widzę, że ciało masz zdrowe. Jesteś gibka, wysportowana i silna. To duszę masz chorą.

Diona poderwała się jak dźgnięta nożem.

– Co też pani opowiada?! – oburzyła się, łypiąc gniewnie na siedzącą spokojnie kobietę. – Nie jestem żadną świruską, ani tym bardziej chorą z miłości kretynką.

– Nie jesteś – zgodziła się Mateczka. – Ale dręczą cię żal i poczucie krzywdy. Niepotrzebnie je hołubisz. Nie pozwalasz im odejść i jak tak dalej będzie, wkrótce zamienią się w nienawiść, a to bardzo niszczące uczucie. Pożre cię, zanim się spostrzeżesz. Opowiedz mi o tym, będzie ci potem lżej.

Zielone oczy spoglądały ze zrozumieniem, a gdzieś na ich dnie Diona dojrzała mądrość wielu pokoleń. Zdradzały prawdziwy wiek kobiety, a teraz wywierały tak hipnotyzujący wpływ, że wbrew sobie Diona zaczęła mówić. Gdy skończyła, otarła mokre policzki, pociągnęła kilka razy nosem i spytała dość żałośnie, ale z jednoczesnym przebłyskiem humoru:

– Co mi pani doradzi? Ziele zapomnienia, żebym przestała marzyć o urwaniu kutasa temu kutasowi?

Mateczka uśmiechnęła się lekko.

– Nic ci nie doradzę, bo sama dasz sobie radę. Już zaczęłaś

z tego żartować, a jeszcze przed chwilą nie byłabyś do tego zdolna. Wyrzucaj z siebie ten żal. Nie wolno ci dusić go w sobie. Jeśli nie potrafisz inaczej, to zrób kukiełkę przedstawiającą byłego męża i dźgaj ją nożem albo wbijaj w nią szpilki.

Rozśmieszona radą Diona nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Potem spoważniała.

– Dziękuję. Chyba rzeczywiście powinnam była już dawno przed kimś się wygadać, bo jakoś mi teraz lżej. Ale nie przyszedł tutaj w mojej sprawie. Muszę panią spytać o Justynę Sojkę-Hardy. Czy ona tutaj kiedyś była?

Kobieta o mądrych oczach wolno skinęła głową.

Rozdział 10

Prokurator

Zyta Zawada okazała się sympatyczną, niezbyt ładną kobietą w wieku około trzydziestu pięciu lat. Ciemnowłosa i ciemnooka, nie wykazywała nawet śladu zewnętrznego podobieństwa do brata. Ale rozmawiało się z nią tak samo łatwo jak z Marcinem, a i poczucie humoru mieli podobne. Spotkały się w kawiarni z dala od komendy, żadna bowiem nie chciała wystawiać się na widok. Wolały, by nie dojrzały ich ciekawskie oczy.

– Twoje informacje są prawdziwe. Rzeczywiście śledztwo w sprawie komendanta Roszaka prowadził komisarz Gerbilak. Przepraszam, nadkomisarz – poprawiła się Zyta z ironicznym uśmiechem. – Podobno był bardzo wrażliwy na tym tle.

– Dowiedziałaś się może, dlaczego nałożyli na informacje takie embargo, że nawet osoba prowadzącego stanowiła tajemnicę?

Zyta zrobiła przeproszającą minę.

– Wszyscy, z którymi rozmawiałam, twierdzą, że nie było na to jakichś specjalnych nacisków. Że wprawdzie naczelstwo uczułało, żeby nie kłapać pyskiem i nie wywlekać policyjnych spraw na forum publiczne, ale nie stosowano żadnych pogroźek typu „jak kto coś wygada, to wyleci z roboty”.

– To normalne, że sprawy policji zostają w policji, ale mimo wszystko... – Diona pilnowała każdego słowa, by nie zdradzić, ile wie. A wiedziała już całkiem sporo. – Trochę to dziwne, że nawet policjanci z komisariatu w Jodłowcu nie wiedzieli, kto jest prowadzącym w śledztwie w sprawie zabójstwa ich

komendanta. Na ogół takie wieści rozchodzą się w mig.

Popatrzyła ze zdziwieniem na Zytę, która zamiast odpowiedzieć rozglądała się podejrzliwie po lokalu. Siedziały przy stoliku w rogu i miały stąd doskonały widok na całą salę. Po chwili policjantka zakończyła skanowanie lokalu i pochyliwszy się ku Dionie, rzekła ściszym głosem:

– Na zewnątrz może milczeli, ale nikt nie powstrzyma ludzi od rozmawiania między sobą. Słyszałam, że to właśnie Gerbilak wprowadził te obostrzenia. Może się bał, że dostanie w ryja? Bo ludzie gadają, że miał cholerne parcie na sukces i że ponoć nie wszystko w tym śledztwie było uczciwie poprowadzone.

– Tak właśnie mi się wydawało – powiedziała Diona oględnie.
– Powiedz, nie słyszałaś przypadkiem jakichś plotek o tym, że Gerbilak ma tu kogoś, kto pcha go w górę? Jakiegoś wujka czy kumpla ze szkolnej ławy?

Zamyślona Zyta uniosła filiżankę i wolno upiła łyk kawy. Potem równie wolno odstawiła filiżankę na spodek.

– Wiesz, to ciekawe, że o to zapytałaś. Ja nie poznałam Gerbilaka, przyszłam do wydziału, kiedy jego już nie było. Ale z tego, co o nim słyszałam, wysnułabym raczej przeciwny wniosek.

– To znaczy, że ktoś chciał mu dać kopa w dół?

– Dokładnie tak. Naczelnik go nie znosił. – Zyta zachichotała.

– Do teraz jego ulubionym powiedzeniem jest „głupi jak Gerbilak”.

– A jednak tamten dostał awans na podinspektora – przypomniała Diona. – Czyli to chyba nie do końca prawda z tym nielubieniem.

– Nie masz racji, choć z zewnątrz może to tak wyglądać. Z tego, co wywnioskowałam z zachowania i słów naczelnika, ktoś z góry na niego naciskał, więc nie miał wyjścia i musiał podać Gerbilaka do awansu. I ciągle nie może tego przeboleć, zwłaszcza że był to awans przedterminowy, bo nie upłynęły

jeszcze trzy lata od czasu, gdy ten awansował na nadkomisarza.

Nic więcej Zyta nie wiedziała. Pracowała w wydziale zbyt krótko i nie poznała jeszcze wszystkich plotek, poza tym wcale nie miała pewności, że w ogóle jest co poznawać. Diona przyznała jej rację. Gdyby nieznanemu sprzymierzeniec czy wspólnik Gerbilaka służył w tym samym wydziale, prędzej czy później ich relacja stałaby się publiczną tajemnicą. Zatem była to osoba zajmująca stanowisko gdzieś wyżej, co zresztą wynikało ze słów Nowosielskiego. Niestety Diona dalej nie miała pojęcia, kto mógł być tym drugim i jaki mieli motyw pozbycia się Piotra Roszaka.

– Nie wiesz, jak to wyglądało od strony prokuratury? – spytała, gdy Zyta zaczęła zbierać się do wyjścia. – Słyszałam, że śledztwo nadzorował jakiś Bilecki, ale niczego więcej nie udało mi się dowiedzieć.

– Bilecki? – zastanawiała się policjantka. – Możliwe. Spróbuj z nim pogadać. Nie znam go za dobrze. Osobiście uważam, że ma zbyt wielkie mniemanie o sobie, ale może przesadzam, bo kolega z pokoju uważa go za normalnego gościa. Wiesz, co mam na myśli.

Diona wiedziała. Normalny, czyli nietraktujący policjantów jak służących, nieczepiający się byle detalu i niepodkreślający na każdym kroku, że wszystko wie lepiej. Jeśli taki właśnie był Bilecki, istniała szansa, że potraktuje jej informacje poważnie i nada sprawie bieg, mimo że godziła w jego wcześniejsze ustalenia.

Zanim się rozstali, Zyta obiecała popytać współpracowników, czy nie słyszeli o jakimś konflikcie pomiędzy Gerbilakiem a właścicielami warsztatu samochodowego, mającym miejsce w niezbyt odległej przeszłości. Dionę zastanowiło bowiem, dlaczego akurat oni zostali wybrani do roli zabójców. To prawda, że w pewnej mierze obciążało ich zeznanie

Nowosielskiego o podsłuchanej kłótni, ale namówienie go do kłamstw wydało jej się aktem desperacji. Mężczyzna w każdej chwili mógł zmienić zdanie, a wtedy Adam Gerbilak miałby poważne problemy.

Jadąc we wskazanym przez nawigację kierunku, Diona usiłowała rozgryźć kwestię motywu. Pozbycie się komendanta, by później zająć jego miejsce? Gdy o tym pomyślała, omal nie parsknęła śmiechem, tak bardzo pozbawiona sensu wydała jej się ta hipoteza. Stanowisko komendanta gminnego komisariatu nie stanowiło aż tak tłustego kąska, by dla niego zabijać. Musiał istnieć jakiś inny powód. Dziewczyna czuła, że cały czas umyka jej coś ważnego, coś, o czym już słyszała, lecz zlekceważyła to jako nieistotną kwestię. Niestety mimo wytężania pamięci nie mogła sobie tego przypomnieć.

*

Podjeżdżając pod budynek prokuratury, Diona nie miała żadnego planu, dlatego pytanie sekretarki o cel wizyty początkowo zbiło ją z tropu. Nie chciała mówić tej kobiecie o zaskakujących informacjach uzyskanych od Nowosielskiego; nie mogła dopuścić, by wieści się rozniosły, zanim dojdzie do zatrzymania sprawcy, a nie miała żadnego powodu, by komukolwiek ufać. Przeciwnie, skłaniała się raczej do tego, by nie ufać nikomu.

Bileckiemu musiała jednak te informacje przekazać, inaczej stałaby się cichym współnikiem zabójcy, postanowiła więc zrobić wszystko, by dostać się przed oblicze prokuratora. Dlatego uciekła się do podstępu, tłumacząc cierpliwie siedzącej przy biurku kobiecie o ładnej, lecz niesympatycznej, nadętej twarzy, że przyjechała do prokuratora Bileckiego w związku ze

sprawą prowadzoną przez inną jednostkę. Purchawka, jak Diona ochrzciła sekretarkę w myślach, zażyczyła sobie dokładniejszych objaśnień, lecz dziewczyna zbyła ją kilkoma frazesami o bezwzględnej konieczności zachowania całkowitej tajemnicy. Wreszcie kobieta łaskawie zgodziła się wpuścić Dionę do strzeżonego niczym Fort Knox gabinetu prokuratora, choć uczyniła to z wręcz namacalną niechęcią.

Michał Bilecki okazał się bardzo przystojnym mężczyzną. *Nie aż tak, jak Adam Gerbilak, ale niewiele mu brakuje do komendanta*, stwierdziła Diona w myślach, przyglądając mu się ukradkiem. Szczupła, wysportowana sylwetka, brązowe włosy o miedzianym połysku i brązowe oczy, gładko wygolona twarz o regularnych rysach – wszystko to mogło robić kolosalne wrażenie na osobach płci przeciwnej. *I nie tylko przeciwnej*, poprawiła się natychmiast, nie chcąc nikogo dyskryminować. Głośno zaś wypowiedziała słowa powitania, a następnie z miłym uśmiechem podziękowała, że zgodził się z nią porozmawiać. I rzeczywiście była wdzięczna.

– Szczerze mówiąc, powodowała mną ciekawość – przyznał Bilecki z rozbajającym uśmiechem. – Nie kojarzę żadnego śledztwa z udziałem pani jednostki, w dodatku zaciekało mnie, dlaczego właśnie pani ma się tym zajmować. To chyba już pani nie dotyczy? A może znowu służy pani w policji?

Nie powiedział tego wprost, ale mimo przyjaznego tonu i miłego uśmiechu wyczuła, że miałby ochotę spytać, dlaczego była policjantka wtyka nos w nie swoje sprawy.

– Też będę szczerą. – Odwzajemniła uśmiech. – Interesująca mnie sprawa wprawdzie jest stara, lecz nie ja ją prowadziłam. Z tego, co zdążyłam się dowiedzieć, zajmował się nią nadkomisarz Gerbilak, a pan nadzorował śledztwo.

Przysunęła sobie krzesło bliżej biurka i usiadła, nie czekając na zaproszenie. Bilecki drgnął i spojrzał na nią ze zdziwieniem, jakby uznał jej działanie za niebywałą samowolę. Potarł oczy

gestem bardzo zmęczonego człowieka, po czym nałożył okulary i ponownie przyjrzał się Dionie.

– Chyba nie ma pani na myśli...

– Obawiam się, że tak – bez pardonu weszła mu w słowo. – Chodzi o zabójstwo Piotra Roszaka.

– Chyba nie mówi pani poważnie – rzucił chłodno, a ona odebrała to jako „chyba pani zwariowała”. – To śledztwo jest od dawna zamknięte, a zabójcy zostali ujęci i siedzą w więzieniu. Nie widzę powodu, żeby to odgrzebywać.

– Myślę, że za chwilę zmieni pan zdanie – oświadczyła, rozsiadając się wygodnie. – Mężczyzna, na którego zeznaniach oparto oskarżenie, właśnie przyznał się, że skłamał, ponieważ nadkomisarz Adam Gerbilak wywierał na niego nacisk.

Zobaczyła, że udało jej się wstrząsnąć prokuratorem. Poderwał się zza biurka tak gwałtownie, że zrzucił teczkę z aktami. Upadła u stóp Diony, która ani drgnęła. Bilecki spojrzał na dziewczynę, jakby oczekiwał, że natychmiast rzuci się do zbierania rozsypanych kartek, nic takiego jednak nie nastąpiło, zacisnął więc wargi i ukucnął u jej stóp, zgarniając akta do tekturowych okładek. Od czasu do czasu zerkał na nią wzrokiem, w którym wyczytała potępienie. To sprawiło, że straciła do niego całą sympatię.

Po chwili podniósł się z kucek i rzuciwszy na biurko teczkę z niedbale włożonymi do niej kartkami, stanął przed Dioną.

– Kim jest ten człowiek?

– To najważniejszy i mam wrażenie, że jedyny świadek, którego zeznania miały istotne znaczenie dla śledztwa. Nazywa się Jacek Nowosielski.

Bilecki aż pobladł z emocji.

– Gdzie on jest w tej chwili? Przyjechał tu z panią?

– Przyjechałam sama, żeby najpierw zapoznać pana z sytuacją. Gdy wyjeżdżałam, pan Nowosielski był w domu. Pewnie jest tam nadal, ale ręczyć za to nie mogę.

Oczywiście, że nie mogła ręczyć, sama bowiem namówiła Nowosielskiego do natychmiastowego wyjazdu. Po dość długim wahaniu przyznał jej rację, lecz Diona tkwiła na miejscu, dopóki nie upewniła się, że na pewno wraz z żoną i córką opuścił dom, pozostawiając w nim telefony komórkowe.

Być może zakrawało to na paranoję, ale dziewczyna nie zamierzała ryzykować. Podśluch na komisariacie, włamanie do pokoju i do samochodu, zabójca piastujący stanowisko komendanta komisariatu – wszystko to sprawiło, że nie ufała już nikomu poza aspirantami Lipskimi, Mirabelką oraz Ewą i Agatą.

Teraz musiała zaufać jeszcze jednej osobie, ale najpierw zamierzała się upewnić, czy nie popełni błędu. Wszystko będzie zależało od tego, jak Bilecki zachowa się po usłyszeniu najnowszych informacji.

Obiekt tych rozważań długi czas w milczeniu wpatrywał się w Dionę, wreszcie złapał komórkę i wybiegł z pokoju, głośno trzaskając drzwiami. Obserwowała to z kamiennym wyrazem twarzy, choć najchętniej roześmiałaby się w głos. Nie znosiła prokuratorów, którzy z racji pełnienia tej funkcji uważali się za bogów, a incydent z aktami dowodził, że Bilecki należy do ich grona. On naprawdę uważał, że to Diona powinna rzucić się do zbierania rozsypanych kartek.

Nie żałowała go ani trochę. Człowiek opierający akt oskarżenia na zeznaniach jednego świadka, w dodatku skonfliktowanego z oskarżonymi, oraz na fakcie znalezienia w warsztacie narzędzia zbrodni jej zdaniem zasługiwał na to, by ktoś solidnie nim potrząsnął. Jeśli dobrze go oceniła, nie przyjmie tego spokojnie i być może zechce w jakiś sposób się odplacić. Na szczęście teraz już znajdowała się poza jego zasięgiem. Co innego, gdyby nadal pracowała w policji. Wtedy bez trudności znalazłby sposób, żeby utrudnić jej życie.

Głównie z tego powodu nie wspomniała Marcinowi

o planowanej wizycie. Wiedziała, że aspirant uparłby się, żeby z nią jechać, a dla niego mogłoby to skończyć się nieciekawie. Jego urażony w swej dumie prokurator mógłby dosięgnąć, jej natomiast nie.

Bilecki ani trochę nie spodobał jej się jako człowiek, ale nie przyjechała tutaj, by się z nim zaprzyjaźnić. Przyjechała do Bileckiego – prokuratora. Jeśli on uzna swój błąd i podejmie czynności zmierzające do postawienia przed sądem prawdziwych zabójców, jej to wystarczy. Nie musi być miły. Przeciwnie, prywatnie może sobie być nawet większym bucem niż Gerbilak, byleby zrobił to, co do niego należy.

Bilecki wrócił do pokoju. Tym razem zamknął drzwi z dużo mniejszą energią, nie był już blady, a na twarzy pojawiło mu się coś, co na upartego można by nazwać uśmiechem. Usiadł za biurkiem i przysunął sobie kartkę papieru.

– Jak to się stało, że Nowosielski spotkał się właśnie z panią?

– Domyśliłam się, że to on był szantażowany przez Justynę Sojkę-Hardy. Pojechałam do niego, żeby o to zapytać.

Bilecki zanotował coś, czego ze względu na odległość nie była w stanie odczytać.

– Nie bała się pani? – Podniósł na nią wzrok. – Komendant z Jodłowca jest zdania, że to właśnie Nowosielski zabił tę kobietę.

– Ciekawa jestem, czy komendant Gerbilak ma na to jakieś dowody, czy może znowu zamierza dokonać zatrzymania na podstawie własnych pobożnych życzeń – mruknęła na tyle głośno, że prokurator musiał ją usłyszeć. Zachował jednak milczenie, dalej pilnie coś notując. Wobec całkowitego braku reakcji odpowiedziała na pytanie. – Nie, wcale się nie bałam. Wiedziałam, że Nowosielski nie zabił pani Hardy.

Wreszcie zmusiła go do oderwania wzroku od zapisków.

– To ciekawe – stwierdził z lekką ironią. – Skąd ta pewność?

– Nie zapłaciłby stu tysięcy, gdyby zamierzał ją zabić. Zresztą

to nie z nim spotkała się wieczorem. Nowosielski ma alibi na czas tego zabójstwa. Córka bardzo źle się czuła, więc wezwał pogotowie.

Skinał głową, znów chwycił długopis i pochylił się nad kartką. Naraz podniósł głowę i spojrzał Dionie prosto w oczy.

– Pani, zdaje się, jest zdania, że ci dwaj zostali niesłusznie skazani. – Przytaknęła, szykując się do przedstawienia niemiłej prawdy. – Czy pani wie, kto zabił komendanta?

Wzięła głęboki oddech, otworzyła usta... i zamknęła je, nie wypowiedziawszy ani słowa. Jak skamieniała wpatrywała się w prokuratora, a przez głowę przelatywały wspomnienia niedawno wypowiedzianych słów. Pamiętała dobrze, że przedstawiła się sekretarce z imienia i nazwiska, po czym oznajmiła, że przyjechała w związku ze sprawą prowadzoną przez inną jednostkę. Tylko tyle. Słowem nie wspomniała o tym, że jej związek z policją należy do przeszłości. Tymczasem Michał Bilecki, którego nigdy przedtem nie spotkała, wcześniej wyraził zdziwienie jej obecnością i spytał, czy wróciła do służby w policji. Skąd, na miłość boską, mógł wiedzieć, że nie jest już policjantką?

Zadzwoiła leżąc na biurku komórka. Bilecki podniósł ją do ucha i rzuciwszy krótkie „słucham”, pozwolił mówić rozmówcy. Diona słyszała męski głos, wykrzykujący jakieś słowa, ale odległość od biurka była zbyt duża, by mogła zrozumieć sens. Zresztą wcale jej na tym nie zależało. Jedyne, czego obecnie pragnęła, to wyjść z tego biura, i to wyjść w taki sposób, by nie wzbudzić żadnych podejrzeń.

Jednocześnie zastanawiała się gorączkowo, co powinna teraz zrobić. Do kogo się zwrócić? Marcin? Nie, aspirant z komisariatu jest na to za cienki. Zyta tak samo. Wobec tego pozostawało tylko jedno wyjście. Tylko co będzie, jeśli się pomyliła?

Zerknęła na Bileckiego, który nadal słuchał krzyczącego

mężczyzny. Przez cały czas nie wyrzekł ani słowa, tylko jego twarz czerwieniała coraz bardziej, przybierając buraczkową barwę. Niespodziewanie z całej siły rąbnął pięścią w biurko.

– To go, kurrrrwa, szukajcie! – wrzasnął na całe gardło. – Nie interrrresują mnie twoje prrrroblemy. Chcę go mieć dzisiaj w lochu. A jak zdąży pisać choć słowo, to ci łeb upierrrdolę. Rrrruszaj do rrrroboty, zamiast sklamrzyć w słuchawkę.

Ze złością się rozłączył i rzucił komórkę na biurko, po czym spojrzał na Dionę z przeproszającym uśmiechem, jej zaś wydało się, że z tej przystojnej twarzy spoglądają na nią oczy bazyliuszka. *Wydałam na Nowosielskiego wyrok śmierci*, myślała bliska płaczu z bezsilnej złości, że tak dała się nabrać. Czemu on zaraz na początku nie wypowiedział słowa zawierającego głoskę „r”? Wtedy od razu by się zorientowała.

– Przeprrrraszam panią za słownictwo. Nie powinno się używać takich słów w obecności kobiety.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Nic nie szkodzi. Jak pan wie, służyłam w policji, a tam raczej nie przemawia się poetyckim językiem. Kłopoty z podwładnymi? – udała grzecznościowe zainteresowanie.

– Coś w tym rrrrodzaju – mruknął niechętnie. – Nie mogę o tym mówić. Wie pani, jak to jest, była pani przecież...

– Wiem, wiem. Tajemnica. – Weszła mu w słowo, pozorując beztroskę.

– No właśnie. A wrrrracając do naszej rrrrozmowy...

Telefon znów zadzwonił, lecz tym razem była to jej komórka. Diona zerknęła na wyświetlacz. Marcin. Posłała w duchu ku niebiosom dziękczynne modły za interwencję i szybko dotknęła ikony połączenia. Słuchała tak nieuważnie, że nie ogarniała sensu słów i później w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, o czym Lipski mówił.

– Dobrze, zaraz przyjadę – przerwała mu w pół słowa. – Jestem teraz u prokuratora Bileckiego, ale już wychodzę.

Rozłączyła rozmowę, schowała komórkę do torebki i wstała. Mężczyzna wstał również i podszedł do niej, stanąwszy tak, jakby miał zamiar ją zatrzymać. Zagroził jej drogę własnym ciałem.

– Nie skończyliśmy rozmawiać.

Miała wrażenie, że w tych słowach czai się groźba. Przywołała na twarz uśmiech, myśląc przy tym, że jeszcze trochę, a mięśnie twarzy zastygną jej na zawsze w tym idiotycznym grymasie.

– Przykro mi bardzo, ale to siła wyższa. Narzeczony ma jakiś problem ze sprzętem kuchennym. Wolałabym, żeby nie poobcinał sobie palców. Przyjadę jutro o tej samej godzinie co dzisiaj. Może być?

Nie dając mu dojść do słowa, mówiła jak nakręcona, gestykulując przy tym zawzięcie i balansując ciałem, żeby zamaskować ruch przybliżający ją do drzwi. Wiedziała, że jej strach jest irracjonalny, lecz mężczyzna miał w oczach coś takiego, że nie była pewna, czy w akcie desperacji nie zechce zakończyć jej żywota tu i teraz.

Wreszcie dotarła do zbawczych drzwi i uchwyciła się klamki z taką ulgą, jaką musi czuć człowiek zagłębiający się powoli w bagnie, gdy nagle jego dłoń napotka zwieszającą się nad trzęsawiskiem gałąź.

– Do widzenia, panie prokuratorze. Do jutra.

Przefrunęła przez gabinet, rzuciwszy w biegu słowa pożegnania w stronę sekretarki, i pognała do drzwi, modląc się, by nikt nie stanął jej na drodze. Otworzyła je z impetem i nie tracąc czasu na zamykanie, wypadła na korytarz. Biegąc w stronę wyjścia, potrafiła jakąś kobietę tak mocno, że tamta poleciała na ścianę, lecz Diona nie zwolniła kroku. Przeciwnie, jeszcze przyspieszyła. Gdy dopadła do samochodu, z emocji tak drżały jej ręce, że straciła kilka sekund na walkę z pilotem, zanim pojęła, że zamyka drzwi, zamiast je otwierać.

– Opanuj się, debilko – syknęła, wsiadając.

Wycofała tak gwałtownie, że omal nie staranowała zaparkowanego z tyłu auta, i już po chwili włączyła się do ruchu. Ujrzawszy nadjeżdżający z naprzeciwka radiowóz, zjechała na pobocze i wyjęła z kieszeni komórkę. Zrodzone nagle podejrzenie należało właściwie zaliczyć do kategorii kompletnie absurdalnych, lecz wołała tego nie sprawdzać. Nie mogła ryzykować, że ktoś przeszkodzi jej w dotarciu na komendę.

Operatorka nie wydawała się zdziwiona zamówieniem. Przyjąwszy je bez komentarza, poinformowała o długości okresu oczekiwania, a Diona pomyślała, że będzie to prawdopodobnie najdłuższe dziesięć minut w jej życiu. Cofnęła odrobinę samochód, chowając go częściowo za stojącą tuż obok scanią, i zapaliła papierosa, zerkając na drogę z niecierpliwością i obawą. Jeśli jej podejrzenie jest słuszne, powinni już otrzymać polecenie. Teraz wszystko zależało od tego, kto przyjedzie tu pierwszy.

Pierwsza pojawiła się taksówka. Na jej widok Diona miała ochotę ucałować obu panów, powściągnęła jednak niewczesne zapędy i tylko wręczyła dodatkowemu kierowcy kluczyki i dokumenty.

– Gdzie mam go zawieźć?

– Na parking przed komendą policji. – Podała mu pięćdziesiąt złotych. – To za kurs.

– To z pewnością za dużo – zaoponował. – Nie wiem, ile mi to zajmie, ale...

– Nie szkodzi – przerwała mu niecierpliwie. – Niech pan ruszy co najmniej pięć minut po nas. Nie wcześniej. Gdyby się okazało, że nie ma mnie na parkingu, proszę odnieść kluczyki i dokumenty na dyżurkę w policji. – Spojrzała w stronę oczekującej taksówki. – Muszę już jechać. Do widzenia.

– Do widzenia.

Pożegnał ją szerokim uśmiechem. *Jeśli się nie omyliłam, już niedługo nie będzie taki uśmiechnięty*, pomyślała, sadowiając się na siedzeniu taksówki.

– Pod komendę policji proszę.

Kierowca nie od razu ruszył, musiała więc go ponaglić, udając, że nie widzi pełnej zdumienia miny. Widocznie słyszał jej rozmowę z tamtym kierowcą.

W połowie drogi nie wytrzymał i jednak zapytał:

– To jakiś eksperyment czy coś w tym stylu?

– Absolutnie nie. Po prostu trochę wypiałam, więc nie mogę prowadzić.

– Ale... ale kazała pani zawieźć tam swój samochód. – Zerknął na nią niepewnie. – Chce pani potem nim wrócić?

– Do tego czasu na pewno mi przejdzie – odparła z beztroskim uśmiechem, narażając się na zgorszone spojrzenie taksówkarza. W milczeniu dojechali na policyjny parking.

Diona wcale nie zamierzała tracić czasu na czekanie na swój samochód. Od razu weszła do budynku i poprosiła o rozmowę z Zytą Zawadą, a kilka minut później siedziała już w pokoju zajmowanym przez siostrę Marcina i wyłuszczała swoją prośbę.

– Masz rację – oceniła sytuację policjantka. – Marcin jest na nich za cienki, ja zresztą też. Nie ma innego wyjścia, musimy się wbić do naczelnika. – Zauważyła minę Diony i rzuciła niecierpliwie: – Komuś trzeba zaufać, inaczej nic z tego nie będzie. Ja uważam, że Cichostępski jest w porządku. W dodatku nie znosił Gerbilaka.

*

Inspektor Krzysztof Cichostępski nie był przystojny, nie spoglądał też na Dionę jak na obiekt seksualnych pragnień, co

sprawiło, że od razu poczuła się pewniej. Po kontaktach z Gerbilakiem i Bileckim czuła żywiołową niechęć do mężczyzn im podobnych.

Wprowadzony ogólnie w temat naczelnik przyglądał im się długi czas, wreszcie zdecydował.

– Ty nie miałaś z tym nic wspólnego, więc wracaj do roboty – polecił Zycie, a gdy wyszła, przeniósł wzrok na Dionę. – A pani ma pół godziny, żeby mnie przekonać, że mam ważny powód, by ryzykować moje stanowisko i dalszą służbę.

Gestem zaprosił, by usiadła w fotelu, postawił przed nią butelkę wody mineralnej i sam także zajął miejsce. Doceniła, że nie usadowił się naprzeciwko, lecz nieco z boku. Przez to nie czuła się jak na przesłuchaniu, tylko bardziej jak na towarzyskich pogaduchach.

Zaczęła opowieść od chwili, gdy ojczym poinformował ją o zakończeniu procesu i skazaniu zabójców jej ojca. Opowiedziała o swoich wątpliwościach i decyzji, by osobiście przyjrzeć się sprawie. O zabójstwie Justyny, pieniądzach, kradzieży etui i podejrzeniach, że w pomieszczeniach komisariatu zamontowany jest podsłuch. Gdy doszła do rozmowy z Nowosielskim, inspektor poruszył się niespokojnie.

– Jeśli to, co pani mówi, jest prawdą, temu człowiekowi grozi niebezpieczeństwo.

Wytrzymała jego surowe spojrzenie.

– Wiem – odparła zwięźle. – Obawiam się, że większe, niż pan myśli.

Opowiedziała o wizycie w prokuraturze i rozmowie z Bileckim, a także o swoim odkryciu i późniejszej ucieczce. Rozbawił go manewr z taksówkami, co wyczytała z wyrazu twarzy, lecz nie skomentował jej działań ani słowem. Po prostu siedział i spoglądał za okno, chociaż Diona skończyła opowiadać i zamilkła.

Pół godziny minęło jakiś czas temu. Nie wspomniał o tym, co

dobrze wróżyło na przyszłość, domyślała się bowiem, że gdyby uznał jej opowiadanie za stek bzdur, już dawno by ją wyrzucił. Ale ta myśl nie wpłynęła na nią uspokajająco. Nadal była spięta do granic możliwości, co więcej, podejrzewała, że napięcie ustąpi dopiero wtedy, gdy prawdziwi zabójcy ojca znajdą się w celi.

Ciszę zakłócił dzwonek telefonu. Diona zerknęła na wyświetlacz i odezwała się ochryplym głosem, brzmiącym obco nawet dla niej samej.

– Przepraszam, ale muszę odebrać. To aspirant Lipski, o którym wspominałam. Pewnie ma jakieś ważne informacje.

Dotknęła ikony połączenia i w tym momencie uświadomiła sobie, co Marcin musiał pomyśleć, gdy poprzednio odpowiedziała mu kompletnie nie na temat. Tak jak przypuszczała, bardzo się zdenerwował. Nie miała czasu go uspokajać, poinformowała tylko zwięźle, gdzie jest i w jakim celu tam przebywa.

Inspektor słuchał jej przemowy z narastającym zniecierpliwieniem, wreszcie wyciągnął rękę po komórkę.

– Proszę mi go dać – rzucił rozkazującym tonem i Diona usłuchała.

Cichostępski polecił aspirantowi zaniechać innych czynności i bezzwłocznie przyjechać do komendy, potem oddał komórkę i spojrzał uważnie na dziewczynę. Zanotowawszy coś na kartce, wezwał sekretarkę, wręczył jej notatkę i kazał natychmiast wykonać polecenie. Jakie, tego Diona nie wiedziała, ale nie poczuła niepokoju. W tym gabinecie, w obecności tego mężczyzny czuła się całkiem bezpieczna. Niestety nadal nie wiedziała, jaka będzie jego decyzja, a czas pracował na jej niekorzyść. Przekonała się o tym, gdy do pokoju wsunęła się Zyta, blada i jakby przestraszona.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale dzwonił z dyżurki. Jest tam dwóch policjantów z OPI. Przyjechali po Dionę.

Więc jednak się nie omyliła. Gdyby nie manewr z taksówką, Bilecki nie pozwoliłby jej dotrzeć do komendy. Zerknęła na inspektora i ich spojrzenia się skrzyżowały. Mężczyzna skłonił lekko głowę i zwrócił się do Zyty:

– Przyślij ich do mnie, ale powiedz Monice, żeby ich tu nie wpuszczała. Niech da znać, że już przyszli. – Zyta wyszła. Inspektor odprowadził ją wzrokiem i niespodziewanie się uśmiechnął. – Gdybym już przedtem pani nie uwierzył, to musiałoby mnie przekonać. – Zmarszczył brwi. – Trzeba wysłać kogoś po tego oszukańczego świadka, tylko obawiam się, że może być za późno.

– Bilecki go nie dostanie. Nowosielscy wyjechali i on tak szybko ich nie znajdzie – oznajmiła radośnie.

– To dlatego urząd prokuratorski dostał sraczki. – Uśmiechnął się złośliwie. – Ale coś mi mówi, że pani doskonale wie, gdzie przebywają. Stąd ten pościg za panią, niepoparty żadnym oficjalnym nakazem – skonkludował, popatrując przy tym na nią z ciekawością.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż w sekretariacie pojawili się policjanci z Ogniwa Patrolovo-Interwencyjnego i naczelnik Cichostępski wyszedł, żeby z nimi porozmawiać. Dziewczyna wiele by dała, by móc usłyszeć, co miał im do powiedzenia, ale przewidywała, że nigdy się tego nie dowie.

Nieobecność inspektora nie trwała długo. Już po chwili drzwi się otworzyły i mężczyzna wszedł do pokoju, a tuż za nim wsunął się Marcin Lipski.

– Cześć – rzucił krótko, lecz spojrzał na Dionę z taką uwagą, jakby chciał się upewnić, że jest cała i zdrowa. – Akurat byłem w pobliżu, więc nie musiałem jechać tu aż z Jodłowca – wyjaśnił, gdy wyraziła zdziwienie tak szybkim przybyciem.

– Teraz jesteśmy w komplecie, więc możemy zaczynać – oznajmił Cichostępski, siadając za biurkiem.

– Poprosiłem ojca, żeby również tu przyjechał – odezwał się

Marcin. – Powinien niedługo się pojawić. Znał bardzo dobrze komendanta Roszaka i być może będzie mógł pomóc nam w ustaleniu motywu, bo oprócz nazwiska drugiego zabójcy chyba tylko tej informacji nam brakuje.

– W takim razie zaczekamy na niego – zdecydował inspektor i polecił sekretarce, by nie wpuszczała nikogo i nie łączyła żadnych telefonów.

Dariusz Lipski istotnie niebawem przyjechał i wreszcie mogli rozpocząć naradę. Najpierw Cichostępski polecił, by Diona przedstawiła zebrane informacje, opowiedziała więc o prywatnym śledztwie i jego wynikach. Co jakiś czas któryś z mężczyzn zadawał pytanie lub żądał uściślenia wiadomości.

– Nie do końca rozumiem, co działo się koło Chaty Strachów – przerwał jej starszy Lipski, gdy zrelacjonowała odkrycie zapisków w kalendarzu Justyny Sojki-Hardy.

– To akurat jest proste – zamiast Diony odpowiedział mu syn.
– Usłyszawszy odgłosy bicia, Nowosielski spanikował i uciekł. Biegł w stronę przystanku autobusowego, bo w jego pobliżu zostawił samochód. Nie chciał podejźdzać pod dom znachorki, żeby się nie wydało, że ją odwiedzał.

– Pech chciał, że Justyna akurat wtedy wracała od rodziców – włączyła się Diona. – Wsiadła z autobusu i szła skrótem do domu. – Zauważywszy zdziwienie Lipskich, wyjaśniła: – Justyna zazwyczaj wracała od rodziców pospiesznym autobusem, a ten nie zatrzymuje się w Strzygomiu. Wsiadała więc w Jodłowcu, skąd odbierał ją Leszek. A jeśli nie mógł, wracała pieszo, właśnie tym skrótem.

– Teraz jasne – mruknął Marcin. – To dlatego się spotkali.

Skinęła głową i ponaglona przez inspektora, powróciła do wyjaśnień.

– Nowosielski na nią wpadł, lecz w zdenerwowaniu jej nie rozpoznał. Za to ona rozpoznała jego. Dość długo trwało, zanim połączyła jego obecność na tej ścieżce z zabójstwem, ale gdy

w końcu to skojarzyła, uznała, że to on zabił.

Umilkła nagle i pogрузzyła się w zadumie. Mężczyźni zauważyli to, lecz nie przerywali zamyślenia. Jednak milczenie dziewczyny w końcu ich zaniepokoiło.

– Coś nie tak? – spytał Marcin.

– Nic takiego – odparła wolno. – Ale jest jedna sprawa, która nie daje mi spokoju. Dlaczego Justyna nie spotkała zabójców? Najpierw myślałam, że byli mieszkańcami Strzygomia. Wtedy w porządku, po prostu wrócili do wioski, zanim doszła do Chaty Strachów. Ale teraz już wiem, kim są, dlatego uważam, że ta wersja odpada. Musieliby się spotkać z Justyną na ścieżce albo na miejscu zbrodni, a jednak o tym nie wspomniała.

W odpowiedzi aspiranci Lipsy wymienili rozbawione spojrzenia, po czym przynaglenni gestem inspektora, odpowiedzieli jednocześnie:

– Nie znałaś Justy...

– Nietrudno to sobie...

Teraz równocześnie obaj urwali. Starszy dał znak młodszemu, by to on wyjaśnił Dionie przyczynę pozornie niepojętego zjawiska.

– Nie znałaś Justy – powtórzył Marcin. – Ona nie potrafiła zachowywać się cicho i dyskretnie.

Dziewczyna przypomniała sobie burzliwą kłótnię Hardy w pizzerii, zakończoną spektakularnym wyjściem kobiety, i zgodziła się z tą opinią. Nadal jednak nie wiedziała, co ta cecha charakteru ma wspólnego ze sprawą.

– Nie widzę związku – uprzedził ją inspektor, myśląc widocznie o tym samym.

– Jak ją znam, kiedy Nowosielski ją potracił, puściła za nim całą wiązanekę – odparł Marcin. – Na pewno tamci to usłyszeli i szybko schowali się w jakichś chaszczach. Musieli też ukryć gdzieś Roszaka.

– Skąd wiesz? – zaciekała się Diona.

– Znalezione go na ścieżce, więc gdyby wtedy tam leżał, Justyna musiałaby się na niego natknąć. A wtedy narobiłaby takiego wrzasku, że nawet tutaj byłoby ją słychać.

– O tym nie pomyślałam – przyznała. – Na ogół ludzie nie zachowują się spokojnie, gdy niespodziewanie znajdują trupa. W dodatku w tak osławionym miejscu.

– Jeśli już wszystko jasne, proszę mówić dalej – polecił Cichostępski.

– Za pozwoleniem, jest jeszcze jedna niejasna dla mnie sprawa. – Dariusz Lipski przemówił grzecznie, lecz stanowczo. – Z zapisków Justyny wynika, że słyszała rozmowę Świniarza z Myszą. Jak to się ma do stwierdzenia, że Nowosielski uciekł?

– Początkowo też myślałam, że to się nie zgadza, ale okazało się, że ta rozmowa miała miejsce później. Wtedy już toczyło się śledztwo. Gerbilak umówił się z Nowosielskim przy Chacie Strachów i akurat namawiał go do złożenia fałszywych zeznań, gdy przechodziła tamtędy Justyna. Wracała od Mateczki. – Zauważywszy zdziwienie mężczyzn, Diona dorzuciła: – Wiem, bo rozmawiałam z tą kobietą. Justyna przyszła do niej po eliksir miłości. Nie patrzcie tak na mnie! To nie moja wina, że Justyna wierzyła w takie brednie. Podobno była bardzo rozczarowana, że nie otrzymała tego specyfiku.

Po wyjaśnieniu tej kwestii Diona oddała głos Marcinowi, który przywiózł notes mechaników z zapisanymi zleceniami. Ewidencja nie zawierała nazwisk, tylko numery rejestracyjne pojazdów, rodzaj napraw oraz daty przyjęcia i wydania samochodów. Nie było to wielkim utrudnieniem, więc tylko o chwilę przedłużyło zidentyfikowanie pojazdów odbieranych w interesującym ich dniu z warsztatu. Wśród nich znajdowała się corolla prokuratora Bileckiego.

– Sprawdziłem też jeszcze raz tablet Justyny. – Marcin kończył swoją wypowiedź. – Przeczytałem korespondencję z tą Kariną Pohańską. Ja nie jestem taki delikatny jak ty. – Rzucił

Dionie krzywe spojrzenie. – Nie ma tam nic ciekawego, tyle tylko, że potwierdziło się twoje przypuszczenie, że Justyna wymyśliła sobie tego kochanka, żeby wzbudzić w Leszku zazdrość. Sam nie wiem, czy to dla niego lepiej, czy gorzej.

– Nad tym zastanowicie się później – przerwał mu inspektor. – Co z narzędziem zbrodni? Skąd wzięli klucz należący do mechaników?

– W dniu zabójstwa Bilecki przyjechał do warsztatu, rzekomo po to, żeby sprawdzili samochód, bo coś mu zgrzytało w przednim kole. Ale nie stwierdzono żadnej usterki, a Mariusz powiedział Agacie, że Ebby chyba pierwszy raz nie targował się o wysokość zapłaty. Śmiał się, że klient chyba miał pomroczość jasną. Ale dla mnie to jest podejrzane – stwierdziła Diona. – Uważam, że skorzystał z momentu nieuwagi Kotleńskiego i zwinął ten klucz. A może już wtedy typował go na kozła ofiarnego? Myślę, że do spotkania doszło z inicjatywy Roszaka, który kazał im przyjść do Chaty Strachów, i że oni od początku planowali go tam zabić. Dlatego, chcąc pozostać poza podejrzeniem, musieli tak pokierować sprawami, żeby śledztwo trafiło do nich dwóch. No i musieli je zakończyć ujęciem sprawcy.

Cichostępski z uznaniem pokiwał głową.

– Ma pani całkowitą rację. Sprawdziłem kilka rzeczy, kiedy czekaliśmy na aspiranta Lipskiego. Tamtego wieczoru na dyżurze miał być zupełnie inny prokurator, ale Bilecki się z nim zamienił. A kiedy wpłynęło zgłoszenie o zabójstwie, zażądał, żeby właśnie Gerbilak zajmował się śledztwem. Znają się od dawna i blisko się kumplują. To dzięki naciskom Bileckiego Gerbilak dostał ten przedterminowy awans.

Diona ucieszyła się z wyjaśnienia sprawy, która dotąd pozostawała w sferze domysłów. Sama także miała do opowiedzenia coś, o czym jeszcze nie słyszeli.

Drawicz i Kotleński mieli alibi na czas zabójstwa, tylko że nikt

nie dał im szansy, by to alibi przedstawili. Gdy roztrzęsiony Nowosielski wrócił do domu, widział ich obu na drodze przed warsztatem, rozmawiających z jakimś mężczyzną. Był potwornie podenerwowany, przez co nie zastanowił się, w jaki sposób mogli tak szybko przemieścić się z okolic Chaty Strachów do warsztatu. Gdy po jakimś czasie uprzytomnił sobie tę sprzeczność, był już zbyt uwikłany w sieć własnych kłamstw, by wystarczyło mu odwagi na zeznanie tego przed sądem.

Od żon osadzonych Remańska dowiedziała się, że tym mężczyzną był pełnomocnik właścicieli zrujnowanego domostwa graniczącego z warsztatem. Złożył im propozycję kupna, którą obiecali przemyśleć. Zajęci rozmową, nie zauważyli Nowosielskiego, nie mogli więc powołać go na świadka.

Niestety ani Kotlarski, ani Drawicz nie zapamiętali nazwiska rozmówcy, a jego wizytówka dziwnym trafem zaginęła, choć Kotlarski przysięgał, że włożył ją do biurka w kantorku. Tym samym ich alibi uznano za niewiarygodne.

Tamtej nocy Nowosielski długo nie mógł zasnąć, ciągle przeżywając podsłuchaną rozmowę i odgłosy bicia. Dlatego usłyszał ujadanie psa i dźwięki dochodzące z sąsiedniej posesji. Jakieś szmery, zgrzyt przesuwanej bramy garażu i coś brzmiącego jak prowadzona szeptem rozmowa. Usłyszał nawet sławetne „rrr” Kotlarskiego, gdy ktoś półgłosem wołał do kogoś: „Kurrrwa, pospiesz się”. Pewien, że to właściciele, obrócił się na drugi bok i wreszcie zasnął.

– Taa – mruknął Cichostępski, gdy skończyła. – To mamy jasne już wszystko z wyjątkiem motywu. Ktoś coś? Bo nie chce mi się wierzyć, że zabili Roszaka, żeby Gerbilak mógł wskoczyć na jego miejsce. Stanowisko komendanta komisariatu nie jest warte aż tyle.

– Magdalena Roszak była bardzo piękną kobietą – niespodziewanie odezwał się starszy Lipski. Wszyscy natychmiast zwrócili się w jego kierunku.

– Nigdy jej nie poznałam – powiedziała cicho Diona. – Słyszałam, że była piękna. Ale jaki to ma związek ze sprawą?

– I była poważnie chora – mówił dalej Lipski, jakby nie dosłyszał jej pytania. – Choroba afektywna dwubiegunowa. Kiedy przychodzi etap hipermanii, chory jest zdolny do czynów, których normalnie nigdy by nie popełnił. Alkohol, narkotyki, seks, kradzieże, a czasem nawet zabójstwo...

– Czy ona...? – Diona nie miała odwagi dokończyć.

– Nie, Magda nikogo nie zabiła – uspokoił ją Dariusz. – Ale nieraz znikwała wtedy z domu i Piotrek musiał jej szukać. Znajdowała się najczęściej w Jodłowcu, pijana, w towarzystwie lokalnych meneli. Żaden z nich nie miał odwagi jej tknąć, wiedzieli przecież, kto jest jej mężem. Ale zdarzyło się kilka razy, że ruszała gdzieś dalej, i wtedy bardzo się o nią martwił. Nie pamiętała potem, gdzie była ani co robiła, a on nie chciał powiedzieć jej prawdy, bo wiedział, że mogłaby tego nie znieść. Niestety ten jeden jedyny raz nie zdołał jej ochronić, no i stało się tak, jak przewidywał. Magdalena...

Urwał, sięgnął do teczki po jakieś dokumenty i rzucił je na stół. Ujrzeni strony zapisane gęsto ładnym, czytelnym pismem, podartą i podklejoną taśmą kartkę z kilkoma wydrukowanymi na niej zdaniem oraz trzy zdjęcia, także podarte na małe kawałki i następnie sklezione taśmą. Lipski ponownie sięgnął do teczki i wyjął jeszcze jedno zdjęcie, prezentujące się o wiele lepiej niż tamte.

– To są notatki z prywatnego śledztwa Piotra w sprawie śmierci żony – oznajmił, wskazując zapisane kartki. – Wynika z nich, że wiedział, kto jest odpowiedzialny za sprowokowanie Magdaleny do samobójstwa, ale nie miał dowodu. Myślę, że postanowił spotkać się z nimi, żeby zmusić ich do fałszywego ruchu.

Diona skinęła głową, po czym ciekawie zerknęła na zdjęcia. Nie zdołała powstrzymać okrzyku, gdy ujrzała śliczną

rudowłosą kobietę w dość jednoznacznej sytuacji. Twarze mężczyzn biorących udział w akcie seksualnym nie były widoczne; na wszystkich trzech zdjęciach znajdowali się w takich pozycjach, że nie dało się ich rozpoznać.

Odsunęła zdjęcia i zerknęła na zadrukowaną kartkę, choć domyślała się, co jest na niej napisane. Nie omyliła się. „Przygotuj 5000 złotych. Dam ci znać, gdzie masz je przynieść. Jeśli nie dostaniemy pieniędzy, twój mąż otrzyma taki sam zestaw zdjęć”.

– Piotr znalazł te zdjęcia i list w koszu na śmieci, podarte i zmięte. Wyjął, poskładał jak puzzle i podkleił – odezwał się Dariusz Lipski. – A potem zataił fakt ich istnienia przed policją. Nie chciał, żeby ktoś wycierał sobie gębę imieniem żony. Ale poprzysiągł zemstę nadawcy, bo dobrze wiedział, że Magda zabiła się z tego powodu. – Zamilkł, ważąc coś w myślach, wreszcie wyznał, spoglądając niepewnie na Cichostępskiego: – Wiedziałem, że prowadzi prywatne śledztwo, dlatego po jego śmierci zabrałem te materiały. Miałem klucze od jego mieszkania, więc pojechałem tam i zwyczajnie je zwinąłem, zanim przyjechaliście na przeszukanie. On nie chciał, żeby ktoś to oglądał.

– A to czwarte zdjęcie? – Inspektor nie odniósł się w żaden sposób do słów aspiranta, tylko skinął lekko głową i przyjrzał się uważnie ostatniej fotografii. – Zrobiono je w tym samym pomieszczeniu. Rozpoznaję zegar. – Dotknął palcem zdjęcia, na którym widniał wysoki ścienny zegar ozdobiony wyrzeźbioną różą.

– To czwarte zdjęcie zrobiłem ja – przyznał Dariusz, spoglądając prosto w oczy inspektora. – Włamałem się dzisiaj do mieszkania Gerbilaka. Niczego nie ruszałem – uspokoił zebranych. – Chciałem się tylko upewnić, sprawdzić, czy ma pani rację, podejrzewając komendanta. Dzięki temu wiemy, że tak. Ten zegar stoi w jego mieszkaniu.

Inspektor Cichostępski z cichym stęknieniem podniósł się z krzesła, dając tym samym znak, że narada skończona. Zaraz jednak usiadł z powrotem i zwrócił się do Diony:

– Nie rozumiem jednego. W jaki sposób skojarzyła pani Myszę z kalendarza Justyny Hardy z osobą komendanta? Pracował tu kilka lat i nikt tak na niego nie mówił.

W odpowiedzi Remańska uśmiechnęła się szeroko.

– Wszystko przez myszoscoczka – odparła i opowiedziała o rozmowie Agaty Drawiczowej z córką. – Olśniło mnie, kiedy usłyszałam, że Leszek Hardy nazwał to zwierzątko myszą na sterydach. A wcześniej Agata twierdziła, że Justyna jako dziecko hodowała myszoscoczki.

Mężczyźni popatrzyli na nią jak na wariatkę, lecz tylko Marcin zdobył się na oznajmienie wprost, że tym razem się nie popisała.

– Teraz to cię poniosło. Co ma dzieciństwo Justyny do Gerbilaka? I jakieś myszoscoczki?

– Dawniej nazywano je też gerbilami. – Z zadowoleniem obserwowwała ich ogłupiałe miny. Nie była aż tak skromna, by nie radować się ze swojego sukcesu. – Teraz już prawie nikt tak nie robi, ale akurat w rodzinie Justyny mówiono właśnie tak. Zadzwoiłam do nich, więc wiem, że to prawda. Leszek Hardy też to potwierdził.

Słowa Diony wywołały zażartą dyskusję nad sensem zmian w języku, dając zebranym okazję do oderwania bodaj na chwilę myśli od paskudnej sprawy, w której kluczową rolę odegrał komendant komisariatu. Oraz prokurator, ale z tym łatwiej się pogodzili. Nie był jednym z nich. Natomiast fakt, że zabójcą jest policjant, odbierali jak osobistą obrazę.

Po kwadransie Cichostępski zerknął na zegarek, westchnął i powstał z krzesła, dając tym samym znak, że uważa naradę za zakończoną. Ruszyli ku drzwiom, gdzie Diona nagle się zatrzymała.

– Ma pan dla mnie jakieś zadanie?

Z lekkim uśmiechem pokręcił głową.

– Zrobiła pani w tej sprawie wystarczająco dużo. Dzięki temu mamy już prawie wszystko, choć wiele jeszcze zostało do wyjaśnienia. Resztę załatwię sam, ale lekko nie będzie. Będę musiał pójść z tym do samej góry, bo przecież Bilecki ma immunitet. Trochę to pewnie potrwa, więc niech ten Nowosielski na razie pozostanie tam, gdzie jest. Dobrze by było, gdyby pani także gdzieś się schowała. Strzeżonego pan Bóg strzeże.

Diona przyznała mu rację. Wcale nie zamierzała się narażać. Nie była niezniszczalna, a duet Gerbilak–Bilecki udowodnił, że nie cofnie się przed niczym. Postanowiła pojechać do domu, gdzie przebywał Jacek Nowosielski z żoną i córką. Rodzice byli jedynymi osobami, którym mogła w pełni zaufać, i mieszkali na tyle daleko, że nie zachodziła obawa, iż ktoś może tam rozpoznać gości.

Prócz tego miała jeszcze inny powód, by ich tam umieścić. Od blisko dziesięciu lat matka pracowała w dziecięcym szpitalu psychiatrycznym, więc Diona poprosiła ją, by porozmawiała z lekarzami o Kasi. Ze słów Elwiry i Jacka wywnioskowała, że dziewczynką od początku zajmował się ten sam lekarz. Nie zamierzała kwestionować jego kompetencji, lecz pomyślała, że z pewnością nie zaszkodzi, jeśli Kasię zbada również ktoś inny.

– Zabrałbym cię do nas, ale chwilowo to chyba nie najlepszy pomysł – odezwał się Marcin, gdy wyszli z pokoju naczelnika.

– Myślę, że chyba najgorszy. Gerbilak wie, że coś was łączy – stwierdził jego ojciec. – Może mieszkanie Piotra?

– Wolę nie ryzykować, że sąsiedzi zgłoszą na policję, że przebywa tam ktoś obcy. – Diona obdarzyła obu Lipskich serdecznym uśmiechem. – Po prostu pojedę tam, skąd przyjechałam, i wrócę dopiero wtedy, gdy obaj znajdą się w lochu.

– Świetny pomysł, ale lepiej, żebyś nie jechała swoim autem – zatroszczył się Marcin. – Zostaw je tu na parkingu, a ja cię odwiozę.

Bez zastanowienia przystała na propozycję i gdy tylko odebrała od dyżurnego kluczyki i dokumenty swojego samochodu, odjechali w kierunku przeciwnym do wioski kłamców, żegnani przez Dariusza Lipskiego machaniem ręki.

Epilog

Diona wróciła do Strzygomia dopiero po blisko dwóch miesiącach. Wraz z nią wrócił Jacek Nowosielski, nie musiała więc fatygować ojczyma, by zawiózł ją do wioski kłamców. Hodowca świń był jej tak wdzięczny, że pewnie zaniósłby ją tam na rękach, gdyby sobie tego zażyczyła. Ale jej wystarczyło, że pojedzie jego samochodem.

Nie uważała, by jakoś szczególnie mu się przysłużyła, ale mężczyzna trwał w przekonaniu, iż właśnie jej zawdzięcza wszelkie zmiany na lepsze, które ostatnio go spotkały. Leszek Hardy przyrzekł zwrócić mu wszystkie wymuszone przez żonę pieniądze, gdy tylko odzyska je z policyjnego depozytu, co miało nastąpić lada dzień, inspektor Cichostępski z kolei obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by kara za składane pod presją fałszywe zeznania nie była zbyt dotkliwa. Najważniejsze zaś było, że już po wstępnych badaniach lekarze orzekli, iż jest szansa, by po zastosowaniu odpowiedniej terapii Kasia mogła w miarę normalnie funkcjonować. Zajmujący się nią dotychczas lekarz, dość już wiekowy, najwyraźniej nie nadażał za rozwojem medycyny i nie zaznajomił się z jej najnowszymi osiągnięciami. W tej sytuacji Elwira Nowosielska wraz z córką pozostały w domu Imielskich i miały tam przebywać do czasu zakończenia badań.

Dziewczyna ponownie zatrzymała się u Mirabelki, gdzie witano ją jak bohaterkę. Mariusz Drawicz i Bogdan Kotlarski już niedługo mieli zostać oczyszczeni z zarzutów i wypuszczeni

na wolność, więc ich żony niemal fruwały z radości i na każdym kroku okazywały Dionie swoją wdzięczność. Nie mniej radośnie witali ją pozostali mieszkańcy wioski. Dziewczyna pozwoliła Marcinowi zdradzić, czyją jest córką, i teraz wszyscy czuli się dumni, że osoba, która sprawiła, że sprawiedliwość wreszcie zatriumfowała, w pewnym sensie należy do wioski kłamaców.

Po złożeniu zeznań przed prokuratorem będącym z wyglądu całkowitym przeciwieństwem Bileckiego Diona pojechała na komendę, gdzie miała spotkać się z inspektorem Cichostępskim. Mężczyzna osobiście do niej zadzwonił i wyraził życzenie, by odwiedziła go po wizycie w prokuraturze. Od tego czasu zastanawiała się nad powodami tego zaproszenia.

Zaraz po przekroczeniu progu pokoju naczelnika wydziału dochodzeniowego zauważyła Marcina Lipskiego rozpartego wygodnie w fotelu. Był sam.

– Co tu robisz? – spytała po przywitaniu. – Gdzie jest inspektor?

– Podobno zaraz przyjdzie – odparł mężczyzna, z wyraźną niechęcią uwalniając jej dłoń z uścisku. – Kazał mi czekać. Nie wiem na co, bo nie podał przyczyny, dla której mnie tu wezwał. Pardon, zaprosił – poprawił się ze śmiechem.

Cichostępski pojawił się po kilku minutach, przywitał ich mocnym uściskiem dłoni, po czym bez zbędnych ceremonii przeszedł do sedna, proponując Marcinowi etat w kierowanym przez siebie wydziale.

– Robota przeważnie w ciepłym, miłym towarzystwie, pensja wyższa od minimalnej i tylko około pięćdziesięciu spraw na biegu – zachęcał.

Marcin nie wytrzymał i parsknął śmiechem, ale Diona widziała, że propozycja mu pochlebiła, i choć poprosił o kilka dni do namysłu, była raczej pewna, że się zgodzi. Później przyszła kolej na nią. Inspektor długo przyglądał się jej spod zmrużonych powiek, studiował jakieś zapiski, aż wreszcie

odezwał się, kompletnie ją zaskakując:

– Nie chciałyby pani do nas wrócić? Rozmawiałem z pani komendantem. Nie może przeboleć, że pani odeszła. Ocenia panią bardzo wysoko.

Poczuła falę gorąca napływającą do twarzy, w gardle pojawiła się znajoma gula. A właściwie wcale nie znajoma. Tamta składała się z żalu i poczucia krzywdy, ta zaś cała była wściekłością.

– Tak? Ciekawe. To niech sobie kutas dalej ubolewa – wysyczała, nie siląc się na zachowanie pozorów grzeczności. – Ta wysoka ocena jakoś mu nie przeszkodziła we wdrożeniu postępowania. A może to był dowód uznania?

– Był – odparł Cichostępski zwięźle, czym wytrącił ją całkowicie z równowagi.

– Kurwa mać, może jeszcze powinnam mu podziękować?!

– Wypadałoby – powiedział równie zwięźle co poprzednio. Tym razem jednak zaraz rozwinął wypowiedź: – Została pani pomówiona o liczne kradzieże dokonywane przy okazji przeszukań. Komendant miał pełne prawo powiadomić natychmiast BSW i prokuraturę zamiast bawić się w postępowanie wyjaśniające. Jak pani myśli, dlaczego tego nie zrobił?

Nieraz się nad tym zastanawiała i nigdy nie doszła do żadnych wniosków, więc teraz tylko wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparła zgodnie z prawdą.

– Nie zastanowiło pani, dlaczego osobiście nadzorował to postępowanie? Dlaczego rozmawiał z osobami świadczącymi przeciwko pani i krok po kroku udowadniał im, że kłamią? I wreszcie, dlaczego nie zastosował identycznych procedur, kiedy w toku postępowania wyłoniła się osoba innego podejrzanego? W przeciwieństwie do pani Kamil Kicek od razu został zawieszony w czynnościach i oddany w ręce wewnętrznych i prokuratora. Jak pani myśli, dlaczego tak było?

Dopiero po słowach inspektora Diona uzmysłowiła sobie, że rzeczywiście jej były mąż został potraktowany inaczej. Dużo mniej łagodnie. Ale nadal nie wiedziała dlaczego.

– Nie mam pojęcia – powtórzyła niepewnie.

– Bo w ciebie wierzył, idiotko! – ryknął Cichostępski. – Bo był pewien, że jesteś niewinna! Dlatego o ciebie walczył. A ty nie miałaś nawet dość odwagi, żeby powiedzieć mu osobiście, że odchodzisz, tylko złożyłaś raport na ręce zastępcy i poszłaś sobie na L-4.

– Przecież byłam u niego z raportem, ale mnie nie przyjął! – wykrzyknęła, oburzona tym posądzeniem. – Zastępca powiedział mi, że komendant nie chce mnie widzieć. A na L-4 poszłam, bo... – Wzięła głęboki oddech. – Miałam mały kryzys. Nie umiałam sobie poradzić z tym wszystkim i wyłądowałam u psychiatry.

– Zastępca skłamał, bo cię nie lubił. Wiedział, że jesteś świetną policjantką, i był zazdrosny. Dlatego przyjął twój raport i nadał bieg sprawie, a ty, zamiast walczyć o swoje, obraziłaś się jak dziecko i przestałaś odbierać telefony.

Miał rację, tak właśnie było. Diona uświadomiła to sobie z całą jasnością. Tylko że świadomość tego niczego już nie mogła zmienić. A może jednak? Bo oto odezwał się Marcin:

– Uważam, że powinnaś wrócić. Nie do dawnej jednostki, bo to mogłoby być przykre, ale w ogóle do służby. Obojętne gdzie.

– Na przykład tutaj – uśmiechnął się Cichostępski. – Z tego, co wiem, ma pani mieszkanie w Jodłowcu. – Znowu wrócił do oficjalnej formy „pani”, lecz teraz wydawała się w jego ustach dziwnie sztuczna. – Słyszałem też o dużej liczbie krewnych w pewnej wiosce.

Odniosła wrażenie, że mrugnął, ale z pewnością musiała się pomylić. To chyba niemożliwe, żeby ten poważny mężczyzna z niej żartował?

– Nie wiem, czy ktoś ci o tym wspomniał – doszedł ją głos

Marcina – ale podobno trzy siostry zamienione w strzygi nosiły nazwisko Roszak.

Tego było już za wiele i Diona roześmiała się serdecznie.

– Dobra, poddaję się. Zastanowię się nad tą propozycją. Przemyślę sprawę. Dziękuję, panie inspektorze. Do widzenia.

Nie odpowiedział na słowa pożegnania, tylko uniósł brwi, jakby się czemuś dziwił.

– Nie chce pani się dowiedzieć, kto zabił Justynę Sojkę-Hardy?

Podskoczyła, jakby ukłuł ją szpilką.

– Oczywiście, że chcę! Więc jednak zaczęli śpiewać?

Obaj podejrzewani mężczyźni najpierw konsekwentnie milczeli, odmawiając wyjaśnień. Później, kiedy sąd podjął decyzję o aresztowaniu, nałożona przez nich samych na usta pieczęć milczenia zaczęła pękać, aż rozsypała się w pył. Teraz mówili chętnie i dużo, lecz najczęściej nic z tych słów nie wynikało. Pomogło dopiero postraszenie Gerbilaka osadzeniem go w celi zajmowanej przez bandytę słynącego z nienawiści do policjantów. Prowadzący śledztwo całkiem słusznie właśnie w Gerbilaku dostrzegł słabszą połowę zbrodniczego duetu. Był komendant nie wytrzymał presji.

– Umówił się z szantażystką w tym samym miejscu, gdzie zabili Roszaka – mówił Cichostępski. – Powiedział, że właśnie próbował negocjować kwotę, gdy Bilecki zaszedł ją od tyłu i udusił. On oczywiście nie wiedział, że kolega zamierza ją zabić. Niestety nie umiał wytłumaczyć, skąd w takim razie Bilecki się tam wziął.

– A co na to były prokurator? – zaciekała się Diona.

– Twierdzi, że całą akcję wcześniej uzgodnili i że była to inicjatywa Gerbilaka.

Skinęła głową, nie czując najmniejszego zdziwienia. Zawsze tak było, że w obliczu odsiadki solidarność przestępców nagle pękała i każdy zaczynał walczyć wyłącznie o siebie, starając się

urwać bodaj miesiąc z ewentualnego wyroku.

– Jak już ich tak wzięło na zwierzenia, to może powiedzieli, dlaczego starali się skłócić Nowosielskiego z właścicielami warsztatu? – spytała, gdyż ten punkt nadal był dla niej niejasny. – Można by przypuszczać, że mieli jakieś własne plany względem tej posesji.

Inspektor uśmiechnął się z uznaniem.

– Właśnie dlatego uważam, że powinna pani wrócić do policji. Ma pani rację. Mieli plany, dlatego zamiana warsztatu w basen ani trochę ich nie zachwycała. Tak się składa, że obaj bardzo lubią grać w karty, tylko że chyba nie odrobili pewnej lekcji.

– O tym, że w ostatecznym rozrachunku zawsze wygrywa kasyno? – spytał Marcin ze złośliwą uciechą.

– Właśnie. Panowie ciągle byli spłukani i desperacko poszukiwali źródła stałego dochodu. Wymyślili sobie, że będą nękać Drawicza i Kotlarskiego tak długo, aż sprowokują ich do wybuchu, dzięki któremu będą ich mieć pod kontrolą. Wtedy zrobią z warsztatu dziuplę i będą trzepać kasę.

Usłyszawszy to, Diona aż jęknęła. Dawno nie słyszała o równie głupim planie.

– Myślałam, że policjant i prokurator powinni choć trochę znać się na ludziach. Nigdy nie zamieniłam z Drawiczem i Kotlarskim ani słowa. Nawet ich na oczy nie widziałam, ale wiem, że w życiu nie poszliby na taki układ. Podejrzewam, że woleliby iść do pierdła.

– I w końcu poszli – zwrócił jej uwagę Cichostępski. – Bilecki powiedział, że dlatego postanowili zrobić w zabójstwo właśnie ich, bo wiedzieli już, że z tamtego planu nic nie wyjdzie. Kotlarski i Drawicz okazali się zbyt uczciwi.

– Zabójcy doszli do wniosku, że łatwiej dogadają się z ich żonami – domyśliła się Diona. – To dlatego komendant kazał Nowosielskiemu nachodzić te kobiety w sprawie sprzedaży warsztatu. Kretyni. Rozumiałabym jeszcze chęć zdobycia

pieniędzy, ale zabójstwo?

– Wszystko zaczęło się od tego, że Gerbilak i Bilecki połaskczyli się na głupie pięć tysięcy od chorej kobiety, którą wcześniej obrzydliwie wykorzystali – powiedział inspektor w zadumie. – Akurat rozpaczliwie potrzebowali pieniędzy. Byli pewni, że Magdalena Roszak im zapłaci. Nie przypuszczali, że kobieta popełni samobójstwo, a jej mąż znajdzie w koszu potargane zdjęcia i list z szantażem.

Diona znów pomyślała o kobiecie, której nigdy nie poznała, i o ojcu, od którego w którymś momencie zaczęła się odsuwać, przepełniona zazdrością i urazą, błędnie odczytawszy jego zachowanie. Teraz wreszcie będzie mogła pójść na ich grób. Przedtem jakoś nie miała odwagi.

Pożegnała się z inspektorem i wyszła w towarzystwie Marcina. Była pewna, że rozstaną się na parkingu, lecz niespodziewanie mężczyzna zapytał:

– Podrzucisz mnie? Nie mam dzisiaj samochodu.

Po chwili zmierzali już w stronę Jodłowca, obok którego znajdowała się wioska kłamców. Gdy Diona zaparkowała na trapezowatym rynku, Marcin nie wysiadł od razu.

– Pamiętam, że gdy pierwszy raz przyszedł na komisariat, zaprosił mnie na kawę. Czy to nadal jest aktualne?

– Chyba nie mam wyboru – odparła z udawaną powagą. – W pobliżu Strzygomia niezdrowo jest nie dotrzymywać obietnic.

– Spoważniała. – Wiesz, mam zamiar sprzedać mieszkanie po ojcu, jak tylko nabędę spadek.

– Szkoda – stwierdził z wyraźnym żalem. – Czyli jednak nie zostaniesz?

– Zostanę, ale nie tutaj. Moje miejsce jest w wiosce kłamców.

KONIEC

Spis treści

Prolog

Rozdział 1. Wioska oddana strzygom

Rozdział 2. Wśród kłamców

Rozdział 3. Potomek Diabelskiego Śpiewaka

Rozdział 4. Zabójstwo przy Chacie Strachów

Rozdział 5. Świadek i podejrzany

Rozdział 6. Zapłata za milczenie

Rozdział 7. Paleta cieni

Rozdział 8. Lokatorka

Rozdział 9. Świniarz

Rozdział 10. Prokurator

Epilog